

JOSEPH CONRAD

# MIĘDZY LĄDEM A MORZEM

JOSEPH CONRAD

PISM WYBRANYCH

TOM XIII

JOSEPH CONRAD / KO
RZENIOWSKI / PISMA
WYBRANE / Z PRZED
MOWĄ STEFANA ŻE
ROMSKIEGO

TOM XIII
MIĘDZY LĄDEM A MORZEM

# JÓZEF CONRAD / KORZENIOWSKI / MIĘDZY LĄDEM A MORZEM / TWIXT LAND AND SEA TALES



WARSZAWA
TOW. WYDAWNICZE „IGNIS" S. A.

*Prawa autorskie w Tow. Wydawn. „Ignis". Tłumaczyli z angielskiego: J. L e m a ń s k i: „Uśmiech szczęścia" (A Smile of Fortune); J. B. R y c h l i ń s k i: „Ukryty sojusznik" (The Secret Sharer) i A. Z a g ó r s k a: „Freja z Siedmiu Wysp" (Freya of the Seven Isles). Przedmowę tłumaczyła p. A. Z a g ó r s k a. Okładkę rysował K. M a c k i e w i c z. Wydanie drugie. Odbito 4.200 egz. w druk. p. f. „Sp. Akc. Zakł. Graf. Drukarnia Polska" Szpitalna 12 w W a r s z a w i e Rok 1925*

## *PRZEDMOWA*

Jedyny łącznik, wiążący te trzy opowiadania, jest, że się tak wyrażę, natury geograficznej; rozgrywają się bowiem—czy na lądzie, czy na morzu—w tej samej okolicy świata, którą możnaby nazwać okolicą oceanu Indyjskiego z wszelkiemi jego odnogami i rozgałęzieniami na północ od równika, aż do zatoki Siamskiej. Jeżeli zaś chodzi o czas—to należą do okresu następującego bezpośrednio po ukazaniu się powieści o niezręcznym tytule: *W oczach Zachodu*, a w stosunku do osobistego życia autora łączą się z zasadniczym przełomem w losach jego twórczości. Gdyż faktem jest niezaprzeczonym, że *W oczach Zachodu* niełaskawie zostało przyjęte przez publiczność, podczas gdy powieść pod tytułem *Los* — która ukazała się zaraz po tomie opowiadań *Między lądem a morzem*—znalazła odrazu znacznie liczniejszych czytelników, niż jakakolwiek inna z moich książek.

Niniejszy tom, złożony z trzech opowiadań, został również dobrze przyjęty—i prywatnie, i publicznie, a także i z punktu widzenia wydawcy. To drobne powodzenie zjawiło się w porę, aby pokrzepić moją osłabłą ziemską powłokę. Bo książkę tę można zaiste nazwać utworem rekonwalescenta — przynajmniej co się tyczy jej trzech czwartych — ponieważ „Ukryty sojusznik", opowiadanie środkowe, było napisane znacznie wcześniej od dwóch pozostałych.

Moje wspomnienia, związane z książką *W oczach Zachodu*, łączą się ze wspomnieniem ciężkiej choroby,

która zdawała się czyhać, jak tygrys ukryty w dżungli na zakręcie ścieżki, aby rzucić się na mnie w chwili, gdy ostatnie słowa tej powieści zostaną napisane. Wspomnienie choroby bardzo jest podobne do wspomnienia nocnej zmory. Gdy wstałem z łóżka w stanie wielkiego wyczerpania, błysnęło mi natchnienie, aby skierować chwiejne kroki ku oceanowi Indyjskiemu: nikt nie zaprzeczy, że była to zasadnicza zmiana otoczenia tudzież nastroju w stosunku do wybrzeży Genewskiego jeziora. „Uśmiech szczęścia", ta najczystszej wody opowieść o Indyjskim oceanie—zaczęta tak osłabioną i drżącą ręką, że pierwsze dwadzieścia stron czy więcej musiałem rzucić do kosza—stała się wreszcie taką, jaką przedstawia się oczom czytelnika. Co do siebie chcę tylko zaznaczyć, że z powodu tej noweli klepali mnie najniespodziewaniej po plecach różni nieznani mi dotąd ludzie, z których najważniejszy był oczywiście wydawca popularnego przeglądu ilustrowanego, gdzie się nowela ukazała. Któż wobec tego ośmieli się powiedzieć, że to nie zmiana klimatu sprowadziła taki wielki sukces?

Pochodzenie środkowej noweli „Ukryty sojusznik" zupełnie jest odmienne. Została napisana znacznie wcześniej i pojawiła się pierwszy raz w *Harper's Magazine* w pierwszej połowie 1911 roku, o ile sobie przypominam. A może i w drugiej połowie? Wspomnienia moje są pod tym względem mgliste. Zasadniczy wątek opowiadania był moją własnością na wiele lat przedtem. W gruncie rzeczy był również wspólną własnością całej floty handlowych okrętów, krążących między Indjami, Chinami i Australją: tej wielkiej kompanji, której ostatnie lata zbiegły się z pierwszemi latami moich wędrówek po szerokich morzach. Fakt, o którym mowa, wydarzył się na pokła-

*dzie wybitnego członka tej kompanji, a mianowicie na Cutty Sark, okręcie należącym do pana Willisa. Był to znany w swoim czasie właściciel statków, z gatunku tych ludzi (wszyscy są już dzisiaj pod ziemią), którzy mieli zwyczaj wyprawiać osobiście swoje okręty w podróż ku owym dalekim brzegom, kędy powiewała szanowana flaga właściciela. Cieszę się, że miałem choć raz sposobność ujrzeć pana Willisa pewnego bardzo ponurego i wilgotnego ranka; stał na występie kamiennego podmurowania w New South Dock i patrzył, jak jeden z jego statków wyrusza w podróż do Chin. Była to imponująca męska postać w nieodmiennym białym kapeluszu, znanym tak dobrze w porcie londyńskim. Czekał aż okręt zwróci się dziobem w dół rzeki i wówczas dopiero skinął z godnością w stronę statku wielką dłonią w rękawiczce. O ile wiem, mógł to być nawet i Cutty Sark we własnej osobie, ale w każdym razie nie wyruszał wówczas w tamtą fatalną podróż. Nie znam daty faktu, na którym treść „Ukrytego sojusznika" jest osnuta; wypłynął na jaw i dostał się nawet do gazet w środku lat osiemdziesiątych ale słyszałem o nim już i przedtem, niejako prywatnie — od oficerów wielkiej floty wełnianej, w której przesłużyłem pierwsze lata moich wędrówek po głębokich wodach. Ów fakt stał się głośnym wśród okoliczności dość dramatycznych, które jednak nie mają nic wspólnego z moją nowelą. W ściśle morskim odłamie moich pism można zaliczyć ten fragment widowiska do moich dwóch utworów „spokojnych". Bowiem jeśli przyjmiemy klasyfikację według tematów, stworzyłem dwa utwory „burzliwe", a mianowicie: Murzyna z załogi Narcyza i Tajfun i dwa utwory „spokojne": ten właśnie i Linię Cienia, książkę należącą do późniejszego okresu.*

*Pomimo formy autobiograficznej, dwa wyżej wymienione opowiadania nie są oparte na wspomnieniach osobistych. Treść ich wiąże się z czemś rozleglejszem choć mniej ścisłem: z charakterem, wizją i odczuciem pierwszych dwudziestu lat mego niezależnego życia. To samo da się powiedzieć i o „Frei z Siedmiu Wysp". Zwymyślano mnie setnie za napisanie tej noweli z powodu jej okrucieństwa — i w publicznych artykułach, i w listach prywatnych. Pamiętam taki list od jednego pana z Ameryki; nie posiadał się wprost z oburzenia. Oświadczył mi wśród przekleństw i wymysłów, że nie miałem prawa napisać rzeczy tak okropnej, która okrutnie i bezpodstawnie rozdarła mu serce. Był to list bardzo ciekawy; zrobił na mnie duże wrażenie. Nosiłem go przez kilka dni w kieszeni. Czy miałem prawo napisać tę nowelę? Przejąłem się szczerością tego oburzenia. Czy miałem rzeczywiście prawo? Czy doprawdy zgrzeszyłem przez okrucieństwo— jak twierdził ten człowiek? A może to on był niespełna rozumu? Jednak w jego wściekłości czuło się pewną metodę... Ułożyłem w myśli gwałtowną replikę; replikę pełną łagodnych perswazyj; replikę wyniosłą i górną; ale żadna z nich nie pojawiła się nigdy na papierze i zapomniałem już, jak były sformułowane. Nawet i list rozgniewanego pana gdzieś się zapodział i pozostały tylko karty opowiadania, których odwołać nie mogę — i nie odwołałbym, gdyby to nawet było możliwe.*

*Miło mi jednak pomyśleć, że obie kobiety tej książki: Alicja, ponura, bierna ofiara losu, i czynna, indywidualna Freja, nie wątpiąca ani przez chwilę, że jest panią swego przeznaczenia—że te kobiety musiały zyskać pewną sympatję, bo ze wszystkich moich nowel ten tom właśnie wzbudził oddźwięk największy i najbardziej bezpośredni.*

*J. C.*

Kapitanowi

*C. M. MARRISOWI*

byłemu właścicielowi i kierownikowi

*ARABY MAID:*

handlowego okrętu

krążącego wśród archipelagu

na pamiątkę

dawnych dni przygód

*W tem życia błędnem kole*
*Niż płakać, śmiać się wolę,*
*Nie wpadam w melancholję,*
*Choć ostry krzew ukole*
*W tem życia błędnem kole.*

*A. Symons.*

*UŚMIECH SZCZĘŚCIA*

OPOWIEŚĆ PORTOW

Już od samego wschodu słońca stałem, zapatrzony w dal. Okręt cicho sunął po gładkiej wodzie. Pilno mi było po sześćdziesięciodniowej podróży wylądować na tej urodzajnej i pięknej wyspie podzwrotnikowej. Entuzjastyczniejsi z jej mieszkańców mówią o niej z upodobaniem, jako o „Perle Oceanu". Owszem, nazywajmy ją „Perłą". To dobre imię. Perła, z której sączy się na świat dużo słodyczy.

Chcę wam tylko przez to powiedzieć, że rośnie tam najprzedniejsza trzcina cukrowa. Dla niej i z niej żyje cała ludność tej Perły. Cukier jest dla niej, że się tak wyrażę, chlebem powszednim. I ja przybywałem tutaj po ładunek cukru, w nadziei, że krescencja się udała i że frachty będą wysokie.

Burns, mój starszy oficer, rozpoznał ląd najpierwej, i niebawem zachwyciła mię błękitna, strzelista jego zjawa, nieomal przezrocza na tle jasnych niebios, czysta emanacja, ciało astralne wyspy jakiejś, powstające zdaleka na moje przywitanie. Rzadki to fenomen — widok owej Perły z odległości mil sześćdziesięciu. Czyżby doprawdy miało mię spotkać na tej wyspie coś tak wyjątkowo szczęsnego,

jak ta przepiękna, rozmarzająca wizja, którą tylko niewielu żeglarzom, wybrańcom, zdarzyło się ujrzeć.

Lecz z radosnem uczuciem, żem odbył kurs, łączyła się okropna myśl o interesach. Niepokoiłem się o skuteczne ich załatwienie i chciałem też usprawiedliwić pochlebną szerokość danych mi przez mego armatora zleceń, ujętych w szlachetną formułę: „Pozostawiamy panu użycie okrętu tak, jak pan to uzna za najlepsze..." W ten sposób cały świat był mi oddany na widownię dla wykazania moich zdolności, które jednak nie wydawały mi się większemi od łepka szpilki.

Tymczasem wiatr ustał, i Burns zaczął robić nieprzyjemne uwagi o moim zwykłym braku szczęścia. Widać, że jego oddanie dla mnie pobudza go do krytycznych dogadywań przy każdej sposobności. Nie traktowałbym wszakże pobłażliwie jego humorów, gdyby nie ta okoliczność fatalna, że onego czasu pielęgnowałem go w rozpaczliwej morskiej chorobie. Wydarłszy go, że tak powiem, z objęć śmierci, byłoby mi głupio wyrzucać takiego sprawnego oficera. Ale czasami pragnąłem, żeby się podał sam do dymisji.

Za późno było na lądowanie, i musieliśmy kotwicować za przystanią aż do jutra. Nastała noc przykra i bez wypoczynku. Nie znając tej obcej dla nas obu rejdy, i Burns i ja przebyliśmy nieomal cały czas na pokładzie. Skręty chmur staczały się z porfirowych skał, u podnóża których leżeliśmy. Zerwał się wiatr i huczał wśród obnażonych rej, wydając srogi poryk z przygrywką żałosnych jęczeń. Szczęście to dla nas, żeśmy zdążyli spuścić kotwicę przed zapadnięciem zmroku — powiadam. Mielibyśmy paskudną, trwożną noc, kołacząc się pod żaglami za portem. Ale mói starszy oficer nie był tem przejednany.

— Pan nazywa to szczęściem, proszę pana! Tak — nasze zwykłe szczęście. Ten rodzaj szczęścia nie ma już, Bogu dzięki, od siebie gorszego.

Tak burczał wśród tych czarnych godzin, ja zaś przeżuwałem swój zasób filozofji. Ach, ależ była to jątrząca, mozolna, nie kończąca się noc — ten postój na kotwicy tuż u owego ciemnego wybrzeża. Naokoło okrętu słychać było warkot wzburzonej wody. Od czasu do czasu dzika dma wichury z jakiegoś skalnego żlebu w górach wyszarpywała z lin naszego takelunku rozdzierająco płaczliwy ton, jakby zawodzenie potępieńczej duszy.

## I

O godzinie wpół do ósmej rano, gdy wreszcie okręt zawinął do portu i gdy przycumowano go na odległości jednego rzutu kamieniem z wybrzeża, mój zapas filozoficznego spokoju prawie już się wyczerpał. Śpieszyłem się nagwałt z ubraniem, gdy steward wlazł mi do kajuty, niosąc na ręku mój poranny garnitur.

Byłem głodny, strudzony, przygnębiony, wplątany głową w świeżą koszulę, której zbytek krochmalu nadał irytującą sztywność; zgrzytnąłem, żeby się co tchu zwijał z śniadaniem. Chciałem co prędzej być na brzegu.

— Słucham, panie kapitanie. Gotowe na ósmą, panie kapitanie. Tam oczekuje jeden z lądu i życzy sobie rozmówić się, panie kapitanie.

Zaciekawiła mnie ta niezdarnie wyrecytowana wiadomość. Nagwałt szarpnąłem koszulą i wynurzyłem głowę z wytrzeszczonemi oczyma.

— Tak rano! — wrzasnąłem: — Co za jeden? Czego chce?

Przybywając z morza na ląd, człowiek musi podejmować egzystencję w nadzwyczaj nieunormowanych stosunkach. Najdrobniejszy wypadek narazie uderza nowością. Tak wczesna wizyta to wielka niespodzianka dla mnie; ale nie widziałem stąd racji, żeby mój steward miał aż tak wyjątkowo ogłupiałą minę.

— Czy nie spytałeś o nazwisko? — indagowałem surowym tonem.

— Nosi nazwisko Jacobus, zdaje się — bąkał zawstydzony.

— Pan Jacobus! — zawołałem, bardziej niż kiedykolwiek zdziwiony, ale już w całkiem innym humorze. — Dlaczego nie powiedziałeś mi tego odrazu?

Lecz ten gamoń już się wymknął. Przez otwarte na chwilę drzwi mignęła mi wysoka, dorodna postać mężczyzny, stojącego w kabinie bufetowej, przy stole, na którym już leżał obrus — obrus „portowy", nieskazitelnie czysty i olśniewająco biały. Jak dotąd—wszystko w porządku.

Poprzez zamknięte drzwi krzyknąłem uprzejmie, że ubieram się i że za chwilę będę mu służył. W odpowiedzi doleciało mię zapewnienie gościa, wypowiedziane niskim, spokojnym półgłosem, że niema się co śpieszyć. Jego czas należy do mnie. Ośmiela się przypuszczać, że niebawem poczęstuję go szklanką herbaty.

— Obawiam się, że będziesz pan miał skąpe śniadanie — krzyczałem usprawiedliwiająco. — Byliśmy sześćdziesiąt dni na morzu, wie pan.

— Doskonale, kapitanie—odrzekł mi na to łagodnym, śmiejącym się tonem. Te wyrazy, to brzmienie głosu, ten przelotnie ujrzany zarys pana w bufecie: wszystko to miało cechę jakiejś niespodzianki. tchnęło czemś zacisznie spo-

kojnem, pomyślnem. Niemniej jednak nie mogłem jeszcze ochłonąć ze zdziwienia. Czyżby to miało oznaczać jakiś czarny zamach na moją naiwność kupiecką?

Ach, że też te sprawy handlowe muszą psuć najpiękniejsze życie pod słońcem! Dlaczego morze służyć ma tylko na użytek handlu — jak również i wojny? Poco na niem zabijać i kupczyć dla samolubnych celów, tak w gruncie rzeczy małoważnych. Byłoby daleko piękniej żeglować ot tak sobie, do tej lub owej przystani, z kawałkiem lądu dla rozprostowania nóg, dla nabycia paru książek i dla chwilowego odświeżenia kuchni. Lecz żyjąc w tym świecie mniej lub więcej zabójczym i rozpaczliwie handlarskim, jest, oczywiście, moim obowiązkiem jak najzręczniej to wyzyskać.

List mego armatora, jak już powiedziałem, zostawił memu uznaniu rozporządzenie się okrętem w sposób, jaki będę uważał za najlepszy. Lecz w liście tym było postscriptum mniej więcej w takich słowach:

„Bynajmniej nie chcąc uszczuplać Pańskiej swobody działania, piszemy przez odchodzący pocztowiec do kilku naszych przyjaciół handlowych, którzy tam mogą Panu być w czemś pomocni Zwłaszcza życzylibyśmy sobie, aby Pan zgłosił się do p. Jacobusa, znacznego kupca i przedsiębiorcy. Jeżeli Pan się z nim zetknie, potrafi on zapewne dać Panu wskazówki co do zyskownego zatrudnienia okrętu".

Zetknąć się z nim! Faktem jest, że znaczna ta osobistość była tu, na pokładzie, prosząc o szklankę herbaty. A ponieważ życie nie jest baśnią, zastanowiło mię nieprawdopodobieństwo tego zdarzenia. Czyżbym odkrył czarodziejski jakiś zakątek ziemi, gdzie bogaci kupcy śpieszą co sił na pokład okrętu, wprzód jeszcze, zanim go na dobre

przycumowano? Byłaż to biała magja, czy może tylko jaki czarny podstęp, używany w kupiectwie? Nasunęło mi się wkońcu podejrzenie (gdym zawiązywał krawat), żem się przesłyszał co do nazwiska. Myślałem często o znakomitym panu Jacobusie podczas kursu, i może słuch mój został oszukany jakiemś dalekiem podobieństwem brzmienia... Steward mógł był powiedzieć Antrobus — lub może Jackson.

Lecz gdym wyszedł ze swego gabinetu z urzędowo pytającem „Pan Jacobus?", spotkało mię w odpowiedzi spokojne „Tak", wypowiedziane z łagodnym uśmiechem. To „Tak" było rzucone jakby od niechcenia. Widać nie robił sobie wiele z faktu, że to on właśnie jest panem Jacobusem. Przyjąłem do wiadomości jego rysopis: duża bladawa twarz, rzadkie włosy na czubku głowy, tak samo rzadkie bokobrody, o jakimś wyblakłym, nieokreślonym kolorze, ciężkie powieki. Grube, dobrotliwe wargi, o ile ich nie otwierał, robiły wrażenie jakby sklejonych. Mdły uśmiech. Powolny, cichy człowiek. Wymieniłem nazwiska dwu moich oficerów, którzy właśnie zeszli na śniadanie; czemu jednak milcząca postawa Burnsa jakby zaakcentowywała hamowane oburzenie, nie mogłem zrozumieć.

Gdyśmy siadali naokoło stołu, doleciały mych uszu oderwane wyrazy jakiejś sprzeczki na schodach. Ktoś obcy najwidoczniej chciał zejść, by rozmówić się ze mną, a steward sprzeciwiał się temu.

— Pan nie może się z nim widzieć.

— Dlaczego *ja* nie mogę?

— Kapitan zajęty śniadaniem, mówię panu. Zaraz udaje się na ląd, i może się pan zwrócić do niego na pokładzie.

— To nieładnie! Pan wpuszczasz — —

— To nie moja rzecz.

— O tak, pańska. Każdy powinien mieć takie same szanse. Pan wpuszczasz tam tego jegomościa — —

Reszty nie dosłyszałem. Uskuteczniwszy zwycięsko odparcie owej osoby, steward zeszedł do nas. Nie mogę powiedzieć, że miał rumieńce — był to mulat — lecz wyglądał na podchmielonego. Podawał półmiski i stał przy kredensie z miną speszonej obojętności, którą zwykł był przybierać, kiedy coś przemędrkował i bał się wskutek tego wpaść w tarapaty. Pogardliwy wyraz, z jakim Burns wodził oczyma od niego ku mnie, był nadzwyczajny. Co ukąsiło znów mego starszego oficera, nie mogłem się domyśleć.

Gdy milczy kapitan, nikt nie zabiera głosu; jest to zwyczaj, przyjęty na okrętach. A ja nie odzywałem się poprostu dlatego, że oniemiałem wobec wspaniałości przyjęcia. Przygotowany zastać zwykłe morskie śniadanie, ujrzałem ucztę, składającą się z lądowych prowjantów: jaj, kiełbas, masła, najwyraźniej pochodzącego nie z duńskiej puszki, kotletów baranich i nawet z półmiska ziemniaków. Od trzech tygodni nie oglądałem prawdziwego, żywego kartofla. Przypatrywałem im się z zajęciem, a pan Jacobus objawiał mi się jako człowiek ludzki, domator i nawet cokolwiek odgadywacz myśli.

— Skosztuj-no pan ich, panie kapitanie — zachęcał mię przyjaznym półgłosem: — wyborne.

— Wyglądają na to — przyznałem. — Rosną na tej wyspie, przypuszczam.

— O, nie, sprowadzone. Gdyby tu rosły, byłyby kosztowniejsze.

Martwiła mię ta głupia rozmowa. Byłyż to dyskusyjne kwestje dla znacznego i bogatego kupca? Znajdowałem,

że prostota, z jaką się u mnie rozgościł, miała w sobie coś pociągającego; ale o czem tu mówić z człowiekiem, niespodzianie do was przychodzącym po sześćdziesięciu i jednym dniu podróży morskiej, z jakiejś całkiem nieznanej wam mieściny na wyspie, której się nigdy przedtem nie widziało? Jakież (poza cukrem) były kwestje palące tej okruszyny ziemi, jej plotki, jej tematy konwersacyjne. Wciągnąć go odrazu do rozmowy o interesach byłoby prawie nieprzyzwoicie, lub nawet gorzej: niepolitycznie. Wszystko, co narazie mogłem zrobić, to było trzymanie się starego, wyżłobionego korytka.

— Czy tu drogi prowjant naogół? — spytałem, bolejąc wewnętrznie nad jałowością swych myśli.

— Tegobym nie powiedział — odrzekł spokojnie, w ten swój powściągliwy sposób, jak gdyby oszczędzający tchu i uchylający się od mówienia pod sugestją.

Nie chciałby się wypowiadać jaśniej, ale nie wykręcał się od przedmiotu rozmowy. Spoglądając na stół z intencją zupełnej wstrzemięźliwości (nie chciał nic jeść, choć go częstowałem), wszedł w detale co do artykułów spożywczych. Wołowinę sprowadza się po większej części z Madagaskaru; baranina, oczywiście, rzadka i cokolwiek za droga, lecz dobre jest mięso koźle. — —

— Czy to z koźlego mięsa te kotlety? — zawołałem czem prędzej, wskazując na jeden z półmisków.

Stojący u kredensu w sentymentalnej pozie, steward zrobił nagły ruch.

— Nie, proszę pana, jak Boga kocham, to prawdziwa baranina!

Burns, załatwiwszy czynność śniadaniową z oznakami zniecierpliwienia, jak gdyby zrozpaczony swym przymusowym udziałem w jakiemś potwornem błazeństwie, wy-

mamrotał krótką formułę przeproszenia i wyszedł na pokład. Wkrótce potem drugi oficer usunął z kajuty swą gładką, czerwoną fizjognomję. Z apetytem sztubaka, jako że był po dwu miesiącach kuchni morskiej, oddał on cześć temu bankietowi. Ale ja nie. Trąciła ta uczta jakimś wybrykiem. Lecz w każdym razie było czynem godnym uwagi to tak szybkie jej wystawienie. Winszowałem stewardowi jego zręczności tonem cokolwiek złowróżbnym. Uśmiechnął się błagalnie i czarnemi przebiegłemi oczyma błysnął w kierunku gościa w sposób jakiś taki, że nie wiedziałem, co o tem myśleć.

Gość szeptem poprosił o drugą filiżankę herbaty i ascetycznie ogryzał kawałek twardego morskiego suchara. Nie wiem, czy ostatecznie spożył go choć cal kwadratowy; lecz tymczasem, jak gdyby niechcący, dał mi pełne obliczenie stanu żniw cukrowych, tutejszych domów handlowych i frachtowego rynku. Cała ta gawęda była przesiana napomknieniami co do osób, równającemi się niedomówionym przestrogom, ale jego blada, mięsista twarz zachowywała jednostajny, bez błysku, wyraz, jak gdyby nie poczuwała się do łączności ze swoim głosem. Możecie sobie wyobrazić, jak nastawiałem uszu. Każde słowo było cenne. Mój pogląd na wartość przyjaźni handlowej uległ zmianie na jej korzyść. Podał mi nazwy wszystkich gotowych do najęcia okrętów, wraz z oznaczeniem ich pojemności i z nazwiskami komendantów. Od tego, co stanowiło jeszcze informację handlową, zeszedł na plotki portowe. *Hilda* w sposób niewytłumaczony zgubiła swe popiersie [1]) w zatoce Bengalskiej, i kapitan jej niezmiernie

[1]) Figura (płaskorzeźba), zdobiąca przód okrętu i umieszczona bezpośrednio pod dziobakiem.

jest tą stratą przejęty. On i okręt podeszli w lata razem, i stary gentleman wyobraził sobie, że ten dziwny wypadek jest zwiastunem jego własnego rozpadnięcia się. *Stella* doświadczyła okropnej pogody koło Przylądka: woda zalała pokład i zmyła za burtę starszego oficera. Zaledwie na kilka godzin przed zawinięciem do portu zmarło dziecko. Biedny kapitan H — — i żona jego byli złamani. Gdyby zdążyli byli przywieźć je do portu za życia, to prawdopodobnie możnaby je było uratować; lecz przez ostatni coś tydzień nie mieli wiatru, lekkie wietrzyki, i . . . dziecko mają chować dziś popołudniu. Przypuszcza, że będę na pogrzebie — — —

Wzdrygnąłem się.

— Czy uważa pan to za moją powinność? — spytałem.

Uważał stanowczo, że tak. Będzie to przyjęte z wielkiem uznaniem. Wszyscy kapitanowie w przystani wezmą udział. Biedny pan H — —, całkiem zwalony z nóg. Dostatecznie ciężki cios dla H — — w ogólności.

— A pan, panie kapitanie — przypuszczam, że pan nieżonaty?

— Nie, nie jestem żonaty — odpowiedziałem: — ani żonaty, ani nawet zaręczony.

W duchu dziękowałem swym gwiazdom i, podczas gdy on uśmiechał się w zamyśleniu, jak gdyby rojąc o czemś, wyraziłem mu swą wdzięczność za wizytę i za ciekawe informacje handlowe, których mi był łaskaw udzielić. Lecz nie powiedziałem nic o swojem zdziwieniu.

— Oczywiście, rzecz postanowiona, że będę u pana w tych dniach bezwarunkowo — zakończyłem.

Spojrzał ku mnie z pod wzniesionych powiek, niby wy-

rzeczywiście, ale raczej jakby usiłując przybrać wyraz jeszcze senniejszy niż przedtem.

— Stosownie do zleceń mego armatora — dodałem wyjaśniająco. — Jego list otrzymał pan niezawodnie?

Tym razem, prócz wzniesienia powiek, podniósł w dodatku brwi, lecz bez żadnego szczególnego objawu uczuć. Przeciwnie, uderzyła mię wtedy jego zupełna niewzruszoność.

— A! Zapewne pan ma na myśli mego brata.

Teraz ja miałem powiedzieć „A!". Lecz w moim głosie, ufam, nie było nic więcej ponad grzeczne zdziwienie, gdy zapytałem, czemu więc zawdzięczam przyjemność...

Sięgnął powolnie do bocznej kieszeni.

— Mój brat to wcale inna osoba. Ale mię tu dobrze znają w tej części świata. Słyszał pan zapewne — —

Wziąłem podaną mi kartę. Gruba handlowa karta, na miły Bóg! Alfred Jacobus — tamten był Ernest — kupiec w zakresie wszelkiego rodzaju okrętowej aprowizacji! Prowjant solony i świeży, oleje, farby, powrozy, żagle etc. etc. Zawiera umowy na dostawę żywności okrętom po cenach umiarkowanych.

— Nigdy nie słyszałem o panu — rzekłem porywczo.

Właściwa mu ślamazarna niewzruszoność nie opuściła go.

— Będzie pan zadowolony — wyziewał spokojnie.

Ale mnie to nie uspokoiło. Wyczuwałem tu coś, jakby podejście. Jednak oszukiwałem się sam — jeśli wogóle było tu jakie oszukaństwo. Lecz znów, do kaduka, ta czelność w zaproszeniu mię na śniadanie zwiodłaby każdego. I raptem uderzyła mię myśl: przecież sprowadzenie tych wszystkich artykułów spożywczych jest sobie dla tego jegomości metodą kupiecką. Rzekłem:

— Musiał pan dziś wstać nader wcześnie.

Przyznał się z prostotą, że był na wybrzeżu przed godziną szóstą, oczekując na wejście mego okrętu do przystani. Czułem teraz, że nie odczepię się od niego w żaden sposób.

— Jeśli pan myśli, że będziemy żyli na tej stopie — rzekłem, obrzucając stół gniewnem spojrzeniem, — to pan się grubo myli.

— Będzie wszystko w porządku, kapitanie. Ja to doskonale rozumiem.

Nic nie mogło wytrącić go z równowagi. Byłem niezadowolony, lecz nie mogłem się bardzo na niego ciskać. Udzielił mi sporo wiadomości pożytecznych — i oprócz tego był bratem owego bogatego kupca. Wyglądało to dość osobliwie.

Wstałem od stołu i krótko a węzłowato powiedziałem, że teraz muszę udać się na brzeg. W tej chwili zaofiarował mi korzystanie ze swej łódki na cały czas mojego pobytu w porcie. — Używam jej tylko nominalnie. Mój człowiek cały dzień jest przy schodkach na ląd. Wystarczy dać gwizdek w razie, gdy panu potrzebne czółno.

I zatrzymując się przed każdemi drzwiami, by mię puścić przodem, w rezultacie uprowadzał mię pod swoją strażą. Gdyśmy przechodzili pomost, jacyś dwaj obszarpańcy zbliżyli się i w grobowem milczeniu podali mi swe karty handlowe, które wziąłem, nic nie mówiąc, pod jego ciężkiem, z pod oka, spojrzeniem. Nieużyteczna i posępna ceremonja. Byli to faktorzy innych przekupniów okrętowych, a ten cichy za mną człowiek *ignorował ich istnienie*.

Rozstaliśmy się na wybrzeżu, gdy już wyraził mi swą niezachwianą ufność, że często będzie mię oglądał w swojej „składnicy". Ma tam dla kapitanów palarnię z gazetami

i z pudełkiem „wcale znośnych cygar". Pożegnałem go dość nieetykietalnie.

Moi dostawcy przyjęli mię ze zwykłą fachową serdecznością, lecz w ich obliczeniach stan rynku ładunkowego bynajmniej nie przedstawiał się tak korzystnie, jak ze słów tego niewłaściwego Jacobusa mogłem był oczekiwać. Naturalnie, że skłonny byłem teraz polegać raczej na jego wersji. Zamykając za sobą drzwi prywatnego oddziału biura, pomyślałem sobie: „Hm... Porcja kłamstw. Dyplomacja kupiecka. Oto jakiego rodzaju rzeczy ma się człowiek spodziewać po powrocie z morza. Chcą mi skontraktować okręt poniżej cen rynku".

W dużym zewnętrznym oddziale, zastawionym biurkami, wstał od stołu i zatrzymał mię, bawiąc uprzejmą rozmową, szef kancelarji — wysoka, szczupła, wygolona postać, w nieskazitelnie białej odzieży, z krótko ostrzyżoną, czarną głową, mieniącą się tu i owdzie srebrnym połyskiem. Niezmiernie będą uszczęśliwieni, mogąc mi czemśkolwiek wygodzić. Czy nie zajdę znów popołudniu? Co? Wybieram się na pogrzeb? O tak, biedny kapitan H — —

Na chwilę usympatycznił swą długą twarz wyrazem bolejącym, że robocza siła tego świata zmiejszyła się o to dziecko, które zachorowało podczas burzy i umarło wskutek zbytniej ciszy morskiej, poczem obnażył zęby w rekinowym uśmiechu — o ile rekin ma zęby sztuczne — i zapytał mię, czy już zrobiłem jaki układzik co do bytności okrętu w porcie.

— Tak, z Jacobusem — odrzekłem obojętnie.—Wiem, że to brat pana Ernesta Jacobusa, którego mi zarekomendowali moi właściciele.

Bez wielkiego zmartwienia dałem mu uczuć, że nie je-

stem całkowicie zdany na łaskę i niełaskę jego firmy. Zacisnął wąskie usta z wyrazem powątpiewania.

— Co? — zawołałem — czy nie jest bratem?

— O, tak... Nie mówią do siebie przez jedenaście lat — dodał po chwili znacząco.

— Doprawdy!, O cóż im poszło?

— Och, o nic! O nic takiego, o czemby warto wspominać — rzekł z przesadnym protestem. — Ma dość znaczne przedsiębiorstwo. Najlepszy dostawca tutejszy, niewątpliwie. Interes, niema co mówić, zupełnie porządny, ale tu ważną rzeczą jest też charakter osobisty, czyż nie? Sługa, panie kapitanie.

Drobnym kroczkiem odszedł do swego pulpitu. Bawił mię. Podobny był do starej panny, starej panny biuralistki, urażonej przez jakąś niestosowność. Byłaż to niestosowność handlowa? Niestosowność handlowa to rzecz, którą trzeba brać na serjo, ponieważ godzi w twoją kieszeń. A może on tylko jest skrupulatem co do obyczajności i niepodoba mu się to, że Jacobus sam pełni funkcję własnego ajenta. Lecz znowu co kraj—to obyczaj. W skupieniu ludzkiem, tak odosobnionem i tak wyłącznie handlowem, istnieje własna miara godeł socjalnych.

## II

Byłbym chętnie skwitował ze smętnej sposobności przelotnego zapoznania się jednocześnie ze wszystkimi moimi kolegami kapitanami. Bądź co bądź, jednak, poszedłem na cmentarz. Stanowiliśmy pokaźną gromadkę ludzi z obnażonemi głowami i ciemno odzianych. Zauważyłem, że ci z nas, którzy najbardziej zbliżali się do archaicznego dziś typu wilków morskich, najwięcej byli wzruszeni—być może

dlatego, że mniej mają „światowej ogłady“, niż nowe pokolenie. Stary wilk morski zdala od swego naturalnego żywiołu był prostem i sentymentalnem zwierzęciem. Spostrzegłem, że jeden z nich, stojący nawprost mnie, po drugiej stronie grobu, płacze rzewnemi łzami. Sączyły mu się po zoranej od niepogód twarzy, tak jak krople deszczu po chropowatym murze. Później się dowiedziałem, że był on, jak mówiono, postrachem majtków, człowiekiem twardym; że nigdy nie miał żony ani swego własnego pisklęcia, i że od najmłodszych lat zatrudniony żeglugą po morskich głębinach, znał kobiety i dzieci tylko z widzenia.

Może opłakiwał straconych okazyj, zazdroszcząc tylko ojcostwa, z dziwnej zawiści względem bólu, którego nigdy nie mógł zaznać. Człowiek, i nawet człowiek morski, jest chimerycznem zwierzęciem, jest wytworem ominiętej sposobności i jej ofiarą. Ale on sprawił to, że zawstydziłem się swej nieczułości. Nie było we mnie łez.

Z całkowicie obojętnym krytycyzmem słuchałem modlitwy pogrzebowej, którą mi raz czy dwa razy wypadło samemu odczytywać nad jakimś dzieciuchem z mej załogi, zmarłym na morzu. Słowa te, pobudzające do otuchy i brawury, te skrzydlate słowa, tak ożywcze wśród nieobjętego bezmiaru wód i niebios, tu zdawały się padać jakby znużone w ten mały grobik. Nacóż się zdało pytać śmierci, gdzie jej żądło—tu, nad tym maleńkim, ciemnym dołkiem w ziemi? I wówczas myśli wymykały mi się całkiem, biegnąc precz ku sprawom życia — niezbyt zresztą podniosłym, jako to: okręty, frachty, interesy handlowe. Człowiek pod względem niestałości uczuć ma opłakane podobieństwo do małpy. Mój wątek myślowy sprawiał mi obrzydzenie, a jednak myślałem: czy uda mi się rychło zawrzeć kontrakt? Czas — to pieniądz... Czy ten Jacobus rzeczywi-

ście nastręczy mi jaki dobry interes? ...Muszę go w tych dniach odwiedzić.

Nie sądźcie, żeby te moje myśli miały jaką ścisłość. Narzucały mi się raczej: niewyraźne, ciemne, niespokojne, zażenowane. I miały w sobie jakąś tępą, ohydną, zawziętą uporczywość. Nieinaczej, tylko obecność tego namolnego kramarza okrętowego nadała im bieg. Z żałobną miną stał on tam wśród naszego gronka marynarzy, i gniew mię chwytał na tę jego obecność, która, przypominając mi o jego bracie kupcu, sprawiała, żem lżył samego siebie. Gdyż w samej rzeczy cośniecoś przyzwoitego nastroju czułem w sobie. To tylko ta myśl, która — — —

Nareszcie to się skończyło. Biedny ojciec — mężczyzna lat czterdziestu, z czarnemi kępiastemi faworytami i z żałosną blizną na świeżo ogolonym podbródku—dziękował nam wszystkim, połykając łzy. Ale czy to, że niezdecydowany co do powrotu, ociągałem się z odejściem u bramy cmentarza, czy może to, że byłem z nich najmłodszy, lub widząc moje zasępienie, spowodowane wyrzutami sumienia, i przypisując je podnioślejszym i odpowiedniejszym chwili sentymentom, czy też poprostu dlatego, że byłem mu nawet więcej od innych obcy — mnie jednego wyróżnił. Idąc obok, dziękował mi ponownie słowami, których, zgryziony wewnętrznie, słuchałem w ponurem milczeniu. Raptem wsunął mi pod ramię rękę a drugą zamachał w kierunku jakiejś wysokiej, słusznej postaci, która szła ulicą zdala, samotnie, w roztrzepotanem lekkiem ubraniu.

— Oto dobry chłop, rzeczywiście dobry chłop — tu przełknął spóźnione szlochanie — ten Jacobus.

I zdziwionym głosem mówił mi, że Jacobus był pierwszym człowiekiem, który po przybyciu jego okrętu zjawił się na pokładzie i, dowiedziawszy się o nieszczęściu, za-

jął się wszystkiem, dobrowolnie ofiarował swe usługi w zasadniczych sprawach, dostawił na brzeg papiery okrętowe, zarządził co trzeba do pogrzebu. — Dobry chłop. Ja straciłem głowę. Doglądałem żony przez dni dziesięć. A ratunku żadnego. Pomyśl pan tylko! Drogi malec umarł tego samego dnia, kiedyśmy wylądowali. W jaki sposób zdołałem wprowadzić okręt do portu, Bóg jeden wie! Nie widziałem nic, nie mogłem mówić, nie mogłem... Słyszałeś pan niezawodnie, żeśmy w czasie tego przejazdu stracili za burtą starszego oficera. Nie było komu mnie wyręczyć. Biedna kobieta prawie oszalała, tam na dole, sama jedna wraz z . . . Na Boga! To nie jest sprawiedliwość.

Szliśmy razem w milczeniu. Nie wiedziałem, jak się z nim rozstać. Na wybrzeżu puścił moje ramię i dziko uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki.

— Na Boga, to niesprawiedliwie! — krzyknął znowu. — Nie żeń się pan nigdy, chyba że wprzód potrafisz ugłaskać morze . . . To nie jest sprawiedliwość!

Nie miałem zamiaru „ugłaskiwać morza", więc gdy mię opuścił, by udać się na pokład swego okrętu, uczułem w sobie postanowienie nieżenienia się wcale. Gdy zatrzymałem się u schodków, czekając na Jacobusowego wioślarza, który gdzieś sobie odszedł, przyłączył się do mnie kapitan *Hildy*, — cieniuśka w ręce parasolka jedwabna, zaostrzone kanty gladstonowskiego, staromodnego kołnierzyka, obramiające gładko ogoloną, szczupłą, rumianą twarz Była dziwnie świeża na swój wiek, pięknie zarysowana i oświetlona przez nadzwyczaj jasne oczy niebieskie. Trocha siwych włosów, lśniących jak przędzalne szkło, kędzierzawiła się, nastroszona, pod rondem jego cennej, starej panamy, z szeroką czarną wstążką. Patrząc na tego żywego, czyściuchnego staruszka, miało się wrażenie czegoś wy-

kwintnie anielskiego i zarazem chłopięcego. Jak gdyby znając mię od maleńka i jak gdyby to było zwyczajem jego życia oglądać mię codzień, zaczepił mię, udzielając mi zabawnego spostrzeżenia o jakiejś tęgiej murzynce, która siedziała na stołku, nad brzegiem tamy. Poczem zauważył uprzejmie, że mam bardzo ładniutką barkę.

Odwzajemniłem się również grzeczną, prędką odpowiedzią:

— Nie jest tak ładna, jak *Hilda*.

Natychmiast kąciki jego delikatnie wykrojonych, czułych ust opuściły się w straszny sposób.

— O mój drogi! Toż teraz ja prawie że nie mogę znieść jej widoku.

Czyż nie jest mi wiadomo, spytał z niepokojem, że zgubił figurę swego okrętu; kobieta w niebieskim staniku o złotej obszywce, twarz nie tak znów bardzo a bardzo ładniutka, ale białe, pięknie ukształtowane i gołe ramiona, wyciągnięte, jak gdyby pływała... Czyżbym nie wiedział? Ktoby się mógł takiej rzeczy spodziewać! I to jeszcze po latach dwudziestu!

Ze sposobu, w jaki to mówił, niktby się nie domyślił, że tu chodzi o kobietę ciosaną z drzewa; ten drżący głos, to wzruszenie nadawały jego płaczliwym żalom jakiś pocieszmie zdrożny odcień... Zniknęła w nocy — czysta, pogodna noc, z takiem sobie leciutkiem wzdęciem fali — w zatoce Bengalskiej. Odeszła bez żadnego pluśnięcia; nikt na okręcie nie mógł objaśnić dlaczego, poco, o której godzinie — po dwudziestu latach, ubiegłych w tym październiku... Czy nie słyszałem o tem?...

Zapewniłem go współczująco, że wcale nie słyszałem — i pogrążył się w bolesnych rozstrząsaniach. Z pewnością nie znamionuje to nic dobrego. Było w tem jakby

ostrzeżenie. Lecz gdym zrobił uwagę, że przecież można sprokurować inny wizerunek kobiety, dostało mi się porządne wymyślanie, żem to tak lekko traktował. Ślicznie wygarbowana twarz starego chłopca oblała się ponsem, tak jak gdybym mu zaproponował był coś nieprzyzwoitego. Można zastąpić maszty, powiedziano mi, lub wiosło zgubione — jakiś roboczy sprzęt okrętowy; ale co za sens przyczepiać nową figurę? Jaka satysfakcja? Czyż ktokolwiek może dbać o to? Widoczne jest, że mnie się nie zdarzyło być okrętowym towarzyszem figury przez dwadzieścia lat.

— Nowa figura! — zrzędził z niegasnącem oburzeniem: — Jakto! Więc ja, będąc wdowcem od lat dwudziestu ośmiu, dobiegających obecnie, w tym maju, mam teraz właśnie, co prędzej, myśleć o prokurowaniu sobie nowej żony. Pan jesteś taki sam ladaco, jak i ten chłystek Jacobus.

Wysoce mię to bawiło.

— Co uczynił ten Jacobus? Czy nie namawiał pana do małżeństwa, panie kapitanie? — dopytywałem się z zajęciem. Ale jego już poniosło, i tylko gniewnie zazgrzytał.

— Sprokurować! — w samej rzeczy! On jest z tego gatunku drabów, którzy sprokurują panu wszystko, co pan chcesz, za pieniądze. Nie upłynęła godzina, jak tu przycumowałem, gdy już dostał się na pokład i odrazu chciał mi sprzedać biust, który wypadkowo miał tam gdzieś w swojem podwórzu. Podbechtał Smitha, mojego starszego oficera, żeby o tem ze mną pomówił. „Panie Smith — powiadam — czy pan nie masz lepszego o mnie pojęcia? Czy ja jestem z tych, którzy podnoszą cudze, wyrzucone na śmietnik biusty?“ I to jeszcze po tylu latach!

Sposób, w jaki wyraża się niejeden z was, młodzieńców — —

Udałem wielką skruchę i, siadając w czółno, rzekłem rozważnie:

— Zatem niema tu innej rady, jak tylko przytwierdzić gryf od skrzypiec — chyba, że to. Wie pan, taki snycerski, kabłąkowaty ornament, pięknie złocony.

Po tym wybuchu bardzo osowiał.

— Tak. Kabłąk. Być może. Jacobus też wspominał o tem. On zawsze się znajdzie w kropce, gdy chodzi o wyciągnięcie grosza z kieszeni żeglarskiej. Onby mi kazał zapłacić tyle za ten rzeźbiony ornament, ile kosztuje cały dziób. Złocony gryf od skrzypiec, powiedziałeś pan— hm? Ośmielę się twierdzić, iż dobre to dla pana. Wy, młodzież, nie macie, jak widać, poczucia tego, co jest odpowiednie.

Zrobił kurczowy ruch prawą ręką.

— Niema się o co troszczyć. Nic już tu nie może stanowić wielkiej różnicy. Otóż właśnie, że jak najrychlej puszczam staruszka w świat z gołą sztabą — jęknął posępnie. A gdy czółno odbiło już od schodków, jeszcze z komiczną zapalczywością wytężył głos na krawędzi bulwarku.

— Tak, zrobię to! Choćby jeszcze na złość tej dostarczającej biustów pijawce. Stary ze mnie wróbel, nie zapominaj pan o tem. A którego dnia wpadnij pan do mnie na pokład!

Spędziłem pierwszy wieczór portu w swej cichej klitce okrętowej; i dość byłem rad myśli, że to strądowe życie, z jego tak rażąco małostkowym, rozstrajającym zespołem, i z jego obfitością twarzy, nowych dla świeżo przybyłego z morza, nie będzie miało do mnie przystępu o kil-

ka godzin dłużej. Ale jednak sądzone mi było jeszcze raz przed snem usłyszeć coś na nutę Jacobusa.

Burns oddalił się był po kolacji na strąd, ażeby, jak się wyraził, „rzucić na świat okiem". Ponieważ było zupełnie ciemno, gdy mi oznajmił swój zamiar, nie dopytywałem się, coby tam chciał widzieć. W jakiś czas, już pod północ, siedząc z książką w salonie, usłyszałem skradające się jego kroki i okrzyknąłem go po nazwisku.

Burns wszedł, trzymając laskę i kapelusz, i wyglądając w sposób nie do uwierzenia zordynarniały przez odświętność swych szat lądowych, z miną obibruka i z ohydnem podmrugiwaniem oczu. Zaproszony — siadł, położył laskę i kapelusz na stole, i po krótkiej chwili rozmowy o sprawach okrętowych:

— Ładnych ja się powiastek nasłuchałem w porcie o tym gagatku, kupczyku okrętowym, co tak gracko wyłudził robotę od pana, panie.

Zrobiłem uwagę swemu byłemu pacjentowi z powodu jego wyrażania się. Tylko się otrząsnął pogardliwie. Ślicznie udana sztuczka, doprawdy: zahaczyć cudzy okręt, wyprowjantować go śniadaniem w dwóch koszach dla całej załogi i najspokojniej zaprosić samego siebie do kapitańskiego stołu! Nigdy w życiu nie słyszałem o czemś tak przebiegle bezwstydnem.

Uczułem w sobie chęć obrony niezwykłych sposobów Jacobusa.

— On jest bratem jednego z najbogatszych kupców w tym porcie.

Oczy starszego oficera trysnęły pięknie zielonemi iskrami.

— Jego starszy brat nie mówił do niego przez ośm-

naście czy dwanaście lat — oznajmił triumfująco: — Ot w czem rzecz!

— Wiem o tem wszystkiem — przerwałem wyniośle.

— Wie pan? Hm! — Bieg jego myśli jeszcze odbywał się w kierunku etyki handlowego współzawodnictwa. — Nie mogę patrzeć na wyzyskiwanie pańskiej dobroci. On dał temu naszemu stewardowi pięciorupjowy banknot w łapę, żeby tamtego tu nie wpuszczał — lub może i więcej za taką rzecz. On o to się nie turbuje. Zaraz i to — i ponadto wliczy do rachunku.

— Czy to jest jedna z tych bajd, któreś pan słyszał na strądzie? — spytałem.

Zapewnił mnie, że jego własny rozsądek mógł mu dużo o tem powiedzieć. Nie, ale o czem słyszał na brzegu, to o tem, że bodaj nikt z szanujących się osób w mieście nie zbliża się do Jacobusa. Zamieszkuje pono jakiś obszerny staroświecki dom na jednej z cichych ulic, z wielkim ogrodem. Powiedziawszy to, Burns przybrał tajemniczy wyraz.

— Trzyma on tam w zamknięciu jakąś dziewczynę, która, jak mówią...

— Przypuszczam, żeś pan słyszał te wszystkie plotki w jakiem czcigodnie przyzwoitem miejscu? — wyciąłem, jak można najuszczypliwiej.

Cios trafił, ponieważ pan Burns, jak i wielu innych nieprzyjemnych ludzi, miał niesłychanie drażliwą miłość własną. Został, jakby rażony gromem, z ustami otwartemi do zakomunikowania mi jakichś dalszych pogłosek, lecz nie dałem mu już sposobności do tego.

— I wogóle, tak czy owak, co mię to, u djabła, może obchodzić? — dorzuciłem, cofając się do swego pokoju.

I było rzeczą naturalną, że tak powiedziałem. Ale

obojętności tej jakoś nie czułem. Dajmy nato, że zaprzątanie się moralną stroną swego handlarza okrętowego jest absurdem, chociażby ten handlarz utrzymywał z nami jak najbliższe stosunki kupieckie; lecz jego osobistość na pierwszy mój dzień w przystani nałożyła swoją pieczęć w sposób wam już wiadomy.

Po tym wstępnym bohaterskim czynie, Jacobus ukazywał się we wszelkiej innej postaci, tylko nie natręta. Dzień w dzień, od samego rana, był poza domem, i w czółnie objeżdżał okręty, które kolejno obsługiwał, zatrzymując się na pokładzie jednego z nich, by przy okazji spożyć z kapitanem śniadanie. Jakoż, widząc, że te usługi cieszą się ogólnem wzięciem, kiwnąłem mu głową pobłażliwiej, gdy raz, wychodząc od siebie, zastałem go w jadalni. Rzuciwszy okiem na stół, dostrzegłem, że jego miejsce było już nakryte. Stał w oczekiwaniu mego zjawienia się, bardzo masywny i cichy, trzymając w swej grubej ręce przepiękny bukiet kwiatów. Ofiarując je z bladym, sennym uśmiechem, podał mi do wiadomości: z własnego ogrodu; ma bardzo niebrzydki stary ogród; sam je rwał dziś rano przed wyjściem za interesami; sądzi, że chciałbym... Odwrócił się. — Czy mógłbym prosić stewarda o trochę wody w obszernym dzbanku, jeżeli łaska.

— Sprawia pan — zapewniłem go żartobliwie, siadając przy stole, — że mam uczucie, jak gdybym był jakąś wcale ładną dziewczyną, i nie powinno go dziwić, że się rumienię.

Lecz on był zajęty układaniem swej daniny kwiatowej przy kredensie.

— Niech steward postawi to, z łaski swej, przy nakryciu pana kapitana, proszę.

Wypowiedział tę prośbę swym zwykłym, niskim półgłosem.

Zaofiarowanie tych kwiatów było zrobione tak finezyjnie, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko je wąchać, gdy on, cichutko zająwszy miejsce, wyszeptał pogląd, że trochę kwiatów znakomicie uprzyjemnia wygląd okrętowego salonu. Chciałby wiedzieć, czemu nie zaprowadziłem u siebie naokoło górnego okna poprzybijanych półek pod doniczki z kwiatami, którebym z sobą brał na morze. Miałby on zręcznego rzemieślnika, któryby załatwił dopasowanie półek w ciągu jednego dnia, a on mógłby mi dostarczyć dwa lub trzy tuziny dobrych roślin — —

Koniuszczki jego tłustych, okrągłych palców w niezachwianej równowadze spoczywały na krawędzi stołu, po jednej stronie filiżanki z kawą i po drugiej. Z jego twarzy nie schodził wyraz niezmąconego spokoju. Burns złośliwie uśmiechał się sam do siebie. Oświadczyłem, że bynajmniej nie mam zamiaru przerabiać górnego okna na oranżerję poto jedynie, ażeby wieczną potrawą na stole oficerskim była próchnica i obumarłe szczątki roślinne.

— Hodować tam najpiękniejsze kwiaty — nalegał, rzucając okiem ku górze. — A kłopotu z tem doprawdy niema.

— Ależ jest. Mnóstwo kłopotów — zaprzeczyłem. — Aż wreszcie który gamoń pozostawi górne okno otwarte podczas chłodnej morki, dostaną jeden chlust słonej wody i w tydzień cała grządka już martwa.

Burns wzgardliwie parsknął na znak aprobaty. Jacobus przystał na to biernie. W czas jakiś potem rozkleiły się jego tłuste wargi, pytając, czy nie widziałem się jeszcze z jego bratem.

Odpowiedziałem krótko-węzłowato:

— Nie, jeszcze nie.

— To zupełnie inny człowiek — zauważył sennie i wstał. Jego ruchy miały osobliwą cichość. — No, dziękuję panu, panie kapitanie. Jeśli coś nie wypadnie według pańskich życzeń, pan będzie łaskaw nadmienić o tem stewardowi. Przypuszczam, że pan zaraz wyda obiad dla personelu biura.

— Poco? — zawołałem z pewną żywością: — Gdyby mój stosunek handlowy z portem był stały, to inna rzecz. Ależ ja tu zgoła obcy!... Mogę tu nie powrócić w ciągu stu lat. Nie widzę, dlaczego ja... Czy pan chce powiedzieć, że to przyjęte?

— Tego się oczekuje od kogoś takiego jak pan — westchnął łagodnie. — Ośmiu starszych komisantów, szef — to dziewięć, panów trzech — dwanaście osób. Nie powinno zbyt wiele kosztować. Gdyby pan zechciał dać mi znać o dniu przez stewarda — —

— Tego się ode mnie oczekuje! Dlaczegóż ma się tego ode mnie oczekiwać? Czy przeto, że wydaję się już nazbyt miękkim, czy co?

Uderzyła mię w jego nieruchomej postawie jakaś nagle przywdziana godność, a w jego zimnej krwi odczułem cechę niebezpieczną.

— Jest czasu poddostatkiem, by to obmyśleć — zakończyłem wątło, machnięciem ręki usiłując go się już pozbyć. Ale przed odejściem zdążył nadmienić z ubolewaniem, że dotąd nie miał przyjemności oglądania mnie w swoim „zakładzie", bym spróbował cygar. Miałby do zbycia paczkę, sześć tysięcy, bardzo tanio.

— Myślę, że opłaciłaby się panu chwilowa fatyga dla zamówienia sobie pewnej ich ilości — dodał z tłustym, melancholijnym uśmiechem i opuścił kajutę.

Burns, wzburzony, uderzył pięścią w stół.

— Czy pan widział kiedy taką bezczelność! Postanowił sobie wyciągnąć z pana cokolwiek bądź, w ten czy w inny sposób.

Odrazu poczułem w sobie chęć obrony Jacobusa i odparłem filozoficzną uwagą, że wszystko to są sprawy zawodowe, jak mniemam. Lecz ten niedorzeczny starszy mój oficer, wymruknąwszy parę urywanych zdań, jako to: „Nie mogę ścierpieć!... Zważ pan moje słowa" i tak dalej, z trzaskiem wyleciał z kajuty. Gdybym go był nie pielęgnował podczas tej zabójczej gorączki, nie zniósłbym jego zachowania się ani przez jeden dzień dłużej.

## III

Mając zaprzątniętą przez Jacobusa myśl bogatym jego bratem, przyszedłem do wniosku, że trzeba sprawę widzenia się z nim załatwić niezwłocznie. Podówczas słyszałem o nim już cokolwiek więcej. Był on członkiem Rady, gdzie stale ściągał na siebie zarzuty władz. Wywierał spory wpływ na opinję publiczną. Mnóstwo ludzi było mu winno pieniądze. Jako dostawca wwozowy, prowadził na wielką skalę import wszelkiego rodzaju towarów. Naprzykład, cała dostawa worków do cukru była faktycznie w jego ręku. O tym ostatnim fakcie dowiedziałem się dopiero później. Z dostarczonych mi danych odniosłem ogólne wrażenie, że stanowił miejscową znakomitość. Był kawalerem i urządzał co tydzień w swym zamiejskim domu karciane przyjęcia, na których bywali najpierwsi ludzie z osady.

Tem większą było tedy dla mnie niespodzianką, gdym odnalazł jego biuro w lichem otoczeniu, zupełnie zdala od dzielnicy interesów, pośród skupiska nędznych lepia-

nek. Mając wskazany kierunek przez czarną deszczułkę z białemi literami, wdrapałem się po drewnianych stopniach wąskiej klatki schodowej i wszedłem do miejsca o gołej podłodze z desek, zasłanej strzępkami burego papieru i wiechciami pakowej słomy. Wielka ilość nawalonych na siebie jakby skrzynek winnych piętrzyła się u jednej ze ścian. Chuderlawy, atramentowo czarniawy, zlekka żółtawy, młodzikowaty mulat, o mizernie długiej szyi i naogół przypominający chore kurczę, zerwał się z trójnożnego stołka, z poza taniej, z tarcic skołatanej biurczyny, i wpatrywał się we mnie, jak gdyby oniemiały ze strachu. Miałem pewną trudność z namówieniem go, aby mię poszedł oznajmić, chociaż nie mogłem z niego wydobyć, jakiejby natury był jego przeciw temu zarzut. Uczynił to wreszcie, nieomal konając z niechęci, która przestała być dla mnie zagadkową, gdy usłyszałem, jak go straszliwie, z dzikim przytłumionym porykiem sklęto, potem donośnie wypoliczkowano i ostatecznie wykopnięto nazewnątrz, zgoła bez żadnej tajemniczości; albowiem powrócił, wylatując za drzwi głową naprzód i dusząc się od powściąganego krzyku.

Powiedzieć, że struchlałem, byłby to niedostateczny wyraz. Zachowywałem się cicho, jak człowiek pogrążony we śnie. Biedny chłopiec, trzymając się oburącz za tę część swego wątłego szkieletu, która otrzymała uderzenie, rzekł poprostu:

— Niech pan będzie łaskaw wejść.

Samoopanowanie tej mizeroty było dziwne; lecz nie niweczyło ono nieprawdopodobieństwa raz już doznanego wrażenia. Niedorzeczny pomysł, że ja tego chłopca gdzieś przedtem już widziałem, rzecz, oczywiście, niemożebna, był jakby delikatnem, zakończającem obrzęd czarów dotknię-

ciem, uzupełnieniem sceny, w sam raz odpowiedniej do powzięcia wątpliwości, czy się jest przy zdrowych zmysłach. Z wytężonym wzrokiem oglądałem się dookoła, jak obudzony lunatyk.

— Słuchajno — krzyknąłem wgłos, — czy to omyłka, czy nie? To jest biuro pana Jacobusa?

Chłopiec wpatrzył się we mnie z bolesnym wyrazem i tak mi jakoś trochę znajomym! Głos ze środka warknął zaczepnie:

— Wejdź pan, chodź pan, kiedy tu już jesteś... Nie wiedziałem...

Przeszedłem ową zewnętrzną izbę tak, jak gdybym się zbliżał do jaskini jakiegoś dzikiego, nieznanego zwierza: z nieustraszoną odwagą lecz w pewnem podnieceniu. Tylko że niema na świecie zwierza, któryby w człowieku mógł wywołać oburzenie; moc czynienia tego należy do ohydnych właściwości zwierzęcia ludzkiego. I ja wrzałem oburzeniem, co nie przeszkodziło mi zauważyć uderzającego podobieństwa obu tych braci.

Ten był ciemny, gdy tamten był jasnowłosy; ale równie otyły. Był bez marynarki i bez kamizelki; niewątpliwie ucinał drzemkę, chrapiąc w bujaku, który stał w najdalszym od okna kącie. Ponad wielkim obszarem zmiętoszonej białej koszuli, zapiętej na trzy guzy brylantowe, jego pucołowata twarz wydawała się smagłą. Była wilgotna; ciemne wąsy zwisały kalekie i stetłane. Przypchnął mi nogą zwyczajne, o wyplatanem siedzeniu krzesełko.

— Siądź pan.

Musnąłem je przelotnem spojrzeniem, następnie, zwracając gniewne oczy wprost na niego, oświadczyłem to-

nem ścisłym i dobitnym, że przychodzę tu stosownie do zleceń mojego armatora.

— O! Tak. Hm! Nie zrozumiałem, co ten błazen mówił... Ale nic nie szkodzi! To oduczy tego drania przeszkadzać mi o tej porze — dodał, szczerząc do mnie zęby z drapieżnym cynizmem.

Spojrzałem na zegarek. Było po trzeciej — właśnie najgorętsza pora biurowej pracy poobiedniej w porcie. Burknął rozkazująco:

— Siadaj, kapitan.

Zważywszy łaskawość tego zaproszenia, odrzekłem:

— Wszystkiego, co mi pan ma do powiedzenia, mogę wysłuchać stojąc.

— Tfu! — wyfuknął i wlepił we mnie na moment szeroko otwarte, srogie ślepia. Olbrzymi kocur, nagle plujący w człowieka. — Patrzcie go!... Co panu się śni, że pan jesteś? Pocoś pan tu przyszedł? Jeśli pan nie chcesz usiąść i porozmawiać o interesach, to lepiej idź pan sobie do djabła!

— Nie znam go osobiście — rzekłem: — lecz wobec tego, nieomieszkam złożyć mu wizyty. Spotkanie z dżentelmenem działa odświeżająco.

Szedł za mną i warczał:

— Co za bezczelność! Mam wielką chęć napisać pańskim mocodawcom to, co o panu myślę.

Odwróciłem się ku niemu na chwilę.

— Wyjątkowo nic a nic mnie to nie obchodzi. Zapewniam pana, ze swej strony, że nie podejmę trudu nawet wzmiankowania im o panu.

Zatrzymał się we drzwiach swego biura, kiedym już przeszedł zaśmieconą sień. Mniemam, że był cokolwiek zaskoczony.

— Pogruchotam w tobie wszystkie gnaty — raptem ryknął na nieszczęsnego mulatka, — jeśli kiedykolwiek ośmielisz się przeszkodzić mi do godziny trzeciej dla kogokolwiek bądź. Słyszysz? Dla kogokolwiek bądź!... Daj mi spokój z jakimś tam szyprem, bierz go licho — mruknął trochę ciszej.

Wątły młodzieniaszek, chybocząc się jak trzcinowa piszczałka, wydawał stłumiony pojęk. Zatrzymałem się i udzieliłem temu cierpiącemu stworzeniu pewnej rady. Podsunął mi ją widok młotka (zdaje się używanego do otwierania skrzynek z winem), leżącego na podłodze.

— Gdybym był tobą, mój chłopcze, wziąłbym tę rzecz do rękawa, wchodząc tam za następnym razem, i przy pierwszej sposobności bym — —

Co to jest, to coś mi znajomego w żółtej twarzy tego chłopaka? Zatarasowany i dygoczący za swojem tandetnem biurkiem, nawet nie podniósł oczu. Grubość jego opuszczonych powiek naraz dała mi klucz tej łamigłówki. Podobny był — tak jest, te sklejone mięsiste wargi — podobny był do brata Jacobusa. Podobny był do obudwu, do tego bogatego kupca i do tamtego zabiegliwego kramarza (którzy byli podobni do siebie); podobny był do nich o tyle, o ile wiotka, zlekka żółtawa chłopaczyna mulacka może być podobną do dużego, tęgiego, białego człowieka w średnim wieku. Egzotyczna cera i szczupłość budowy — oto co mię tak najzupełniej zbijało z tropu. Teraz nieomylnie widziałem w nim cechy rodowe Jacobusów, osłabione, o zmalałem natężeniu — rozcieńczoną, że tak powiem, ich treść w wiadrze wody — i powstrzymałem się od zakończenia swej namowy. Miałem zamiar powiedzieć: „Trzaśnij i rozwal mu ten jego łeb bydlęcy". Czułem jeszcze dotąd. iż ten ostateczny wniosek był trafny. Ale

to nie żarty brać na siebie odpowiedzialność, doradzając komuś ojcobójstwo, choćby i najniezmierniej pokrzywdzonemu.

— Żebracze — pyskate — szypry...

To ujadanie za plecami przyjąłem z pogardą; będąc jednakże wielce podrażniony i wytrącony z równowagi, z żalem to mówię, zatrzasnąłem za sobą drzwi w sposób jak najbardziej sprzeczny z dostojnością.

Może to się wyda rzeczą niezupełnie nierozsądną, jeśli powiem, że po tej przeprawie pogląd mój na tamtego Jacobusa znacznie się poprawił. I z przychylniejszem uczuciem niby jakiegoś z nim wspólnictwa, po kilku dniach zgłosiłem się do jego „zakładu". Do tego przybytku interesów, o bardzo ciemnych tyłach piwnicznych, do tej przepastnej bezdni, zapchanej wszelkim materjałem kupieckim, wchodziło się z ulicy przez wysoko wzniesioną arkadę portalu. W dalekiej głębi spostrzegłem mego Jacobusa bez marynarki, usilnie zajętego czemś wśród swych pomocników. Izbę kapitańską stanowił mały, sklepiony alkierz, z kamienną posadzką i o okratowanych grubemi żelaznemi sztabami oknach, przypominający zamkowy loszek więzienny, zamieniony w gościnną komnatę.

Para ochoczych butelek w towarzystwie kilku brylantowo lśniących kieliszków tworzyły świetne gronko dokoła matowo-czerwonego, gliniastego, pokaźnej objętości dzbanka w pośrodku stołu, na którym rozpostarte leżały czasopisma ze wszystkich części świata. Dobrze wyszczotkowany jakiś obcy pan, w szykownym garniturze szarym w kratkę, siedzący z zarzuconą na kolano nogą, odłożył nabok arkusz gazety i kiwnął mi głową.

Domyśliłem się, że to kapitan jakiegoś parowca. Nie-

sposób znać tych panów. Przybywają i oddalają się zbyt prędko, a ich statki rejdują za daleko, u samego wejścia do przystani. Żyją właściwem sobie, łącznem życiem. Zlekka ziewnął.

— Głupia dziura, nieprawdaż?

Zrozumiałem, że ma na myśli miasto.

— Pan uważa? — mruknąłem.

— A pan nie? Lecz jutro już mnie tu niema, dzięki Bogu.

Wyglądał na osobę nader dżentelmeńską, uprzejmą i wyższego tonu. Przyglądałem mu się, jak przysunął do siebie stojące na stole otwarte pudełko z cygarami, jak wydobył z kieszeni grubą papierośnicę i jak zaczął ją bardzo porządnie napełniać. Teraz, gdy spotkały się nasze oczy, mrugnął niby zwyczajny śmiertelnik, zachęcając mnie do pójścia za jego przykładem.

— Można je palić, są istotnie przyzwoite.

Pokręciłem głową.

— Ja tu jeszcze jutro będę.

— Cóż z tego? Sądzi pan, że nadużywam gościnności Jacobusa? Uchowaj Boże! To wchodzi do rachunku, rzecz prosta. On przeplata go takiemi różnemi drobnemi doliczkami. Umie on dbać o samego siebie. Czemużby nie, to zwykła rzecz w interesach — —

Zobaczyłem cień, przemykający po jego pełnym zadowolenia wyrazie twarzy, i moment niezdecydowania, gdy zamykał swą papierośnicę. Lecz skończyło się na tem, że schował ją do swej kieszeni obieżyświatowca. Umiarkowanym głosem wyrzeczone ozwało się ode drzwi: „Jesteś pan w zupełnym porządku, panie kapitanie".

Obszerny, bezszelestny kształt Jacobusa wsunął się do izby. Jego spokój w danym razie znaczył tyleż co ser-

deczność. Zjawił się do nas, wdziawszy przedtem żakiet, i usiadł w fotelu opróżnionym przez parowcowego kapitana, który ponownie kiwnął mi głową i wyszedł z krótkim, trzeszczącym śmiechem. Zapanowało głębokie milczenie. Trzymając na mnie swój ociężały wzrok, Jacobus zdawał się drzemać z otwartemi oczyma. Jednak czułem, że ciężkie jego spojrzenie do głębi mię bada. W ogromnej pieczarze sklepu ktoś jął zabijać gwoździmi pakę, snać fachową ręką: pac — pac... pac — pac — pac. Dwaj inni fachowcy, jeden głosem niskim i nosowym, drugi świdrującym w uszach i szczekliwym, zaczęli jakby litanję sprawdzania faktur.

— Trzycalowy kordel maniljowy, pół kłębu.

— Dobrze.

— Sześć par sprzęgieł.

— Dobrze.

— Sześć puszek zup — komplet, trzy pasztetu, dwie szparagów, czternaście funtów tytoniu — kajuta.

— Dobrze.

— To dla tego kapitana, który tu był przed chwilą — rzekł piersiowym półgłosem niezachwiany Jacobus. — Te obstalunki z parowców to drobiazg. Skubią po drodze to co im potrzeba narazie. Ten pan będzie w Samarangu przed upływem dwu tygodni. Bardzo małe zamówienie, doprawdy.

Wywoływanie pozycyj szło w sklepie w dalszym ciągu; nadzwyczajna mieszanina różnorodnych części składowych, pędzli malarskich, yorkshir'skich delikatesów etc., etc....

— Trzy worki najprzedniejszych ziemniaków — wyczytywał głos nosowy.

Tu Jacobus zamrugał powiekami, jak śpiący człowiek,

którego obudzono szturchnięciem, i ujawnił cokolwiek ożywienia. Na jego rozkaz, wykrzyknięty w głąb sklepu, jakiś mizdrząco uśmiechnięty, półkolorowy pisarek, o suto namaszczonych olejem kędziorkach i z obsadką pióra zatkniętą za ucho, wniósł próbkę z sześciu kartofli, które ustawił na stole w ordynku paradowym.

Znaglony do przyjrzenia się ich piękności, obrzuciłem je zimnym i nieprzyjaznym błyskiem oczu. Najspokojniej w świecie Jacobus zaproponował mi, żeby zrobić u niego obstalunek na dziesięć lub piętnaście tonn — tonn! Nie wierzyłem uszom. Moja załoga nie zjadłaby takiej porcji przez rok; a kartofel (wybaczcie mi tę praktyczną uwagę) to łatwo psująca się ładuga. Myślałem, że żartuje, lub że chce się przekonać, czy nie jestem jakimś niewypowiedzianie głupim niedołęgą. Ale jego zamiar nie był tak prosty. Okazało się, że rozumiał on kupno na mój własny rachunek.

— Proponuję panu kawałek interesu, panie kapitanie. Nie oznaczę wysokiej ceny.

Powiedziałem mu, że nie przybyłem tu handlować. I nawet dodałem szyderczo, że zbyt dobrze wiem, jak się kończy tego rodzaju spekulacja. Westchnął i założył ręce na żołądek z gestem przykładnego wyrzeczenia się. Podziwiałem jego bezwstydny spokój. Zaczem, jakby się budząc:

— Może pan zapali cygaro, kapitanie.

— Nie, dziękuję. Nie palę cygar.

— Tym razem! — szepnął cierpliwym szeptem, wzmożonym do okrzyku.

Nastąpiła melancholijna cisza milczenia. Wiecie, jak czasami ktoś uzewnętrznia głębię i przenikliwość myśli, o którą nie można go było podejrzewać, to jest, inaczej mó-

wiąc, wyłania z siebie coś nieoczekiwanego. Z takiem więc pewnem nieoczekiwaniem słuchałem Jacobusa, gdy mówił:

— Ten pan, który przed chwilą wyszedł, miał słuszną rację. Może pan zapalić, panie kapitanie. Tu obowiązkiem każdej rzeczy jest przedstawiać się tylko ze strony interesu.

Uczułem, że mi trochę wstyd samego siebie. Pamięć o tamtym strasznym jego bracie sprawiła, że ten wydał mi się odmianą człowieka zupełnie godziwą. Nieco tedy skruszony, wypowiedziałem kilka słów w tym sensie, że gościnności jego bynajmniej nic nie zarzucam.

Zanim postarzałem się o minutę, spostrzegłem — dokąd mię to ustępstwo prowadzi. Jak gdyby zmieniając przedmiot, Jacobus nadmienił, że do jego prywatnej siedziby jest około dziesięciu minut spacerkiem. Siedziba posiada otoczony murem stary ogród. Coś istotnie godnego uwagi. Mógłbym też zajść którego dnia i rzucić okiem.

Wyglądał na miłośnika ogrodów. I ja również miałem w tych rzeczach wielkie upodobanie; lecz anim myślał, żeby moja skrucha miała ponieść mię aż tak daleko — do kwiatowych grządek Jacobusa, chociażby nie wiem jak pięknych i starych. Z pewną cechą parafjańskiej szczerości dodał:

— Tam tylko jest moja dziewczyna.

Trudno zapisywać każdą rzecz w należytym porządku. Muszę więc tutaj cofnąć się do tego, co stało się przed tygodniem czy przed dwoma. Ordynujący z urzędu lekarz portowy przybył na pokład mego okrętu, by rzucić okiem na jednego z mej załogi, któremu coś dolegało, i, rzecz naturalna, zaproszony został do kajuty. Był tam również i pewien mój kolega-szyper; podczas rozmowy o tem i owem zostało wspomniane nazwisko Jacobusa. Wymienił je

z nieszczególnym szacunkiem ktoś, bodaj że ten kolega. Nie pamiętam teraz co już-już miałem mówić. Doktór, przyjemny, kulturalny, o zdecydowanym tonie, uprzedził moje słowa, wtrącając z przekąsem:

— Ach, panowie mówicie o moim szanownym teściu.

Rzecz prosta, cierpki ten frazes wywołał wtedy kłopotliwe milczenie. Przypomniałem sobie ten epizod i, kojarząc go z daną sytuacją, gdy już zaświerzbiał mię język, by powiedzieć coś niegrzecznego, zapytałem tylko z uprzejmem zdziwieniem:

— Pan masz zamężną córkę, która z panem mieszka, panie Jacobus?

Machnięciem tłustej ręki z prawa na lewo zaprzeczył. Nie! To jest inna z jego córek, powiedział znacząco i, jak zwykle, półgłosem. Ona... Zrobił przestanek, snać chcąc wynaleźć w mózgu jakieś opisowe zdanie. Lecz moja nadzieja została zawiedziona. Ograniczył się wypowiedzeniem swego zwykłego określenia:

— To jest osoba zupełnie w innym guście.

— Doprawdy... Ale-ale, panie Jacobus, byłem u pańskiego brata w tych dniach z wizytą. Nie pochlebiając panu, znalazłem, że jest to osoba zupełnie w innym guście, niż pan.

Przybrał wyraz głębokiego zastanowienia się, potem rzekł spokojnie.

— To jest człowiek o ustalonych nawyknieniach.

Może stosował to do nawyknienia do owej poobiedniej drzemki; lecz ja wymamrotałem coś o „bydlęcych, w każdym razie, nawyknieniach" i raptownie wyszedłem ze sklepu.

## IV

Moje drobne zajście z tamtym Jacobusem zyskało powszechny rozgłos. Niektórzy znajomi dawali mi do zrozumienia, że o tem wiedzą. Chyba mulatczyk się wygadał. Opinja była poniekąd zgorszona, ale muszę wyznać, że wcale nie z powodu brutalności Jacobusa. Jeden z moich dawniejszych znajomych strofował mię za porywczość. Opowiedziałem mu cały przebieg mej wizyty, nie wyłączając mniemanego podobieństwa nieszczęsnej chłopaczyny mulackiej do swego dręczyciela. Nie dziwił się. Zapewne, zapewne. I cóż stąd? Jowjalnym tonem zapewniał mię, że tego gatunku musi być sporo. Jacobus starszy był przez całe życie kawalerem. Wysoko poważanym kawalerem. Lecz ten stosunek nigdy nie wywoływał jawnego zgorszenia. Prowadzi życie w zupełności regularne. Nie byłby w stanie dla kogokolwiek być przykrym.

Powiedziałem, że mnie spotkała przykrość dość poważna. Mój interlokutor zrobił wielkie oczy: jakto? że chłopcu, jakiemuś mulatowi, dostało się parę szturchańców? Jest się też o co rozbijać, doprawdy. Nie mam pojęcia o zuchwalstwie i kłamliwości tych mieszańców. Zdawało się, że w jego przekonaniu pan Jacobus okazuje temu chłopakowi niemal łaskę, trzymając go wogóle u siebie w zajęciu; rodzaj miłej słabostki, za którą można kogoś lubić i którą można wybaczyć.

Ten mój znajomy zaliczał się do starych rodzin francuskich, stanowiących potomstwo dawnych osadników; wszystko to szlachta, wszystko zbiedniałe i żyjące ciasnem domowem życiem, spłowiałem i zanikającem w dostojnem murszeniu. Płeć brzydka, z reguły, zajmowała podrzędne

stanowiska w biurach rządowych lub w przedsiębiorstwach handlowych. Dziewczęta, po większej części ładniutkie, nie znające świata, dobre i układne, i zazwyczaj dwujęzyczne; szczebiotały niewinnym szczebiotem zarówno po francusku jak i po angielsku. Pustka ich bytowania przechodzi wiarę.

Otrzymałem wstęp do kilku takich rodzin, ponieważ przed paroma laty, w Bombaju, nadarzyła mi się sposobność oddania przysługi pewnemu miłemu, bezradnemu młodzieńcowi, który utknął jak rozbitek, nie wiedząc, co tam z sobą począć, lub nawet jak się znowu dostać na swoją wyspę. Była to kwestja dwuchset czy około tego rupij, lecz gdym przybył zpowrotem, rodzina wzięła sobie za punkt honoru wyrazić mi wdzięczność przez dopuszczenie mnie do zażyłej z sobą komitywy. Zwłaszcza, że ułatwiła mi przyjęcie moja znajomość francuskiego języka. Zdążyli tymczasem ożenić owego młodzieńca z kobietą dwa razy odeń starszą, stosunkowo zamożną; jedyny dla niego odpowiedni fach. Lecz pożycie ich nie było całkowicie usłane różami. Za pierwszą moją u tego stadła bytnością, żona, wyszpiegowawszy tłustą plamkę na spodniach tego nieboraka, zrobiła mu taką wrzaskliwą scenę wyrzutów, przepojonych namiętnością, że siedziałem, zdjęty przerażeniem, jak na tragedji Racine'a.

Oczywiście, nie było wcale mowy o sprawie pożyczonych mu pieniędzy; ale panna Agnieszka i panna Marja, dwie jego siostry, oraz ciotki obu rodzin, mówiące wykwintną archaiczną francuszczyzną z epoki przed Rewolucją, łącznie z zastępem dalekich krewnych i powinowatych, wręcz adoptowali mię na przyjaciela z takiemi zachodami, że były one dla mnie prawie kłopotliwe.

Ten ktoś, z kim rozmawiałem o Jacobusie hurtowniku,

był to właśnie najstarszy brat (miał zajęcie w mej kancelarji odbiorczej). Ubolewał nad mojem zachowaniem się wtedy i kręcił roztropną głową. To człowiek o dużych wpływach. Nigdy niewiadomo, kiedy się taki może przydać. Oświadczyłem, że wybierając pomiędzy nimi dwoma, zewszechmiar oddaję pierwszeństwo detaliście. Tu mój przyjaciel spoważniał.

— Co u licha, czemu robi pan taką wydłużoną twarz? — krzyknąłem, zniecierpliwiony. — Zaprosił mię, bym obejrzał jego ogród, i mam szczery zamiar tam pójść.

— Niechże pan tego nie czyni — rzekł z tak uroczystą powagą, że parsknąłem w napadzie wesołości; ale on spoglądał na mnie bez uśmiechu.

Albowiem teraz chodziło o całkiem innego pokroju materję. Swego czasu publiczne sumienie wyspy było potężnie wstrząśnięte przez mego Jacobusa. Dwaj bracia żyli cały szereg lat w bardzo zgodnej spółce, gdy pewien cyrk wędrowny przybył na wyspę i mój Jacobus nagle zadurzył się w jednej z woltyżerek. Pogarszało sprawę to, że był żonaty. Niełaskawa opatrzność nie pozwoliła mu nawet skryć namiętnych uniesień. Zaprawdę, musiała to być wielka moc, zdolna unieść tak korpulentną, spokojną istotę. Jego zachowanie się było ostatnim wyrazem skandalu. Pojechał za tą kobietą na Przylądek i, ciągnąc za cyrkiem, jawnie podróżował po różnych częściach świata, w najbardziej poniżającej roli. Kobieta rychło przestała o niego dbać i traktowała go gorzej psa. Nadzwyczajne opowieści o tym upadku moralnym dochodziły wówczas na wyspę. A on nie miał siły charakteru, żeby się z tych więzów otrząsnąć...

Dziwaczny wizerunek otyłego, obrotnego handlarza okrętowego, który niewolniczo uległ opętaniu bezbożnej mi-

łości, czarująco na mnie podziałał. I powiem, że z otwartemi ustami słuchałem tej odwiecznej jak świat historji, która znajdowała wyraz w legendach, w baśniach, w bajkach moralnych, w poematach, ale która w tak zabawnie chybiony sposób nie zestrajała się z tą osobistością. Jakaż to dziwnie nielicująca z bożkiem miłości jego ofiara!

Tymczasem żona, którą był porzucił, umarła. Jego córką zaopiekował się brat i wydał ją zamąż najkorzystniej jak było można w tych warunkach.

— A, to pani doktorowa! — zawołałem.

— Pan o tem wie? Tak. Bardzo zdolny człowiek. Brakowało mu tego, co jest dźwignią w świecie, a tam był porządny kawałek grosza, nie mówiąc o widokach na przyszłość. Rzecz prosta — dodał, — nie utrzymują z nim stosunków. Doktór kłania mu się, przypuszczam, na ulicy zdaleka, lecz nie nawiązuje z nim rozmowy, gdy przypadkiem, co się pewno zdarza czasami, spotykają się na pokładzie okrętu.

Zrobiłem uwagę, iż to stara historja na nowy ład.

Mój przyjaciel zgodził się z tem. Wszakże było to już własną winą Jacobusa, że mu nie przebaczono i nie zapomniano o nim. Ostatecznie, powrócił. Ale jak? Bez ducha pokory i skruchy, co mogłoby przejednać zgorszonych współobywateli. Nie, otóż musiał przywlec z sobą dziecko — dziewczynę...

— Wspominał mi o jakiejś córce, która z nim mieszka — wtrąciłem, bardzo zainteresowany.

— Jest ona niezawodnie córką tej kobiety cyrkowej — rzekł mój przyjaciel. — Może jest również i jego córką; gotów jestem przypuścić, że tak. W samej rzeczy, nie wątpię — —

Lecz nie widział powodu wprowadzania jej do grona

szanującej się społeczności, aby utrwalać na wieki wieczne pamięć o tym skandalu. Ale to nie było rzeczą najgorszą. Teraz zaszło coś, z czem było daleko większe nieszczęście. Owa kobieta, z którą się był rozstał, powróciła tu. Wylądowała z pocztowego statku...

— Co? Tutaj? Może upominać się o dziecko — nasunąłem domysł.

— Ona? A jakże! — Mój przyjaciel wzgardliwym tonem poinformował mię o sytuacji.

Proszę sobie wystawić uszminkowaną, zeschłą jak szczapa, roztrzęsioną, szalejącą wiedźmę. Pozbył się jej ktoś, wyrzucając ją na Mozambiku i opłaciwszy za nią przejazd aż dotąd. Z pozostałością wewnętrznych uszkodzeń, których nabawił ją koń wierzgnięciem kopyta — po wylądowaniu na brzeg, nie miała centa przy duszy; nie zdaje mi się, żeby nawet choć zapytała o dziecko, chcąc je zobaczyć. Chyba w ostatnim dniu przed śmiercią. Jacobus wynajął dla niej chatę, żeby tam sobie mogła umrzeć. Sprowadził parę sióstr ze szpitala, aby jej doglądały po ten niedługi kres dwu — trzech miesięcy jej życia. Jeżeli Jacobus nie zaślubił jej *in extremis*, co poczciwe siostry usiłowały przeprowadzić, to jedynie dlatego, że ona nie chciała nawet o tem słyszeć. Jak mówiły siostry: „Umarła bez rozgrzeszenia". Opowiadali, że już w chwili zgonu kazała Jacobusowi wyjść precz za drzwi. To musi być istotny powód, dlaczego sam nie przywdział żałoby; tylko córkę ubrał czarno. Gdy była małą dziewczynką, widywano ją czasem na ulicy w towarzystwie służącej, murzynki, lecz gdy już podrosła na tyle, że można jej było zapuścić włosy, nie sądzę, by choć jeden krok zrobiła poza mur ogrodu. Musi mieć obecnie około lat ośmnastu.

Taka była opowieść mego przyjaciela, wraz z posłowiem,

zawierającem takie szczegóły, jako to: że on nie sądzi, aby na wyspie znalazły się trzy osoby jakiegokolwiek społecznego stanowiska, do którychby ta dziewczyna coś przemówiła; że pewna, już w latach, kuzynka Jacobusa, znaglona ostateczną biedą, zgodziła się być ochmistrzynią dziewczyny. Co zaś tyczy się zawodu handlarza okrętowego, któremu się poświęcił Jacobus (co było solą w oku jego brata), to wybór ten należy uznać za rzecz z jego strony mądrą. Dzięki temu zajęciu, miał styczność jedynie z ludźmi obcymi i przyjezdnymi; każde zaś inne, w rodzimem środowisku socjalnem, przyczyniałoby się do wytwarzania przeróżnego rodzaju fałszywych sytuacyj. Człowiek ten nie byłby pozbawiony pewnego taktu — jedno tylko, że powoduje nim wrodzony bezwstyd. Bo w imię jakiej potrzeby chował przy sobie tę dziewczynę? Dla wszystkich było to rzeczą najboleśniejszą.

Wtem nagle przypomniałem sobie (i z wielką odrazą) tamtego drugiego Jacobusa i nie mogłem się powściągnąć od zdradliwego powiedzenia:

— Myślę, że gdyby trzymał ją przy gospodarstwie, w kuchni, dajmy nato, w charakterze pomywaczki, i gdyby od czasu do czasu wytargał ją za czub i kropnął po uchu, to jej stanowisko bardziej odpowiadałoby przyjętym regułom i mniejby raziło tę szanowną kastę, do której i on się zalicza.

Mój przyjaciel nie był na tyle głupi, żeby nie zmiarkować, o co mi chodziło, i niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Pan nie rozumie. Przedewszystkiem nie jest ona mulatką. A co skandal, to skandal. Trzeba ludziom ułatwić jakoś zapomnienie. Ośmielę się twierdzić, że lepiej byłoby dla niej, gdyby zrobiono z niej pomywaczkę lub coś takiego. Zgadzam się, że on usiłuje zbijać grosz dro-

bnemi sposobikami wszelkiego rodzaju; ale w takim interesie nigdy i nikomu nie zawadzi mieć jak najwięcej szans posunięcia się naprzód.

Gdy mój przyjaciel wyszedł, przedstawiła mi się egzystencja Jacobusa i jego córki, jako bytowanie dwojga samotnych wyrzutków na odludnej wyspie; dziewczyna ma schronisko w domu, jak gdyby w pieczarze skalnej, a Jacobus wyruszył na poszukiwanie jakiejś strawy dla obojga — zupełnie jak dwoje rozbitków, żyjących ciągłą nadzieją na jakiegoś zbawcę, któryby ich wywiódł stamtąd nakoniec do ponownego zetknięcia z resztą ludzkości.

Ale rzeczywista korpulencja Jacobusa nie odpowiadała tej wyobrażalnej romantyce. Gdy znów, jak zwykle, zaszedł na pokład i, popijając zwolna kawę, pytał mię, czy jestem zadowolony — półuchem tylko słuchałem komeraży portowych, które powoli cedził swoją niskobrzmiącą i oszczędnie wysławiającą się mową. Dość wtedy miałem swoich własnych kłopotów. Mój okręt był już skontraktowany, głowę miałem zaprzątniętą pomyślnym i szybkim kursem powrotnym, i nagle potykam się o niedostateczną ilość worków. Katastrofa! Zapas jednego specjalnego gatunku, tak zwanego kieszonkowego, snać całkiem się wyczerpał. Zamówiona partja towaru miała wkrótce nadejść — już płynęła, już była w drodze, gdy tymczasem naładunek mego okrętu utknął w martwym punkcie; było się czego martwić. Moi odbiorcy, którzy mię w pierwszej chwili przybycia witali z taką niby serdecznością, teraz, w charakterze moich dostawców-kontrahentów, słuchali moich utyskiwań grzecznie, lecz nie kwapiąc się z ratunkiem. Ich pryncypał, ten staropanieński chudzielec, który się tak drocząco wstydził bodaj tylko rozmawiać o nieczystym Jacobusie, wyłuszczył mi swój pogląd na rzecz ściśle po kupiecku.

— Mój drogi kapitanie — skurczył swe garbowane policzki do łaskawie uprzejmego, rekinowatego uśmiechu, — nie poczytywaliśmy za swój moralny obowiązek uprzedzić pana o możliwej niedoliczce kontyngensowej, zanim pan podpisał kupon kontraktu. Pańską rzeczą było, ściśle mówiąc, zabezpieczyć się przeciwko zajść mogącej przypadkiem zwłoce. Ale my, rzecz prosta, nie będziemy wyzyskiwali tego na naszą korzyść. To istotnie nie nasza wina. Myśmy się sami nie spostrzegli — kończył, sadząc się na ton szczerego wynurzenia i łżąc najwidoczniej.

Po suchej tej perorze, wyznam, zachciało mi się pić. Opanowanie wściekłego gniewu powszechnie sprawia ten skutek; wlokąc się tak bez celu, uprzytomniłem sobie wysoki gliniany dzban w kupieckiej izbie Jacobusowego „składu".

Ledwie kiwnąwszy raz jeden, nie więcej, zebranym tam panom, zalałem swoje oburzenie naprzód jednym haustem, potem drugim, a potem ogarnęła mię troska i siedziałem zatopiony w smętnych rozmyślaniach. Tamci czytali, rozmawiali, palili, przerzucali się ponad moją głową jakiemiś, czasem niewymyślnemi żarcikami. Ale moja niechęć towarzyska została uszanowana. Jakoż, nie odezwawszy się do nikogo, wstałem i wyszedłem, ale chyba po to tylko, aby najniespodziewaniej wśród gwałtu sklepowego natknąć się na wyrzutka Jacobusa.

— Witam pana, panie kapitanie, cieszę się. Co? Już na wychodnem? W ostatnich dniach coś mi pan nie wygląda za dobrze. Uciekamy już, hę?

Był po domowemu wpółrozebrany, i jego słowa nie odbiegały od codzienności zajęć, lecz czuło się w nich jakąś człowieczą nutę. Kordjalność jakaś zachowania się,

kupiecka wprawdzie, lecz i do takiej nie mogłem, jako obcy, mieć tytułu. Naprawdę byłem przekonany (wnosząc z kierunku jego ciężkiego spojrzenia, zerkającego ku pewnej szufladzie), że będzie mi wpychał „wzmacniający nerwy środek Clarksona", gdy rzekłem porywczo:

— Mam kłopot z tym swoim ładunkiem.

Z czujnem dookoła baczeniem pod senną, obszerną swoją maską o sklejonych ustach, pojął odrazu, ruchem głowy zaznaczył tak należytą ocenę sytuacji, że puściłem wodze rozjątrzeniu i wykrzyknąłem:

— Tysiąc sto worków trzykorcowych napewno możnaby znaleźć w osadzie. Chodzi tylko o to, żeby je odszukać.

Znów ten lekki ruch dużej głowy, i wśród hałasu i czynnego rwetesu w składzie spokojny szept:

— Rzecz jasna. Ale ci, którzyby mogli mieć te trzykorcówki zarezerwowane, nie zechcą ich sprzedać. Może im samym potrzebne.

— Tak właśnie mówili i moi odbiorcy. Niesposób kupić. Bujda! Nie życzą sobie tego i oni. Odpowiadałoby im, gdyby okręt był w zawieszeniu. Ale gdyby mi się udało odnalezienie tej partji, to i oniby również wpadli. — — Słuchaj, Jacobus! *Pan* jesteś tym człowiekiem, który mi to może wytrząsnąć z rękawa.

Protestował poważnem kołysaniem dużej głowy. Stałem przed nim bezradnie, przykuty ważkiem spojrzeniem tych oczu, przysłoniętych jakby woalem, jakby ten człowiek był po jakimś wewnętrznym, duszą wstrząsającym przełomie. Wtem naraz:

— Niepodobna tu rozmawiać spokojnie — szepnął. — Jestem bardzo zajęty. Ale gdyby pan zechciał pójść do

mnie do domu i zaczekać. Niema nad dziesięć minut spaceru. A prawda, nie zna pan drogi.

Zawołał o surdut i oświadczył, że gotów zaprowadzić mię sam. Miał powrócić do składu zaraz, na jakąś godzinę, żeby pokończyć swe czynności, a potem będzie już mógł swobodnie omówić ze mną tę sprawę trzykorcowych worków. W program ten wtajemniczył mię cicho szepczącemi, półodemkniętemi ustami: w nieruchomem jego leżącem na mnie ciężkiem spojrzeniu — spojrzeniu człowieka strudzonego — była, jak zwykle, potulność, ale wyczuwałem w niem ponadto jakiś wyraz badawczy. Nie miałem pojęcia, czego mu się we mnie chce doszukać, i milczałem w zaciekawieniu.

— Prosiłbym pana zaczekać u mnie w domu, aż się zwolnię i będę mógł z panem o tej rzeczy pomówić. Zgadza się pan?

— Najchętniej — zawołałem.

— Ale nie mogę obiecywać — —

— Nieinaczej. Nie będę liczył na obietnicę.

— Bodaj, że nawet nie mógłbym przyrzec, iż spróbuję pewnego posunięcia, które mam na myśli. Trzeba się naprzód zorjentować... hm!

— Doskonale! Co będzie — to będzie. Poczekam na pana tak długo, ile pan zechce. Bo cóż innego mam robić w tej piekielnej dziurze portowej!

Nim dokończyłem ostatnich słów tego wynurzenia, ruszyliśmy kołyszącym się krokiem. Zawróciliśmy na kilku rogach i weszliśmy w ulicę zupełnie pozbawioną wszelkich znamion handlu, o półwiejskim wyglądzie, zabrukowaną okrąglakami, gnieżdżącemi się w kępkach trawy. Dom przylegał do bitego traktu; składał się z samego parteru na wzniesione podmurówce z nieociosanych brył kamiennych,

tak że idąc tuż, głowami sięgaliśmy poziomu okien. Wszystkie żaluzje były szczelnie zasunięte, podobne oczom zawartym, i dom miał pozór śpiącego twardym snem w poobiedniej jaśni słonecznej. Wchodziło się bocznem wejściem, z alei, zarośniętej trawą jeszcze bardziej niż ta ulica: wąskie drzwi zamykały się tylko na klamkę.

Przepraszając, że mię wyprzedza dla pokazania drogi przez ciemny pasaż, Jacobus prowadził mię po nagich taflach posadzki przez jakiś pokój, który mi się wydał stołowym. Pokój oświetlało troje oszklonych drzwi, szeroko otwartych na werandę lub raczej ganek, którego kolumnada, z czerwonych cegieł, biegła wzdłuż całej ściany domu, wychodzącej na ogród: lśniąca zielonością murawa na pierwszym planie i przepych labiryntu grząd kwiatowych, rozpostartych dookoła basenu ciemnej wody, obramionej marmurową krawędzią, a w oddali gęstwa liści najrozmaitszych drzew, ukrywająca dachy innych domów. Miasto mogło być — hen, o całe mile. Była to lśniącemi farbami kolorowa samotność, marząca w upalnem, rozkosznem oniemieniu. Gdzie długi cień zacisznie słał się wpoprzek grządek i w cienistych zasłonach, zgęstwione barwy kwiatowe przybierały szczególnie efektowną okazałość. Stałem w zachwycie. Jacobus ujął mię delikatnie powyżej łokcia, zmuszając do zrobienia półobrotu na lewo.

Nie zauważyłem przedtem dziewczyny. Zajmowała niski, głęboki, koszykarską robotą pleciony fotel łozinowy, i ujrzałem ją w czystym profilu, jakby sylwetkę na tapecie i tak samo nieruchomą. Jacobus puścił me ramię.

— To jest Alicja — zwiastował mi cichym głosem; i ten jego przytłumiony sposób mowy nadał tym słowom podobieństwo jakiegoś poufnego zwierzenia tak bliskie,

że zdało mi się rzeczą właściwą jedynie kiwnąć potakująco i wyszeptać: „Rozumiem, rozumiem".

...Oczywiście, nic nie rozumiałem. Nikt z nas nic nie rozumiał. Staliśmy obaj, jeden obok drugiego, poglądając ku dziewczynie. Przez ten cały czas ani drgnęła, zapatrzona przed siebie nieruchomym wzrokiem, jak gdyby miała widzenie jakiegoś fantastycznego orszaku, przesuwającego się przez ogród w uroczystej jego ciszy, w bogactwie świetlanej pożogi słonecznej i w przepychu kwiatów.

Wtem, skończywszy swe rojenie, zatoczyła wzrokiem dookoła i spojrzała wgórę. Jeżeli ja nie zauważyłem był jej odrazu, to jestem pewien, że moja obecność tak samo uszła jej uwagi dotąd, dopóki nie zobaczyła mnie faktycznie przy boku ojca. Żywszy ruch w podnoszeniu ciężkich powiek, szersze otwarcie rozemdlonych oczu i następny moment uporczywego ich zapatrzenia się we mnie, usuwały wszelką co do tego wątpliwość.

Jej zdumienie zatrącało lękiem, a po nim nastąpiła błyskawica gniewu. Jacobus, wygłosiwszy całkiem donośnie moje nazwisko, rzekł: — „Rozgość się pan, panie kapitanie — ja zabawię niedługo" — i pośpiesznie wyszedł. Nim miałem czas złożyć ukłon, już znalazłem się sam na sam z dziewczyną — która, uprzytomniło mi się to nagle, nie była widziana przez żadnego z mieszkańców, bądź męskich, bądź żeńskich, tego miasta, od chwili, gdy uznała potrzebę noszenia długich włosów. A wyglądały tak, jak gdyby od owego pierwszego czasu ich zapuszczenia były nietknięte; stanowiła je masa czarnych lśniących loków, w wysoki zwój niedbale na głowie skręconych, z długiemi, w nieładzie, kosmykami, zwieszającemi się z obu stron jaśniejącej białością twarzy; masa włosów tak gęsta i obfita, że—nietylko, patrząc na nie, czuło się ucisk ich wagi na cie-

mieniu, lec odnosiło się wrażenie jakiejś przewspaniale cynicznej niesforności. Podała się naprzód, łonem przytuliła się do skrzyżowanych ud; płowo-bursztynowego koloru, falbanista, z jakiejś cienkiej tkaniny narzutka uwydatniała gibkie, młode ciało, wzięte w siebie, sprężone w głębi niziutkiego siedzenia, jak gdyby przyczajone do skoku. Uchwyciłem jeden czy dwa lekkie, dygocące drgnienia rzutowe, które mi coś niezwykle wyglądały jak zamierzony sus do ucieczki. Po nich zastąpił absolutny bezruch.

Nagła trwoga zbudziła się i we mnie, i już chciałem pobiec za Jacobusem, lecz opanowawszy ten niedorzeczny odruch, wziąłem krzesełko, postawiłem je nie za bardzo od niej zdaleka, usiadłem rozważnie i zacząłem mówić na temat ogrodu, nie dobierając słów, lecz nadając im łagodną pieszczotliwość, jaką się zwykło stosować przy obłaskawianiu dzikiego, wystraszonego zwierzątka. Nie byłem nawet pewny, czy ona mię rozumie. Nie podnosiła twarzy i nie próbowała spojrzeć w moją stronę. Mówiłem wciąż jedynie dlatego, żeby zapobiec jej ucieczce. Znów przebiegło ją kilka, takich jak wpierw, stłumionych drgnień pomknieniowych, które śledziłem z trwożnie zapartym oddechem.

Ostatecznie, nasunął mi się domysł, że to co nie pozwalało jej zerwać się jednym wielkim rozmachem i uciec, to była niedostateczność jej stroju. Fotel łozinowy był jedyną przylegającą do niej rzeczą, najbardziej zasobną w materję. Bo to, co miała na sobie pod tym spłowiało-bursztynowym, luźnym pudermantlem, musiało być nader wiotkie i przejrzyste. Taki stan rzeczy nie może ujść oka, to trudno. Było to widoczne. Co prawda, byłem tem zpoczątku onieśmielony; lecz ten rodzaj zmieszania łatwo mija, jeśli człowiek nie jest ograniczony niewolniczemi przesą-

dami. Nie spuszczałem z Alicji wzroku. Paplałem dalej z przymilną słodyczą, a pamięć o tem, że najniezawodniej żaden obcy mężczyzna jeszcze nie mówił z nią, dodawała mi pewności siebie. Nie wiem, dlaczego miałby się do tej sytuacji zakraść jakiś gorętszy nastrój wzruszeniowy. Ale się zakradł. I właśnie, gdy zacząłem był to spostrzegać, nagle jakiś słaby okrzyk przeciął moją płynną mowę światowca.

Okrzyk ten nie pochodził od dziewczyny. Rozległ się za mną i wywołał ten skutek, że raptem odwróciłem głowę. Pojąłem natychmiast, że to we drzwiach zjawisko jest ową w pewnych latach krewną Jacobusa, ową damą do towarzystwa, ową ochmistrzynią. Gdy stała tak, jakby rażona gromem, podniosłem się z krzesła i złożyłem jej niski ukłon.

Damy, stanowiące dwór Jacobusa, widocznie spędzały dni w lekkim przyodziewku. Ta osadzista, krępa jejmość, z twarzą podobną do ogromnej pomarszczonej cytryny, z oczyma jak paciorki i z kudłatą czupryną, siwą jak stal, była ubrana w jakąś leciutką, jedwabną suknię, koloru przypominającego popiół. Spadając z tłustego jej karku, zwieszała się do samych stóp z prostotą nieprzybranego niczem szlafroka. Suknia ta nadawała jej wygląd iście walcowaty.

— Jak pan tu się dostałeś? — krzyknęła.

Nim zdążyłem coś rzec, znikła, i zaraz usłyszałem z dalszej części domu świdrujące w uszach, zmieszane głosy zaprzeczeń. Widać nikt nie umiał powiedzieć, jak się tu dostałem. Za chwilę, z wielkim wrzaskiem dwu towarzyszących jej murzynek, wtoczyła się zpowrotem w drzwi rozjuszona.

— Co pan tu robisz?

Zwróciłem się ku dziewczynie. Siedziała już wyprostowana, z rękami na poręczach fotelu. Odwołałem się do niej.

— Ufam, panno Alicjo, że pani nie da im wyrzucić mnie na ulicę.

Jej wspaniałe czarne oczy zwęziły się w podłużny kształt, następnie głosem szorstko wzgardliwym rzuciła coś w rodzaju wyjaśnienia po francusku:

— *C'est papa.*

Po raz drugi złożyłem niski ukłon starej damie. Obróciła się do mnie plecami, ażeby wypędzić swe czarne giermkinie, potem, obejrzawszy moją osobę w szczególny sposób jednem maleńkiem, prawie zamkniętem oczkiem i twarzą ściągniętą po tej stronie, jakby nabraną od fluksji, pokroczyła ku werandzie, siadła na pewnej odległości w bujający się fotel i wzięła ze stolika zaczętą na drutach pończochę. Przed przystąpieniem do robótki zanurzyła jeden z drutów w swej siwej szopie i pogrzebała nim tęgo.

Jej pierwotna, szlafrokowo-pokrowcowa bluza przylgnęła do starożytnych jej form, czyniąc ją podobną do spławianego kloca, w białych bawełnianych pończochach i w płytkich, z burego welwetu pantoflach. Na nożnem oparciu bujaka widać było natrętne jej stopy powyżej kostek. Zaczęła się zlekka pokołysywać, robiąc drutami. Zająłem znów swe miejsce na krzesełku i siedziałem cichutko, gdyż nie dowierzałem tej babie. A nuż rozkaże mi odejść? Wyglądała na usposobioną do wyrządzenia wszelkiej zniewagi. Raz czy dwa parsknęła gniewnie chrapami; robiła gwałtownie na drutach. Wtem nagle z jej rury oddechowej wyleciało piskliwe, do dziewczęcia zwrócone po francusku pytanie, które przekładam na mowę potoczną:

— Co to się twemu ojcu znów ubrdało?

Młode stworzenie wzruszyło ramionami tak wyraziście, że aż ten ruch targnął i zachwiał całem jej ciałem w luźnej matince; i głosem niespodzianie opryskliwym i zadzierzystym, a jednakże ponętnym dla zmysłów, jak pewne gatunki naturalnych świeżych win, które się pija z gustem:

— To jakiś tam kapitan. Daj mi spokój — dobrze?

Bujak zakołysał się szybciej, starczy głos zapiszczał jak gwizdka.

— Z ciebie i twego ojca dobrana parka. On nie ma żadnych skrupułów — to przecież wiadomo. Ale tegom się nie spodziewała.

Pomyślałem, że najwyższy czas przewietrzyć moją zależałą francuszczyznę. Nadmieniłem skromnie ale stanowczo, że tu chodzi o interes handlowy. Mam do omówienia pewną sprawę z panem Jacobusem.

Natychmiast wydała szyderczy pisk: — Biedne niewiniątko. — Zaczem, zmieniając ton: — Sklep jest do interesów. Dlaczego pan nie idziesz rozmówić się z nim w sklepie?

Szalony pośpiech jej robiących drutami palców mógł przyprawić o zawrót głowy; i znów z kwikliwem oburzeniem:

— Siedzieć tu, wybałuszać oczy na dziewczynę — to pan nazywasz sprawą handlową?

— Nie — rzekłem potulnie: — ja to nazywam rozkoszą — i nadspodziewaną rozkoszą. I jeśli panna Alicja nie ma nic przeciw — —

Zrobiłem półobrotu ku niej. Cisnęła mi gniewne i wzgardliwe „Nie dbam o to!...“ i, opierając łokcie na kolanach, objęła dłońmi podbródek — niewątpliwie podbródek

Jacobusa. A te ciężkie powieki, te czarne oczy o zagniewanem, uporczywie wpatrującem się spojrzeniu przypominały mi Jacobusa również — bogatego kupca ryczałtowego, tego szanownego. I zarys jej brwi był ten sam, twardy i złowrogi. Tak jest! Wyśledziłem w niej podobieństwo do nich obu. Zacząłem się przychylać do jakiegoś daleko idącego, zdumiewającego wniosku, że właściwie obaj Jacobusi są pięknymi mężczyznami. Rzekłem:

— O, w takim razie będę na panią wybałuszał oczy dotąd, aż się pani uśmiechnie.

Była łaskawa obdarzyć mię jeszcze niegodziwiej lekceważącem: „Nie dbam".

Tu rozległ się wrzaskliwy pisk nieczułej staruchy:

— Co za bezwstyd! A i ty także! Nie dbam! Idź przynajmniej i weź coś więcej na siebie. Do czego to podobne tak siedzieć przed tym żeglarskim motłochem.

Słońce zabierało się do odejścia z tej Perły Oceanu na inne morza, na inne lądy. Murem okolony, pełen już cieniów ogród płonął od barw, jak gdyby kwiaty zwracały światło za dnia wchłonięte. Z dziwacznej jejmości wyłoniło się zdecydowane babsko. Z tak plugawą, niekrępującą się szczerością namawiała dziewczynę do gorsetu i spódnicy, że to mię upokarzało. Czyż tu liczono się ze mną więcej niż z drewnianym manekinem? Dziewczyna odcięła: — Co mi za mus!

Nie było to ordynarne odfuknięcie złego dziecka; miało to w sobie jakiś ton rozpaczliwy. Rzecz jasna, nieproszony gość, zakłóciłem równowagę ich ustalonych zwyczajów domowych. Stara kobieta robiła drutami z obłędną akuratnością, z oczyma utkwionemi w robótce.

— O, ty jesteś nieodrodną córką swego ojca! I *to*

mówi o wstąpieniu do zakonu! Dać się tak oglądać chłopu z wywalonemi na wierzch oczami.

— Przestań.

— Bezwstydne stworzenie!

— Stara czarownico — wyrzekła dziewczyna dosadnie, nie zmieniając swej zadumanej pozy ze wspartym na dłoniach podbródkiem i z dalekiem zapatrzeniem się w ogród.

Były to jakby przyganiające sobie kocioł i garnek. Stara baba zerwała się z bujaka, grzmotnęła robótką o ziemię i, trzęsąc swemi tucznemi mięsami, co najzupełniej dało się widzieć poprzez obległą na nich kieckę tej jędzy, toczyła się ku dziewczynie — bynajmniej nie poruszonej. Uczułem pewien rodzaj dreszczu, gdy ta wiekowa powinowata Jacobusa, stchórzywszy snać wobec postawy dziewczęcia, żywo skierowała się do mnie.

Była, jak zauważyłem, uzbrojona w drut od robótki; i gdy podniosła rękę, zdawało się, że zamierza ugodzić nim we mnie, jak dzirytem. Lecz użyła go tylko do poskrobania się w głowę, a przez ten czas z odległości krótkiego strzału rozpatrywała mię swem jednem, prawie zamkniętem okiem i połową twarzy, skurczonej w jakiś niesamowicie jednostronny grymas.

— Mój kochany panie — rzekła raptem: — czy panu się zdaje, że będzie chleb z tej mąki?

— Spodziewam się, istotnie, że tak, szanowna pani Jacobus. — Usiłowałem zachować niewymuszony ton konwersacji poobiedniej. — Jestem tu, proszę pani, w sprawie pewnej ilości worków.

— Worków! Patrzcieno państwo! Czyż nie słyszałam, coś pan tam bajał tej paskudnej gałganicy?

— Ty chciałabyś widzieć mnie już w mogile — odezwała się cierpko dziewczyna, siedząca bez ruchu.

— W mogile! A ja? Żywcem pochowana, umarła przed śmiercią, zawdzięczając to temu zatraconemu stworzeniu i temu miłemu jego ojczulkowi — krzyczała; a zwracając się do mnie: — Pan jesteś jednym z tych ludzi, z którymi on robi swoje interesy. No więc — dlaczego pan nie możesz zostawić nas w spokoju, mój dobry człowiecze?

To: „zostawić nas w spokoju" było wyrzeczone z naciskiem. Zawierało pewien rodzaj szelmowskiej poufałości, wyższości, pogardy. Miałem to słyszeć jeszcze nie raz jeden, albowiem okazalibyście niedostateczną znajomość ludzkiej natury, myśląc, że to była moja ostatnia wizyta w tym domu — w którym przez tyle i tyle lat nie postała noga żadnej szanującej się osoby. Tak, doznalibyście zawodu, wyobrażając sobie, że to przyjęcie zaraz mię wypłoszyło. Przedewszystkiem — nie wypadało rejterować przed jakąś cudaczną i hultajską babą.

A potem, nie zapominajcie o tych niezbędnych workach. W ten pierwszy wieczór Jacobus zatrzymał mię na obiedzie, oświadczywszy mi jednakże przedtem uczciwie, że nie jest pewien, czy mógłby coś dla mnie wogóle uczynić. Rozmyślał o tem. Obawia się, że to będzie za trudno.

...Ale wyłuszczenie mi tego zajęło trochę więcej czasu.

Za stołem siedziało nas tylko troje, gdyż dziewczyna za pośrednictwem wielokrotnych: „Nie chcę", „Nie dbam" i „Co mi tam", zamanifestowała wszem wobec swoją wolę niesiadania do stołu, niejedzenia wcale obiadu, nieruszenia się z werandy. Stara ciotka w rozklapanych pantoflach miotała się i wrzeszczała piskliwie, Jacobus nie przejmował się tem i wydobywał z siebie uśmierzające, gardlane

pomruki; mój udział w tem polegał na oczekiwaniu zdala i rzucaniu słówek, za które pod przykryciem nocy dostała mi się szpetna sójka w bok, pochodząca od łokcia starej damy lub może od jej pięści.. Zahamowałem okrzyk. A przez cały ten czas dziewczyna nie raczyła nawet podnieść głowy i obdarzyć kogokolwiek z nas spojrzeniem. Wszystko to niby dźwięczy dziecinnie, — lecz w tem jak kamień tłoczącem, przekornie swawolnem zasępieniu był jakiś przewijający się cień tragiczny.

Tak więc nasycaliśmy się jadłem, siedząc przy stole, na którym ślicznie płonęło mnóstwo świec, a ona została tam, skulona, zapatrzona w ciemność, jak gdyby podsycając swoje nadąsanie balsamiczną wonią tego cudnego ogrodu.

Przed odejściem powiedziałem Jacobusowi, że wrócę nazajutrz dowiedzieć się, jak postępuje sprawa worków. Pokręcił na to zlekka głową.

— Będę was nawiedzał, będę straszył w pańskim domu w biały dzień, dopóki pan się z tem nie uporasz.

Uśmiechnął się blado, nie odmykając grubych warg, a po chwili:

— Owszem, kapitanie, zgoda.

Potem, odprowadziwszy mię do drzwi, z wielkim spokojem i powagą wymamrotał na pożegnanie: — Bądź pan tu jak u siebie w domu — i nieomieszkał nadmienić o sakramentalnej „łyżce zupy", która zawsze się dla mnie znajdzie. Już gdy słabo oświetlonemi ulicami schodziłem do bulwarku, dopiero przypomniałem sobie, że byłem proszony dziś na wieczerzę do państwa S —. Choć zirytował mię ten mój brak pamięci (który jakoś niezręcznie byłoby tłumaczyć), jednakże nie mogłem oprzeć się myśli, że właściwie jemu zawdzięczam spędzenie wieczoru daleko zabaw-

niej. A z drugiej strony — sprawa handlowa. Ta święta sprawa — —.

Bosy negr dopędził mię, skacząc na złamanie karku po stopniach schodni przystankowej; poznałem w nim Jacobusowego przewoźnika, który widać odkarmiał się w kuchni. Jego zwykłe „Dobranoc, psze paa", gdym już wstępował na węźlicę okrętu, zadźwięczało mi serdeczniej, niż zazwyczaj, w poprzednich razach.

## V

Dotrzymałem słowa Jacobusowi. Nachodziłem jego dom. Wieczn'~ zastawał mię tam w godzinach popołudniowych, gdy wpadł na moment ze swego „składu". Już od proga witał go dźwięk moich przemówień do Alicji; a gdy wieczorem powracał na dobre, mógłby był iść o zakład dziesięć przeciw jednemu, że jeszcze usłyszy ich dalszy ciąg na werandzie. Dopiero co skłoniłem mu się kiwnięciem głowy. Siadł ociężale i cichutko, i z pewnym rodzajem aprobaty i tęsknego oczekiwania będzie się przyglądał, jak staram się wywołać uśmiech na wargach jego córki.

Nieraz odzywałem się do niej: „Alicjo", również i przy nim; czasami, zwracając się do niej, mawiałem: „panno Nie-Dbam", i wyczerpywałem mózg, sadząc się na trajkotanie, lecz ani razu nie udało mi się wyprowadzić jej z chmurnego i tragicznego zamknięcia w sobie. Bywały chwile, kiedy czułem, że wybuchnę i zacznę ją kląć siarczystemi piorunami. I wyobrażałem sobie, że gdybym był to uczynił, to Jacobus aniby nawet palcem zakrzywił, aniby nawet mruknął. Ustanowiło się pomiędzy nami coś w rodzaju niejasnego wewnętrznego porozumienia.

Muszę wyznać, że dziewczyna traktowała ojca jota w jotę tak samo, jak i ja byłem przez nią traktowany.

Bo i jakże mogło być inaczej? Traktowała mię tak jak traktowała swego ojca. Nigdy nie widziała mężczyzny przychodzącego z wizytą. Nie wiedziała, jak się mężczyźni zachowują. Ja należałem do gromady pospolitych interesantów, z którymi ojciec ma jakieś sprawy w porcie. Byłem człowiekiem bez znaczenia. Takim samym jak i ojciec. Jedyni na świecie ludzie przyzwoici to są ludzie tej wyspy, którzy nie chcą z nim się zadawać, ponieważ uczynił coś złego. W ten prawdopodobnie sens pani Jacobus wytłumaczyła jej odosobnione stanowisko towarzyskie ich domu. Trzebaż jej było powiedzieć cośkolwiek! I miałem to przeświadczenie, że z taką interpretacją pogodził się i Jacobus. Nie mogę nie przyznać, że stara rozsmakowała się w ciągłem poruszaniu tego tematu. Był on w jej ustach uniwersalnem źródłem wszelkich wyjaśnień, wszelkich wypominań, przymówek i docinków.

Pewnego dnia Jacobus przyszedł wcześnie, wykiwał mię do jadalnego pokoju, z gestem znużenia otarł czoło i oświadczył mi, że udało mu się już zdobyć zapas trzykorcowych worków.

— Powiedziałeś pan, że brakuje pańskiemu okrętowi tysiąc czterysta sztuk, kapitanie, czy nie tak?

— Ależ tak, tak! — odpowiedziałem skwapliwie; ale on zachował spokój.

— Otóż, kapitanie, możesz pan iść i powiedzieć swoim ludziom, że otrzymają tę ilość od mojego brata.

Gdym stał wtedy, o ile sobie przypominam, z rozdziawionemi ustami, dorzucił jeszcze swą zwykłą, łagodnie kojącą formułę:

— Przekona się pan, że wszystko jest w porządku, kapitanie.

— Mówiłeś pan w tej sprawie z bratem? — Wyraźna zdjęła mię trwoga. — I to dla mnie? Przecież on musiał wiedzieć, że tylko mojemu okrętowi zależało na workach. Jakimże w świecie sposobem — —

Znów otarł czoło. Spostrzegłem, że był ubrany z niezwykłą starannością, i w odzieży, której na nim przedtem nie widziałem. Unikał mego wzroku.

— Pan słyszałeś, rzecz prosta, ludzie mówią... Jest w tem dość prawdy... On... Ja... Myśmy rzeczywiście... przez wiele lat... — Głos mu się zniżył do zamierającego w śnie szeptu. — Miałem mu, widzi pan, jedną rzecz do powiedzenia, rzecz, która — —

Szept ustał. Nie powie, co to była za rzecz. Mniejsza z tem. Pilno mi było zanieść nowinę najemcom, i czem prędzej wróciłem na werandę po kapelusz. Na hałas, jaki sprawiłem, dziewczyna wolno podniosła oczy i spojrzała w moim kierunku; nawet stara ciotka przerwała swoją robótkę. Stanąłem na moment i w uniesieniu krzyknąłem:

— Z pani ojca — zuch, panno Nie-Dbam. Zuch jest.

Moja ochoczość była przyjęta niechętnie i z pogardliwem zdziwieniem. Gdym czmychał przez pokój stołowy, Jacobus pochwycił mię pod ramię z niezwykłą poufałością, jakby familjanta, i, ciężko dysząc, wysapał mi propozycję względem „talerza zupy" na dzisiejszy wieczór. Odrzekłem niedbale: — „Mm? Co? A, dziękuję! Zapewne. Z przyjemnością" — i wymknąłem się. Obiadować z nim. Naturalnie. Przez samą wdzięczność — —

Ale w jakieś trzy godziny potem, w cichej i mrocznej ulicy, zabrukowanej okrąglakami, uświadomiłem sobie, że to nie sama tylko wdzięczność posuwa moje kroki do tego

domu z prastarym ogrodem — tego domu, w którym od lat żaden inny gość oprócz mnie nie był na proszonym obiedzie. Sama tylko wdzięczność nie mogłaby trawić wewnętrznego systemu człowieka w tak osobliwie żrący sposób. Głód mógłby; ale do Jacobusowego wiktu głód mnie znów tak wyjątkowo nie zmuszał.

I na ten raz dziewczyna również nie chciała siąść do stołu. Brała mię złość i rozpacz. Ciotka rzucała na mnie złośliwe zezy. Nagle rzekłem do Jacobusa: — „O, tu! Włóż-no pan tu, na talerz, kawałek kurczęcia i trochę sałaty". Usłuchał, nie podnosząc oczu. Dołączyłem do tego nóż, widelec i serwetkę, i zaniosłem na ganek. Ogród z masą ciemności wyglądał jak smęt, jak cmentarz kwiatów, pogrzebanych w mroku, a ona, wciśnięta w swój fotel, snuła, zda się, żałobne dumy nad zgonem światła i kolorów. Jedynie zalatywały duszne wonie aromatów, snać jakieś błędne, pachnące duchy tego tłumu zgasłego kwiecia. Mówiłem płynnie, z żartobliwą perswazją, czule; mówiłem przyciszonym głosem. Z samej intonacji wnosząc, możnaby było pomyśleć, że to błagalny szept kochanka. Gdym w potoku słów robił wyczekującą przerwę, za każdym razem odpowiadało mi jedynie głębokie milczenie. Było to jakby składanie ofiary przed siedzącą statuą bóstwa.

— Doprawdy, że tak się zaciąć w uporze, to okrucieństwo. Przecież ja się dręczę.

— Co mię to obchodzi!

Miałem takie uczucie, jak gdybym jej zadał jakiś gwałt jak gdybym ją był szarpał, może zbił. Rzekłem:

— Takie zachowywanie się pani będzie miało ten skutek, że już tu więcej nie przyjdę.

— Nie dbam o to!

— Pani lubi moją obecność.

— To fałsz! — odburknęła.

Położyłem rękę na jej ramieniu; i gdyby była zrobiła jakiś odporny gest cofnięcia się, to doprawdy, myślę, żebym ją był roztrząsł. Lecz ani się ruszyła, i ten jej bezruch podziałał na mój gniew rozbrajająco.

— Tak, lubi pani. Bo czyż inaczej możnaby było panią zastać dzień w dzień na werandzie. Poco pani tu wysiaduje—pytam? Jest w domu tyle pokojów. Ma pani swój, siedziałaby pani w nim, nie chcąc mnie widywać. Ale pani chce. I pani wie o tem, że chce.

Uczułem pod ręką drżenie i zwolniłem swój chwyt, jak gdyby przestraszony tym objawem ożywania jej ciała. Aromatyczny zapach ogrodu powiał ku nam, jak ciepła fala, podobna do wonnego, dyszącego rozkoszą westchnienia.

— Niech pan wróci do nich — szepnęła nieomal tkliwie.

Gdym wchodził zpowrotem do stołowego pokoju, spostrzegłem, że Jacobus spuścił wzrok. Postawiłem talerz z łoskotem na stole. Na ten demonstracyjny objaw złego humoru wymamrotał coś w przepraszającym tonie, ja zaś natarłem nań, jak gdyby obowiązany był zdać mi rachunek z tych „wstrętnych dziwactw" — bodaj że tak przeze mnie nazwanych.

— Twierdzę z wszelką pewnością — rzekłem wyniośle — że kto jak kto, ale pani Jacobus tu jest odpowiedzialna za większość tych gorszących narowów.

Z miejsca odpisnęła mi w swój arogancki, gburowaty sposób:

— E? Dlaczegoż pan nie chcesz zostawić nas w spokoju, mój dobry człowiecze?

Byłem zdumiony jej czelnością wobec Jacobusa. Choć

właściwie, czemżeż on ją mógłby ukrócić. Była mu za bardzo potrzebna. Podniósł ociężałe, senne oczy na chwilę i zaraz je spuścił. Ta zaś dowrzeszczała swą ostateczną konkluzję:

— Toć przecież już załatwiliście z sobą wasz interes, wy dwaj? No, zatem — —

Babsko to posiadało wierutny bezwstyd Jacobusów. A ta jej szaro-siwa czupryna o męskiem uczesaniu — z przedziałem na boku szelmowskim!... Już - już zdawało się, że baba pogrąży w niej widelec, jak to zwykła była czynić z drutem od pończoch, ale jakoś wstrzymała się. Jej czarne oczki iskrzyły się jadowicie. Odwołałem się do siedzącego na honorowem miejscu gospodarza — w sposób, że tak powiem, groźny:

— A więc, panie Jacobus, cóż pan na to? Czy mam przyjąć to w znaczeniu, żeśmy już z sobą skończyli?

Na odpowiedź musiałem chwilę czekać. Była raczej niespodziewana i w zgoła innym duchu niż pytanie.

— Moglibyśmy poniekąd zrobić jeszcze, jak mniemam, kapitanie, ten interes z mojemi kartoflami. Przekona się pan, że — —

Wlot mu przerwałem.

— Jużem panu oświadczył raz, że nie handluję.

Szeroka jego pierś wzdęła się i zapadła w niedosłyszalnem westchnieniu.

— Pomyśl pan jeszcze nad tem, kapitanie — wyszeptał z namolną powolnością; a ja wybuchnąłem zgrzytliwym śmiechem, przypomniawszy sobie jego włóczenie się za tą woltyżerką cyrkową — głębię zakochania pod tą cichą powierzchnią, która nawet smagana pejczem (tak jest w legendzie), nie była zdolna rozsrożyć się choćby tylko do jakiegoś pozoru burzy; byłoby to coś nakształt rybiej na-

miętności, gdyby można wystawić sobie takie pojęcie, jak namiętna ryba.

W ten wieczór — bardziej niż kiedykolwiek — doznałem uczucia moralnej zgagi, której zawsze nabawiałem się w tym domu, obciążonym kondemnatą wszystkich ludzi „przyzwoitych". Nie chciałem zostać po obiedzie na poczęstunek cygarem; a gdy wkładałem rękę w poduszkowate mięsiwo dłoni Jacobusa, rzekłem sobie, że to już będzie po raz ostatni pod jego dachem. Mimo to jednak uścisnąłem to jego masywne łapsko serdecznie. Na kilka słów wdzięczności, które czułem się w obowiązku i, doprawdy, z szczerą chęcią, wyrazić, odpowiedział, rozciągając zwarte usta w melancholijny, sklejony uśmiech.

— Ta rzecz, ufam, będzie w porządku, panie kapitanie — sapnął ważko.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytałem z trwogą. — Że pański brat mógłby — —

— O, nie — rzekł uspokajająco. — On... Ten człowiek dotrzymuje słowa, kapitanie.

Gdym opuścił progi tego domu, jak mniemałem, już po raz ostatni, moje obcowanie z własnem sumieniem nie zadowalniało mnie. Spostrzegłem się, że w swych rozważaniach pobudek Jacobusa nie byłem szczery i, oczywiście, zaraz nazajutrz tam powróciłem.

O jakże jesteśmy słabi, nierozumni i niedorzeczni! I tak łatwo dajemy się ponieść wówczas, gdy nasza podniecona wyobraźnia skłoni nas ku drażniącemu podszeptowi żądzy! Obchodziła mię ta dziewczyna nadzwyczaj; ujęła mię posępnym wyrazem twarzy, upartem milczeniem, rzadkiemi, wzgardliwemi słówkami; zbałamuciła mię swym wiecznym dąsem na zaciśniętych ustach, czarną głębią swego zwolna podnoszonego na mnie i nierucho-

mo utkwionego we mnie spojrzenia, jak gdyby wyzywającego, poto, ażeby zaraz w następnej chwili odwrócić się ode mnie z rozpaczliwą obojętnością.

Naturalnie, wieść o mojem przesiadywaniu tam rozniosła się po całem miasteczku. Zauważyłem pewną zmianę w sposobie zachowania się moich znajomych i nawet niejaką różnicę w kłanianiu mi się innych kapitanów, z którymi spotykałem się czy na schodni przystanku, czy w biurach, dokąd powoływały mnie interesy. Ów, na modłę staropanieńską sfasonowany, prokurent traktował mnie z oddalającą, najeżoną szpileczkami ceremonjalnością i, że tak powiem, zakasując rąbek sukienki, aby jej nie splugawić. Zdawało mi się, że gdy szedłem wybrzeżem, najbardziej murzyńskie negry oglądały się za mną; co zaś do Jacobusowego przewoźnika, to jego „Dobranos psze-pana", gdy wysadzał mnie na pokład, już nie było poprostu serdeczne, ale miało ton zażyłej poufałości konfidenta i współuczestnika w jakiemś łajdactwie.

Mój przyjaciel S. — starszy, mijając się ze mną po drugiej stronie ulicy, przesłał mi ręką pozdrowienie z ironicznym uśmieszkiem. Młodszy brat, którego ożeniono z podstarzałą sekutnicą, ten, z tytułu dawnej przyjaźni, oraz jak gdyby uiszczając się z długu wdzięczności, pozwolił sobie na słówko ostrzeżenia.

— Niedobrze pan sobie poczyna w wyborze przyjaciół, stary druhu — rzekł z dziecinnem namaszczeniem.

Ponieważ wiedziałem, że spotkanie braci Jacobus pobudziło wszystek ogół cukrowej Perły Oceanu do zacietrzewionych komentarzy, byłem ciekaw, zaco mnie ganią.

— Ja spowodowałem ten pierwszy krok, wiodący do ostatecznego pojednania, którego należy sobie życzyć ze względów przyzwoitości — nie wie pan o tem?

— Naturalnie, o ileby można było pozbyć się tej dziewczyny, ułatwiłoby to — — rozważał z miną mędrca; wtem, zmienne stworzenie, klepnął mnie w dolną część kamizelki. — Stary grzeszniku—zawołał jowjalnie:—dużo pan tam sobie robisz z przyzwoitości. Ale nie zawadziłoby trochę więcej oglądać się na siebie, wie pan, z takim osobnikiem, jak ten Jacobus, który nie ma już nic do stracenia ze swej reputacji.

To mówiąc, przybrał znów powagę szanującego się obywatela i dorzucił ubolewającym tonem:

— Wszystkie panie w naszem kółku rodzinnem są zgorszone.

Atoli poniechałem już był tymczasem wizyt i w kółku rodzinnem S. — — i w kółku rodzinnem D. — — Panny, co starsze, robiły na mój widok takie twarze, a krewna ciżba młodych panienek przyjmowała mnie z takiem urozmaiceniem spojrzeń: bojaźni, podziwu, wyśmiechu (oprócz panny Mary, która rozmawiała ze mną i patrzała na mnie z kojąco-bolesnem współczuciem, jak na chorego), że bez wielkiej trudności zerwałem z niemi wszystkiemi. Oddałbym był towarzystwo całego miasta za przesiadywanie u tej dziewczyny, odburkującej, pysznej i zgoła w nic nie odzianej poza tą swoją wiotką, bursztynową matinką, z głębokiem u szyi otwarciem. Wyglądała tak z dzikiemi kosmami włosów, ofrędzlającemi jej twarz o podnieconym wyrazie, jak gdyby co tylko wyskoczyła z paniki pożaru.

Siedziała, wsparta na łokciu, ze wzrokiem na nic nie skierowanym. Dlaczego wytrzymywała moją bezmyślną gadaninę? I nietylko to; ale czemu pudrowała się na moje przyjście? Mogłoby to być jej poglądem na robienie tualety, co, wobec jej rozwiązłej opieszałości, byłoby znakiem ogromnego wysiłku dla przyozdobienia swej osoby.

Ale mogłem się mylić. Pudrowanie się mogło być jej codziennem przyzwyczajeniem, a jej obecność na werandzie mogła znamionować obojętność, posuniętą do tego stopnia, że nie liczyła się z mojem istnieniem. Dobrze, wszystko mi było jedno.

Lubiłem się przyglądać jej powolnie dokonywanym zmianom pozy, obejmować wzrokiem długie znieruchomienia ułożonych z wdziękiem linij jej ciała, obserwować tajemniczo skupione zapatrzenia się jej wspaniałych czarnych oczu, o zlekka wydłużonym kształcie, cokolwiek przymkniętych i kontemplacyjnie utkwionych w próżni. Była jak zaklęty twór jakiś o czole bogini, które wieńczył przepych rozczochranych włosów cygańskiej latawicy. Nawet jej obojętność miała w sobie coś uwodzicielskiego. Czułem, że coraz bardziej przywiązuję się do niej pętem jakiejś nieziszczalnej żądzy, bo głowę miałem nie zawróconą — bynajmniej. I nie robiłem sobie już nic z przykrego samopoczucia moralnego, w które zazwyczaj wtrącała mnie senna czujność Jacobusa, tak spokojna niby, a wyrazista; jak gdyby jakiś milczący pakt został zawarty między nami dwoma. Otrzaskałem się z zuchwalstwem starej, puszczając mimo uszu: „Czy nie zechciałbyś pan zostawić nas w spokoju, mój poczciwcze?", przywykłem do jej szyderstw, oswoiłem się z tą zatraconą sekutnicą o miedzianem czole. Była to nieodrodna płonka ze szczepu Jacobusowego.

Bezpośrednio po odejściu od dziewczyny wymyślałem sam sobie najostrzejszemi słowami. Coby miało znaczyć to szaleństwo?—dopytywałem się samego siebie. Był to jakby niewolniczy, upadlający nałóg. I powracałem do niej, mając głowę niezamąconą, serce z pewnością wolne, i nawet próżne litości dla tej porzuconej (a porzucenie to

nie było znośniejsze od położenia rozbitka na bezludnej wyspie), — lecz wracałem, jak gdyby omamiony jakąś nadzwyczajną obietnicą. Trudno sobie wyobrazić cośkolwiek mniej godziwego. Wspomnienie jej drżącego szeptu, gdy jedna moja ręka legła na jej ramieniu, a drugą trzymałem talerz z kurczęciem, wystarczało mi do łamania wszystkich mych cnotliwych postanowień.

Samo jej obelżywe milczenie mogło nieraz doprowadzić człowieka do wściekłego zgrzytu zębami. A jeżeli odmykała usta, to jedynie poto, aby szkaradnie, po prostacku, cierpkim tonem odfuknąć coś wspólnikowi jej potępionego ojca, ku zupełnemu zadowoleniu starej ciotki, która potakiwała jej urągliwym chichotem. Gdyby nie to, odezwania się jej, wypowiadane zawsze z intonacją zabójczo lekceważącą, byłyby przeraźliwe pozbawione treści.

Jakżeby mogło być inaczej? Ta łotrzyca, to pękate Jacobusowskie stare pudło nie nauczyło jej wcale grzeczności. Gzeczność, przypuśćmy, niekoniecznie łagodzi fakt, że ktoś się urodzi wyrzutkiem. Żaden zakład wychowawczy nie dałby się namówić do przyjęcia jej na wychowankę, a to, jak sądzę, ze względu na przyzwoitość. A Jacobus nie umiał się zdobyć na wysłanie jej dokądkolwiek bądź indziej. Jakżeby on to zrobił? Z kim? Dokąd? On sam zbyt mało posiadał w sobie awanturniczości, ażeby pomyśleć o jakiem innem osiedlisku. Namiętność miotała nim, uczepionym cyrkowych tyłów, rzucając go na obczyźnie ze strądu na strąd, lecz po uciszeniu się burzy, przydryfował — przywlókł się bezwstydnie tu, gdzie będąc rozbitkiem, pozostał jednak latoroślą Jacobusów, jednego z najstarszych rodów na wyspie, nawet starszego od francuskich. Jakiś Jacobus musiał być już przy zgonie ostat-

niej dronty... [1]. Dziewczyna nie uczyła się niczego, nigdy nie zaznała rozmów towarzyskich, nie miała żadnej wiedzy, nie słyszała o niczem. Umiała czytać, zapewne, lecz całą dostępną dla niej lekturę stanowiły dzienniki, otrzymywane z kapitańskiej izby Jacobusowego „składu". Jacobus miał zwyczaj co pewien czas zabierać do domu te zadrukowane płachty, splamione już i ponaddzierane.

Ponieważ jej umysł nie potrafił uchwycić znaczenia żadnej z poruszanych tam treści, oprócz sądowo-policyjnych sprawozdań i kroniki przestępstw, utworzyła była sobie pogląd na świat cywilizowany, jako na scenę morderstw, porywań, włamywań, okropności zabójstw i wszelkiego rodzaju desperackich gwałtów. Anglja i Francja, Paryż i Londyn (dwa miasta, o których, zdaje się, słyszała) w jej pojęciu były to ścieki ohyd, dymiące krwi oparem, w przeciwstawieniu do jej wysepki, gdzie drobna kradzież była prawie miernikiem bieżących złoczyństw, jeśli pominąć trafiający się od czasu do czasu głośniejszy występek — i to jedynie wśród kulisów, sprowadzonych do robót na plantacjach cukru, albo też pośród miejscowych murzynów. Ale w Europie te rzeczy działy się codzień, spełniane przez złych ludzi białych, pomiędzy którymi, jak wytykała palcem ta wszeteczna, arystokratyczna, stara pani Jacobusowa, żeglarze wędrowni, konszachtujący z jej szacownym ojczulkiem, byli z podłych najpodlejsi.

Nie można jej było dać pojęcia o proporcji. Anglja, przypuszczam, w jej wyobraźni miała obwód mniej więcej taki, jak Perła Oceanu; a wtedy rzeczywiście mógł ten nieduży obszar wydawać się jej całkowicie zapełnionym wy-

---

[1] *Didus ineptus.*

ziewami krwi i dymem ze zgliszcz splądrowanych co do jednego domów. Nie mogła zrozumieć tłumaczenia, że te straszne rzeczy, któremi karmiła wyobraźnię, giną w całości unormowanego życia, tak jak znikoma ilość kropel krwi roztapia się w oceanie. Zwracała na mnie przymrużone oczy, patrzała chwilę niepojętnem spojrzeniem i odwracała wzgardliwą, upudrowaną twarz, nie rzekłszy ni słowa. I żeby choć zadała sobie trud wzruszenia ramionami.

W tym czasie ostatnia poczta przywiozła najświeższy wypiek dzienników, donoszących o szeregu zbrodni w londyńskiem East-Endzie i, między innemi, o sensacyjnem porwaniu we Francji i o cudownie zorganizowanym i ślicznie wykonanym zbrojnym rabunku w Australji. Pewnego popołudnia, przechodząc przez pokój stołowy, usłyszałem na werandzie piskliwy głos pani Jacobusowej, wrzeszczącej z jadowitą zawziętością: „Nie wiem, co twój szacowny tatuś knuje z tym drabem. Ale to jest właśnie taki pan, który byłby zdolny uprowadzić cię w jaki daleki kąt, a potem, którego dnia, poderznąć ci gardło dla twoich pieniędzy".

Z pół werandy dzieliło ich fotele jeden od drugiego. Wszedłem groźnie i zająłem krzesło pomiędzy niemi, w samym środku.

— Tak jest, my *to* właśnie robimy z dziewczętami w Europie — zacząłem strasznym, rzeczowym tonem. Pani Jacobus była, zdaje mi się, mocno stropiona mojem niespodzianem wejściem. Zwróciłem się do niej z wyrazem zimnego okrucieństwa.

— A co się tyczy starych niecnych bab, to naprzód dusi się je zwolna, potem kraje na kawałeczki i rzuca precz, jeden kawałek tu, drugi tam. Znikają.

Utrzymywać, że ją przeraziłem, byłoby twierdzeniem za daleko idącem. Ale zmieszała ją moja dzikość, tem bardziej, że zawsze zwracałem się do niej z grzecznością, której nie była warta. Pulchne jej ręce z robótką osunęły się pomału na kolana. Nie odzywając się słówkiem, siedziała pod utkwionem w nią mojem spojrzeniem, srogiem i zdecydowanem. A gdy nareszcie odwróciłem od niej oczy, położyła zwolna robótkę i niedosłyszalnym krokiem wycofała się z werandy. Faktycznie zniknęła.

Ale nie ona mnie obchodziła. Patrzałem na dziewczynę. Jej to gwoli przychodziłem tu dzień w dzień, zaniepokojony, zawstydzony, płonący; tu, blisko niej, znajdowałem upojenie zmysłowe, któremu pobłażałem z trwogą, z samopogardą i z głębokiem uczuciem rozkoszy, jak gdyby to była jakaś tajemna zdrożność, mająca mnie zgubić, jakiś nałóg tego czy innego ohydnego występku, który rujnuje i znikczemnia swoich niewolników.

Patrzałem na nią, lustrując ją spojrzeniem od czubka rozczochranej głowy, po spadzie wdzięcznej linji ramion, po wypukłości bioder, wzdłuż smukłego kształtu udrapowanych członków, aż do samego dołu cienkiej w przegubie kostki pod zdartą, zbrukaną falbaną; i aż do szpica lichego, niebieskiego, o wysokim obcasie pantofelka, spadającego z jej foremnej nóżki, którą zlekka potrząsała szybkim, nerwowym ruchem, jak gdyby zniecierpliwiona moją obecnością. I w zapachu wszechkwiecia zdawało mi się, że wdycham jej osobliwy, niedocieczony powab, arcyperfumę owej wiecznie rozdrażnionej branki tego ogrodu.

Przypatrywałem się zaokrągleniu jej podbródka, podbródka Jacobusowego; odętym grymaśnie, czerwonym ustom w wybielonej pudrem twarzy; zdecydowanej modelacji policzków, okruszynom bielidła na włosach brwi,

prostolinijnych i posępnych; oczom podłużnym, łyskającym wąziutką smużką płynnego białka i nieruchomą, intensywną czernią, oczom w coś tak bez myśli utkwionym i tak stałością tego zapatrzenia pochłoniętym, jak gdyby dziewczyna zagapiła się w swoj własny, zda się, wizerunek samotny, odbity w jakiemś niewidocznem dla mnie zwierciadle, opodal, między drzewami.

I raptem, nie podnosząc na mnie wzroku, jakby mówiąc do siebie, głosem zlekka chrapliwym, a przecież melodyjnym, i wciąż z irytacją, spytała:

— Dlaczego pan tu przychodzi i przychodzi?

— Dlaczego ja tu przychodzę i przychodzę?—powtórzyłem zaskoczony. Nie umiałem odpowiedzieć. I nawet samemu sobie nie mogłem powiedzieć szczerze, dlaczego tu przychodzę. — Nacóż się zdało zapytywać mnie o taką rzecz?

— Nic, wszystko nanic — rzekła w próżnię, z podbródkiem podpartym ręką, tą ręką, która nie wyciągała się nigdy ku żadnemu mężczyźnie, której nikt nie ujmował — gdyż nawet ja ująłem ją tylko za ramię, — ta szlachetna, wytworna, cokolwieczek męska ręka. Dobrze znałem ten szczególnie udatny kształt — szeroki w osadzie, wrzecionowato ścieniony w palcach — kształt ręki, dla której wszystko na świecie było tak nieuchwytne. Spróbowałem udanej wesołości.

— Nie! Czy rzeczywiście zależy pani na tem, żeby wiedzieć?

Wzruszyła niedbale wspaniałemi ramionami, z których podniszczona cienka zarzutka trochę się zsunęła.

— O, mniejsza o to — mniejsza o to!

Pod powłoką znudzenia tliło się coś jakby przygaszonego. Rozjątrzyła mnie swoją wyzywającą nonszalan-

cją, jakąś wykrętną prowokacją, której istoty chciałem dociec. Rzekłem brutalnie:

— Więc co? Czy pani myśli, że nie powiem pani prawdy?

Zerknęła na mnie z pod oka przelotnie i wyszeptała samemi tylko nabrzmiałemi dąsem wargami:

— Ja myślę, że pan nie będzie śmiał.

— Czy pani sobie wystawia, że się pani boję? Co u licha... Otóż, a zresztą może być, że ja dokładnie nie wiem, poco tu przychodzę. Powiedzmy z panną Jacobus, że po nic dobrego. Chociaż miewa pani z nią utarczki od czasu do czasu, ale zdaje się, że pani wierzy jej uwłaczającymi bredniom.

Odrzekła cierpko:

— A komuż innemu mam wierzyć?

— Nie wiem — musiałem wyznać, ujrzawszy ją nagle bez żadnego oparcia i werdyktem szanownego towarzystwa moralnie wyobcowaną. — Mnie pani może wierzyć, jeśli chodzi o wybór.

Poruszyła się zlekka i spytała natychmiast, jak gdyby usiłując mnie wybadać:

— Co pan ma za interes z papą?

— Czyżby pani nie wiedziała, jaki jest rodzaj zajęć pani ojca? No, no!... Sprzedaje prowjanty okrętom.

Znów zesztywniała w swej skurczonej pozie.

— Nie to. Co sprowadza pana tu — do tego domu?

— A jeżeli powiem, że to pani? Czy nie nazwie pani tego interesem? Nieprawdaż? Ale dość, porzućmy ten przedmiot. To do niczego nie prowadzi. Mój okręt będzie gotów do morza na pojutrze.

Szepnęła — najwyraźniej przestraszona: „Tak niedługo", zerwała się raptem, podeszła do stolika i nalała sobie

szklankę wody. Szła prędko, z całym wdziękiem gibkiej dziewczęcości; gdy mijając, przechodziła obok mnie, odczułem z dziesięciokrotną mocą urok tego charakterystycznego, obiecującego wstrząsu zmysłowego, po który zbliżać się do niej stało się moim nałogiem. I pomyślałem z nagłą trwogą, że oto już temu koniec; że jeszcze jeden dzień, a potem nie będę miał możności przychodzenia na tę werandę, siadywania na tym fotelu i delektowania się perwesyjnie smakiem jej póz niedbałych, tchnących pogardą; nie będę napawać się pobudliwością jej lekceważących zerknięć i ulegle słuchać jej krótkich, zuchwałych uwag, rzucanych tym szorstkim a przecież zniewalającym głosem. Jak gdyby rdzeń mej istoty odmienił się pod działaniem jakiejś trucizny moralnej, doznałem raptownego, przejmującego wstrętu do wyruszenia na morze.

Musiałem użyć całej siły panowania nad swemi ruchami, tak jak na pomostku okrętowym, ażeby ustrzec się skoków, koziołkowań, wykrzykiwań, gestykulowania, zrobienia jej sceny. Poco? O co? Nie miałem wcale pojęcia. Ot tak, korciło mnie, by pofolgować sobie przez jakiś gwałt; lecz wciskałem się w fotel, starając się nie psuć nadanej mym wargom formy uśmiechu; tego pół-wyrozumiałego, pół-drwiącego uśmiechu, który był mi tarczą przeciwko strzałom jej pogardy i przeciw obelżywym docinkom, miotanym pod moim adresem przez starą babę.

Dziewczyna wypiła wodę jednym haustem, z chciwością szalonego pragnienia, i bezwładnie osunęła się na najbliższe krzesło, jak gdyby w zupełnem znękaniu. Jej pozycja, tak jak i pewne tony jej głosu miały w sobie coś męskiego: rozstawione w przestronnym szlafroku kolana, zwieszone pomiędzy niemi załamane ręce, ciało jej podane naprzód ze spuszczoną głową. Zapatrzyłem się w obciąża-

jący ją splot zwiniętych czarnych loków. Ogromny, wieńczył jej pochyloną głowę koroną przygniatającego, wzgardzonego przepychu. Z korony tej zwieszały się strzępy luźnych kosmyków. I nagle spostrzegłem, że dziewczyna drży od stóp do głowy, jak gdyby ta szklanka zimnej wody z lodem zmroziła ją do szpiku kości.

— Cóż tam znowu? — rzekłem trwożnie, choć niezbyt współczująco.

Zatrzęsła ku dołowi przygiętą, przeciążoną głową i krzyknęła zduszonym, lecz stopniowo rosnącym w napięciu głosem:

— Precz! Precz! Precz!

Wstałem tedy i zbliżyłem się ku niej z dziwnym rodzajem zniepokojenia. Popatrzałem na jej okrągły, silny kark, potem schyliłem się, ażeby zajrzeć jej w twarz. I zacząłem sam lekko drżeć.

— Cóż to za historje pani wyrabia, panno Nie-Dbam?

Gwałtownie rzuciła się wtył, głową poza oparcie krzesełka. I teraz jej równo utoczona, pełna, drgająca szyja ukazała się memu zachwyconemu wejrzeniu. Jej oczy były prawie zamknięte, z prześwitującem tylko strasznie z pod powiek białkiem, jak gdyby już nie żyła.

— Co pani jest? — spytałem z trwogą. — Jakim lękiem pani się dręczy?

Zebrała się w sobie. Oczy jej były teraz wielkie, szeroko otwarte. Przedwieczór tropikalny wydłużał cienie na rozprażonej, uznojonej ziemi, na tem siedlisku zawiłych pożądań, oszalałych nadziej, gróz przechodzących wyobraźnię.

— Mniejsza o to! Nie dbam! — Odetchnęła i wtem zaczęła mówić z tak przeraźliwą szybkością, że ledwie mogłem uchwycić sens tych osłupiających wyrazów: — Bo

nawet gdyby mnie pan miał zamknąć w jakiem pustem miejscu, tak zupełnie dookoła gładziutkiem, jak moja dłoń, to i tak mogę się zadusić swemi włosami.

Przez chwilę, nie wierząc własnym uszom, byłem pod wrażeniem tego niezrozumiałego splotu wyrazów. Kto kiedy może zgadnąć, jakie dzikie myśli przewijają się przez głowy naszych bliźnich. Co za potworne przywidzenia mogły się były ulokować pod niskiem czołem tej dziewczyny, w którą wmówiono, że jej ojciec jest „zdolny do wszystkiego", a to „wszystko" oświetlono bardziej ze strony nieszczęścia niż hańby, jako coś, naturalnie, czego trzeba nienawidzieć i raczej bać się, aniżeli się tego wstydzić. Jakoż, zdawało się, że wstyd dla niej jest taką niespodzianką, jak i cokolwiek bądź innego na świecie; a ciemnota dziewczyny nadawała jej nienawiści i obawie formę dziecinną i gwałtowną.

Oczywiście, mówiła, nie znając wartości słów. Cóż mogła wiedzieć o śmierci — ona, która nie wiedziała nic o życiu? Jawnym dowodem opętania jej przez nienawiść i strach były te jej nadzwyczajne słowa, które nie poruszyły we mnie litości, nic, tylko jakieś oszołomienie, przerażenie, zdumienie. Bynajmniej nie domyślałem się, jak ona przedstawia sobie grożące jej niebezpieczeństwo. Coś w rodzaju porwania. Być może, wywnioskowała to z gadanin tej obmierzłej baby. Myślała snać, że mogą jej związać ręce i nogi, nawet zakneblować usta i gdzieś ją zawieźć. Gdym sobie to wyobraził, uczułem, jakby przede mną otwarto nagle pałającą czeluść wielkiego pieca.

— Daję słowo honoru! — krzyknąłem. — Pani zwarjuje wkońcu, słuchając tej obrzydliwej swej ciotki — —

Zastanowił mnie jej błędny wyraz, jej drżące usta. Nawet policzki jej były trochę jakby wpadnięte. Ale cóż

ja, wspólnik zniesławionego jej ojca, ja, w zbrodniczej Europie „najpodlejszy z podłych", co mógłbym począć dla dodania jej otuchy; nie miałem o tem najmniejszego pojęcia. Doprowadzała mię do rozpaczy.

— Na miłość Boską! Co pani ma na myśli? Co za krzywdę mogę pani zrobić?

— Nie wiem.

Z pewnością drżał jej podbródek. Patrzała na mnie z najwyższą uwagą. Zbliżyłem się o krok do jej krzesła.

— Nie zrobię nic. Przyrzekam to pani. Czy to dostateczne? Czy pani zrozumiała? Nie zrobię nic a nic; a pojutrze odjeżdżam.

Cóż innego mogłem powiedzieć? Zdawała się chłonąć moje słowa z taką samą łapczywością, z jaką wypiła była szklankę wody. Załamującym się, rzewnym tonem, który już raz przedtem na jej ustach słyszałem i który znów mię przeniknął nawskroś tem samem wzruszeniem, szepnęła.

— Panubym wierzyła. Ale co do papy — —

— Bierz go licho! — Moje wzruszenie zdradziło się aż brutalnością tonu.—Dosyć mam już tatusia pani. Czy pani jest tak nierozsądna, by myśleć, że ja się go boję? On nie może mi nic zrobić.

Wszystko to brzmiało mi za słabo dla jej niewiedzy Lecz muszę stwierdzić, że „akcent szczerości", jak powiadają, ma nieprzepartą władzę. Skutek daleko przeszedł moje oczekiwanie i nawet pojęcie. Obserwacja zmian, zachodzących w dziewczynie, miała podobieństwo do przypatrywania się cudowi — stopniowej ale szybkiej uldze w natężonym wzroku, w napiętych kurczowo mięśniach, w każdem włókienku jej ciała. To czarne, nieruchomo wlepione spojrzenie, w którem niejeden raz czytałem ja-

kiś zamysł tragiczny, jakąś chmurną zadumę, która mię zwodziła, najzupełniej było teraz puste, próżne świadomego rozeznania czekogolwiek i nawet nie dostrzegające już nadal mojej obecności; stało się cokolwiek senne na wzór Jacobusowego.

Atoli, z przewrotnością ludzkiej bestji właściwą, zamiast się całkowitem mojem powodzeniem cieszyć, patrzałem na to zdumionem i oburzonem okiem. Jakiś cynizm był w tem nietajonem przeinaczeniu się, prawdziwy bezwstyd Jacobusowski. Czułem, jak gdyby mię oszukano w jakiejś nieco zagmatwanej grze, do której wszedłem wbrew zdrowemu rozsądkowi. Tak jest, oszukano mnie, z bezwzględnem pominięciem chociażby form przyzwoitości.

Lekkim, niedbałym i w swej niedbałości zwinnym, kocim ruchem wstała z krzesła, z takiem teraz o mnie prowokującem zapomnieniem, że w istnym napadzie gniewu nie cofnąłem się z miejsca, choć byłem tuż przy niej, na odległość mniejszą od stopy. Swobodnie i powolutku, z nonszalanckiem wręcz w stosunku do mnie zachowaniem się osoby w pokoju samej, wyciągnęła swe przecudne ramiona, z zaciśniętemi piąstkami, rozkołysana, z głową przegiętą zlekka wtył, z pogardliwą beztroską uwydatniając swe kształty, dla ulżenia im, pozwalając im rozprężyć się wygodnie po wszystkich tych dniach pozy skurczonej, drętwej w bezruchu, gdy była tak wściekła i tak nastraszona.

A wszystko to z obojętnością najwyższą, niewiarogodną, obrażającą, oburzającą jak niewdzięczność, podszyta zdradą.

Powinnoby to mi było schlebiać może, lecz, naodwrót, gniew mój wzrastał; a z chwilą, gdy chciała przejść koło mnie, jak gdybym był słupem drewnianym lub kawałkiem mebla, nieuważne jej poruszenie doprowadziło mnie do furji.

Nie chciałbym zapewniać, jakobym nie wiedział, co robię, lecz zimna rozwaga napewno nie miała nic do czynienia w tej okoliczności, nagle bowiem oba moje ramiona owiły się wokół jej stanu. Był to uczynek popędliwy taki jak przy chwytaniu czegoś upadającego lub wymykającego się; nie był też obłudnie delikatny. Nie zdążyła wydać głosu, i mój pierwszy pocałunek, który zaszczepiłem na jej zwartych ustach, miał tyle, ile trzeba, zjadliwości, ażeby być ukąszeniem.

Nie broniła, i, oczywiście, nie poprzestałem na jednym. Przyzwalała, bynajmniej nie martwo—czułem ją tuż przy sobie młodą, w pełni rozkwitu sił, życia, mocy, pożądaną, lecz, jak gdyby w absolutnej pewności swego bezpieczeństwa, nie troszczącą się wcale o to, co czynię lub uczynić zaniecham. Gdy w tej burzy pieszczot na chybi-trafi przywarci byliśmy do siebie twarzą w twarz, jej wielkie, czarne, szeroko otwarte oczy tonęły w moich, lecz nie było z nich widać, że dziewczyna jest bądź zagniewana, bądź zadowolona, bądź wzruszona w jakikolwiek sposób wogóle. W tym jej bacznym wzroku, który zdawał się być niezainteresowanym osobiście świadkiem mego szaleństwa, zdołałem wykryć pewne leciuchne zdziwienie — nic ponadto. Szorowałem jej twarz ulewą pocałunków, i nie było, zda się, żadnej racji, dla którejby ta czynność nie miała trwać wiecznie.

Po tym przebłysku myślowym już-już byłbym zaprzestał, gdy naraz ona zaczęła niespodziewanie szamotać się i ze wszystkich sił dobijać się uwolnienia nagwałt, natychmiast; to mię oburzyło i podnieciło moje przeciw niej rozjątrzenie do istnej dzikiej żądzy nie wypuszczania jej z objęć już nazawsze.

Zacieśniłem wporę oplot, dysząc: — Nie, nie ujdziesz

mił — jak gdybym miał do czynienia z śmiertelnym wrogiem. Co do niej, nie wymówiła ani jednego słówka. Wspartemi w moją pierś rękami odpychała mię z całej siły, nie mogąc przełamać uścisku opasujących ją ramion. Pominąwszy to, że najzupełniej teraz, zda się, wytrzeźwiała, oczy jej nie dawały mi żadnego dla jakiejkolwiek bądź orjentacji wątku. Spotykając się z jej czarnem, wlepionem we mnie spojrzeniem, zdawało mi się, jakbym patrzał w głęboką studnię, i całkiem nie byłem przygotowany na zmianę taktyki. Nie usiłując rozerwać mych rąk, cisnęła mi się na pierś i, ruchem falistym, wężowym, ześliznąwszy się prędko wdół, jak przy nurkowaniu, wysunęła mi się zręcznie. Odbyło się to bardzo szybko; ujrzałem, jak schwyciła tren swej zarzutki i pobiegła ku drzwiom na końcu werandy nie zanadto zgrabnie — wydało mi się, że nieco kuleje — a potem zniknęła; drzwi obróciły się za nią tak bezszelestnie, że nie mógłbym wierzyć w to, czy je na dobre zamknęła. Podejrzewałem, owszem, że czarne jej oko podgląda teraz przez szparkę, co też ja porabiam. A ja nie mogłem się zdecydować, zali mam w tym kierunku pogrozić pięścią, czy wysłać całus powietrzny.

## VI

Ani jedno ani drugie nie odpowiadało moim uczuciom. Zapatrzony we drzwi, namyślałem się i wkońcu nie zrobiłem ani tak, ani owak. Napomnienie jakiegoś szóstego zmysłu — być może zmysłu poczuwania się do winy, tego zmysłu, który zawsze działa, niestety, poniewczasie — ostrzegło mię, że trzeba się obejrzeć, i naraz uświadomiłem sobie, że w zakończeniu tego burzliwego epizodu zanosi się na coś, co może nastręczyć powód do żywej obawy. We

drzwiach stołowego pokoju stał Jacobus. Jak długo tam się znajdował, nie można było zgadnąć; przypomniawszy sobie walkę z dziewczyną, pomyślałem, że musiał być jej niemym świadkiem od początku do końca. Lecz to przypuszczenie wydawało się zbyt nieprawdopodobne. Może ta niepojęta dziewczyna usłyszała jak wszedł i zdążyła umknąć.

Wkroczył na werandę w swój zwykły sposób, ze spuszczonemi powiekami, ze sklejonemi ustami. Uderzyło mię podobieństwo dziewczyny do tego człowieka. Te podłużne oczy egipskie, to niskie czoło głupiej bogini znalazła w trocinach areny cyrkowej; ale reszta twarzy, rysunek i modelacja, zaokrąglony podbródek, te same usta — wszystko to było Jacobusa, wysubtelnione jednak, bardziej wykończone, wyrazistsze.

Gruba jego ręka spadła z krzepkim uchwytem garści na poręcz lekkiego krzesła (porozstawiane były tu i owdzie) i spostrzegłem w końcu tego wszystkiego możliwość jakiejś rozłupanej głowy — najprawdopodobniej. Doznawałem zgryzoty w najwyższym stopniu. Będzie straszna awantura; to było nieuniknione. Jak się wywiązać z tego zręcznie, nie wiedziałem. Miałem się na baczności i, na wszelki wypadek, przybrałem pozycję czołową. Narazie nie pozostawało mi nic innego. Co do jednej rzeczy miałem pewność, że moja postawa, jakkolwiek czelna, nie może się równać bezwstydowi, cechującemu Jacobusa.

Melancholijnym grymasem sklejonych warg uśmiechnął się do mnie i usiadł. Wyznaję, że odetchnąłem. Perspektywa przejścia od pocałunków do bójki nie miała w sobie nic tak dalece ponętnego. A może — a może nic nie widział? Zachowywał się jak zwykle, ale nigdy przedtem nie zastawał mnie był na werandzie samego. Jeśliby na tę

okoliczność zwrócił uwagę, zapytując naprzykład: „Gdzie Alicja?" lub inaczej, mógłbym coś wywnioskować z jego tonu. Ale nie dał mi tej sposobności. Szczególniej uderzające było to, że wcale na mnie nie patrzał. Wie — powiedziałem sobie w duchu. I pogarda moja dla niego ulżyła memu samowstrętowi.

— Pan dziś wcześnie w domu — zauważyłem.

— Mały ruch; niema co robić w sklepie dzisiaj — wyjaśniał z opuszczonemi wdół oczyma.

— Aha, otóż, jak panu wiadomo, odjeżdżam — rzekłem, czując, że może to było najwłaściwsze.

— Tak jest — odsapnął: — pojutrze.

Nie oto mi chodziło; lecz widząc, że wciąż ma wzrok utkwiony w podłogę, spojrzałem i ja w tym kierunku. Wśród absolutnej ciszy, która objęła dom, wpatrywaliśmy się w zgubiony przez uciekającą dziewczynę pantofelek o wysokim obcasie. Zapatrzyliśmy się nań. Leżał do góry podeszwą.

Po jakiejś chwili, która mi się wydała nieskończenie długą, Jacobus, suwając krzesełkiem, podsunął się ku niemu, nachylił z wyciągniętą ręką i podniósł go. Przedmiot ten wydał się bardzo nikłym w jego potężnem, grubem łapsku. Był to właściwie nie pantofelek, lecz płytki trzewiczek z niebieskiej giemzy lakierowanej, wytarty i znoszony. Posiadał rzemyki do przypasywania go na podbiciu, ale dziewczyna tak tylko wkładała w niego nóżkę, nie troszcząc się, jak zazwyczaj, o ład. Jacobus przeniósł oczy z tego trzewika na mnie.

— Siadaj pan, kapitanie — rzekł wreszcie przyciszonym tonem.

Jak gdyby widok tego trzewika odnowił czary, nagle porzuciłem myśl niezwłocznego opuszczenia tego domu.

Stało się to rzeczą niemożliwą. Usiadłem, wpatrując się w ten rzucający uroki przedmiot. Jacobus obracał w swych poduszkowatych łapach trzewiczek córki na wszystkie strony, jakby szczegółowo badając jego robotę. Przez pewien czas medytował nad cienkością podeszwy; następnie zajrzał do środka i ze skupioną miną rzekł:

— Cieszę się, że pana tu zastałem, kapitanie.

Odpowiedziałem na to czemś w rodzaju chrząknięcia, obserwując go ukradkiem, i po chwili dodałem: — Niewiele już pan będzie miał ze mnie pociechy teraz.

Wciąż jeszcze zgłębiał wnętrze tego trzewika, którego i ja również nie spuszczałem z oczu.

— Czy też myślał pan jeszcze o tym handlu kartoflami, o którym panu w tych dniach wspominałem.

— Nie — odpowiedziałem krótko, podnosząc się z krzesełka. Powstrzymał ten mój ruch surowym, nakazującym gestem ręki, trzymającej ów fatalny trzewik.

Siedziałem więc dalej i patrzałem na niego roziskrzonym wzrokiem. — Wie pan o tem, że ja nie handluję.

— Powinieneś pan, kapitanie. Powinieneś.

Namyślałem się. Jeżelibym opuścił ten dom zaraz, to już nie zobaczyłbym się z dziewczyną. A czułem, że muszę ją widzieć jeszcze raz i choćby na chwilę. Była to konieczność, przeciw której nanic wszelkie rozumowanie i od której się nie można uchylić. Nie, nie odejdę. Zostanę, aby jeszcze raz zaznać tego dziwnie drażniącego uczucia jakiejś nieokreślonej żądzy, której nałóg sprawił, że mnie — z wszystkich ludzi, mnie właśnie, przejmowała trwoga wobec wyjazdu na morze.

— Panie Jacobus — rzekłem zwolna: — czy pan rzeczywiście sądzi, że wszystko zważywszy i uwzględniając różne fakty — mam na myśli wszelkie fakty, rozumie

pan? — byłoby rzeczą dla mnie dobrą handlować, powiedzmy, z panem?

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Wciąż patrzał na trzewik, któr teraz zmiął, ścisnąwszy go przez środek, tak że zdartym noskiem i wysokim obcasem wystawał z obu stron jego ciężkiej pięści.

— To będzie całkiem w porządku — rzekł, spojrzawszy mi prosto w twarz nareszcie.

— Jest pan tego pewien?

— Najzupełniej, nie będzie pan miał nic do zarzucenia, kapitanie.

Wyrzekł te swoje utarte frazesy zwykłym, łagodnie przytłumionym głosem i wytrzymał mój twardy, badawczy wzrok, nawet nie mrugnąwszy powieką.

— A zatem, handlujmy — rzekłem, ustępując. — Zawziął się pan na to, jak widzę.

Nie chciałem jawnego skandalu, lecz pomyślałem, że zachowanie pozorów przyzwoitości może mię zczasem drogo kosztować. Powziąłem dla Jacobusa, dla siebie samego i dla wszystkich razem mieszkańców tej wysepki jedno łączne obrzydzenie, tak jak gdybyśmy byli współuczestnikami jakiejś haniebnej ugody. A ów pamiętny mi widok Perły Oceanu z szcześćdziesięciomilowej oddali, ta lazurowa, przezrocza wizja na morzu; ten nieziemski, niepokalany cud, wywołany snać magją czystego piękna, zdawał mi się teraz jakąś dreszcze budzącą okropnością. Czyż to był ten mój udział szczęścia — ten miraż wyspy na tle oparów wodnych — to rzadkie zjawisko, które dla mnie w swem twardem sercu zachowała dola i które taiła pod omgloną i jakby z czarodziejskich snów postacią?

Czyż to był ten mój udział szczęścia?

— Ja myślę — odezwał się raptem Jacobus po czemś,

co zdawało się być milczeniem brzydkiej zadumy, — że mógłby pan wziąć jakieś trzydzieści tonn. Coś około tego wypadałoby na pański udział, kapitanie.

— Doprawdy? Na mój udział! Z wszelką pewnością mógłbym, ale nie mam na to odpowiedniej sumy.

Nie widziałem go nigdy jeszcze tak ożywionego.

— No! — wykrzyknął z akcentem, który mi się wydał srodze groźnym: — A to szkoda.

Zrobił pauzę, poczem: — Ile pieniędzy masz pan, kapitanie? — zagadnął już wprost z obcesową natarczywością.

Teraz na mnie przyszła kolej spojrzeć mu w oczy rzetelnie. Uczyniłem to i wymieniłem sumę, którą mógłbym rozporządzać. Widziałem, że był rozczarowany. Rozważał to, utkwiwszy swój kombinatorski wzrok w mych oczach, przez dość długi czas, nim tonem zamyślonym odezwał się z taką drapieżną propozycją:

— Mógłbyś pan wyciągnąć coś więcej ze swych najemców. To łatwo zrobić, kapitanie.

— Nie, nie mógłbym — odfuknąłem: — zapłatę wybrałem do dziś, a zresztą, rachunki okrętowe już zamknięte.

Wściekłość mię brała. — I powiem panu — ciągnąłem, — że gdybym nawet mógł to uczynić, tobym nie chciał. — I nie krępując się już wcale, dorzuciłem: — Pan jesteś już trochę zanadto Jacobusem, panie Jacobus.

Sama intonacja głosu mego była obrażająca; lecz zachował spokój, cokolwiek się tylko zastanowił, jakby coś miarkując; ale ten przebłysk w jego oczach zgasł natychmiast. Niech sobie tam byle jaki szyper mówi, co mu się podoba, to przecież nie może dotykać jego, Jacobusa, chociaż wyrzutka, lecz będącego tu na swoich tubylczych śmieciach. Jako handlarz okrętowy mógł znieść wszelką znie-

wagę. Wszystko co z jego memłania wyrozumiałem, to było jakieś nieokreślone „całkiem w porządku“ — formułka, nad którą nie mogło być, przynajmniej mojem zdaniem, wierutniejszego kłamstwa.

Atoli przypomniałem sobie — raczej ani na chwilę nie zapomniałem, że mam się zobaczyć z dziewczyną. Nie myślałem odchodzić. Umyśliłem zostać w tym domu dopóty, dopóki jej nie zobaczę raz jeszcze.

— Słuchaj pan — rzekłem nakoniec: — powiem panu, co zrobię. Kupię tych pańskich utrapionych ziemniaków za ile tylko mi wystarczy, pod warunkiem, że pan zaraz teraz udasz się na przystań i zajmiesz się pan ładowaniem ich na galar i niezwłoczną odstawą ich pod okręt. Weź pan z sobą fakturę i podpisany kwit z odbioru. Tu masz pan klucz od mego biurka. Wręczysz go pan Burnsowi. On panu zapłaci.

Wstał z krzesła, nim jeszcze skończyłem mówić, ale wzdragał się wziąć klucz. Burns na to się nie zgodzi. Nie chciałby mu nawet tego proponować.

— Dobrze więc, w takim razie — rzekłem, rzucając nań wzgardliwe spojrzenie — trudno i darmo, panie Jacobus, musisz pan zaczekać na pokładzie aż do mego powrotu i ostatecznego załatwienia z panem.

— Tak będzie całkiem w porządku, kapitanie. Idę natychmiast.

Zdawał się być zakłopotany, co ma zrobić z trzewiczkiem, który jeszcze wciąż trzymał w garści. Ostatecznie, spojrzawszy na mnie tępo, położył go na krzesełku, z którego się był przed chwilą podniósł.

— A pan, kapitanie? Czy i pan nie poszedłbyś rzucić okiem — —

— Niech pana o mnie głowa nie boli. Już ja o sobie sam pomyślę.

Był chwilowo stropiony, jakby usiłując zrozumieć; poczem, niby pod wpływem jakiejś nagłej myśli, rzekł ważko: — Z pewnością, z pewnością, kapitanie. — Szeroka jego pierś wzniosła się i opadła. Byłożby to westchnienie? Czem prędzej wyszedł, aby się zakrzątnąć koło tych ziemniaków, i ani się już na mnie obejrzał.

Czekałem, aż stuk jego kroków ucichnie w jadalni, poczekałem jeszcze dłużej. Następnie, zwracając się ku odległym drzwiom, głosem donośnym na całą werandę zawołałem:

— Alicjo!

Nie było odpowiedzi i nawet nic nie poruszyło się za drzwiami. Snać dom Jacobusów opustoszał, abym mógł się w nim czuć jak u siebie. Nie wołałem po raz drugi. Przejęło mię naraz jakieś ogromne zniechęcenie, jakaś gnębiąca jałowość myśli i moralne przybicie. Odwróciłem się znów do ogrodu i usiadłem, wsparty łokciem na poręczy niskiej balustrady, objąwszy rękami głowę.

Miało się już pod wieczór. Cienie powydłużały się, pogłębiły, zmieszały w jeden stop pomrocza, w którym pełgające barwami grządki kwiatowe podobne były do zgarniętego węglowego żaru; napływały ku mnie duszne wonie, jak gdyby zmierzch na tej półkuli ziemskiej był niczem innem, jak przyćmieniem wnętrza świątyni, ogród zaś — niezmierną kadzielnicą, kołyszącą się przed ołtarzem gwiazd. Barwy kwiecia stawały się coraz ciemniejsze i jedna po drugiej zatracały swoją rozżarzoność.

Na lekki szelest odwróciłem głowę. Dziewczyna wydała mi się jakby wyższa wzrostem i szczuplejsza; zbliżała się, chwiejąc i kulejąc, słaniającym się, nierównym ruchem,

który zakończył się tem, że podobna cieniowi jej postać utonęła w głębiach niziutkiego fotelu. I nie wiem, jak i skąd, ale miałem takie wrażenie, jak gdyby przyszła za późno. Winna była ukazać się na moje wołanie. Winna była...

Stało się coś, że najwyższy, sprzyjający moment jak gdyby przepadł.

Wstałem i przesiadłem się na krzesełko tuż przy niej, nawprost jej fotelu. Odrazu przemówiła do mnie swym niechętnym, zawsze pogardliwym tonem:

— Pan jeszcze tu?

Mój głos był cichy.

— Pani przyszła nareszcie.

— Przyszłam po trzewik — nim zapalą światło.

Był to ten jej cierpkawy, usidlający szept, choć teraz jakby poskromiony, niezbyt pewny siebie, lecz jego niska wibracja nie budziła już we mnie dreszczu. Mogłem tylko rozpoznać jej owal twarzy, jej odkrytą szyję, podłużne, bielejące lśnienie oczu. Wygląd jej był dość tajemniczy. Ręce jej leżały na poręczach fotelu. Gdzież jednak było tajemne i podniecające wrażenie, które stanowiło jakby zapach kwiatu jej młodości? Rzekłem spokojnie:

— Pani trzewik ja mam tutaj. — Nie odzywała się. — Najlepiej niech mi pani pozwoli, że ja panią obuję sam.

Nie zrobiła żadnego ruchu. Schyliłem się i poomacku odnalazłem jej nogę pod falbankami szlafroczka. Nie cofnęła jej; włożyłem trzewik i pozapinałem rzemyki na podbiciu. Noga była jak martwa. Delikatnie postawiłem ją na ziemi.

— Gdyby pani zapinała te rzemyki, to byłaby pani nie zgubiła trzewika, panno Nie-Dbam — rzekłem, podżartowując bez przekonania. Czułem w sobie, jakby płacz

nad utraconą złudą nieokreślonego pragnienia, nad powziętem nagle przeświadczeniem, że już nie zaznam przy niej tego dziwnego, napół wrogiego, napół tkliwego uczucia, które nadawało ostry posmak tylu moim dniom i które przyoblekało ją w pozór tragiczny i obiecujący, żałosny i wyzywający. To wszystko już się skończyło.

— Podniósł go pani ojciec — rzekłem, sądząc, że i jej również o tym fakcie można powiedzieć.

— Ja nie boję się papy — samego — oświadczyła pogardliwie.

— Ach, to tylko łączność jego ze wspólnikami o złej reputacji, z cudzoziemcami, z „europejskim motłochem", jak mówi zachwycająca pani ciotka czy praciotka — z ludźmi takimi, jak ja, naprzykład — to sprawia, że pani — —

— Ja pana się nie boję — odfuknęła.

— Bo pani nie wie, że ja z pani ojcem robię interes. Tak, rzeczywiście robię to, co on mi robić każe. Złamałem obietnicę względem pani. Oto jaki ze mnie człowiek. Czy i teraz pani się mnie nie boi? Wierząc słowom tej kochanej, miłej, starej ciotki, powinnaby pani.

Niespodzianie nastrojonym czułością głosem zapewniła:

— Nie, nie boję się. — Z wahaniem:... — Teraz już nie.

— Doskonale. Niema potrzeby. Więcej się już z panią przed wyjazdem nie zobaczę. — Wstałem i przysunąłem się do fotelu: — Będę jednak często myślał o tem, jak pani przechadza się tam, pod drzewami, jak spaceruje wśród tych pysznych grządek kwiatowych. Musi pani kochać ten ogród — —

— Ja nic nie kocham.

W jej zadąsanym tonie posłyszałem jakby mdłe echo owej rozżalonej, tragicznej nuty, która dźwięczała mi dawniej tak pobudzająco. Nie wzruszyła mnie, wywołała tylko nagłe i nudne przeświadczenie o znikomości wszystkiego pod słońcem.

— Bądź zdrowa, Alicjo — rzekłem.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Wziąć ją za rękę, potrząsnąć i odejść tak — wydawało mi się rzeczą niemożliwą, prawie nieprzyzwoitą. Nachyliłem się, nie śpiesząc, i przycisnąłem wargi do jej rozpalonego czoła. I to był moment, w którym z pewnego rodzaju przerażeniem jasno zdałem sobie sprawę z mojego zupełnego oderwania się od tej nieszczęsnej istoty. I gdym tak, ociągając się, trwał w tej bezlitosnej samowiedzy, uczułem lekki dotyk jej omdlałych ramion, spadających mi na kark, i otrzymałem jej niezgrabny w pośpiechu, na chybi-trafi, pocałunek, który rozminął się z mojemi ustami. Nie! Nie obawiała się, ale mnie to już nie wzruszało. Jej bezwładne ramiona ześliznęły mi się z karku; nie odzywała się nic, głęboki fotel lekko zatrzeszczał; gdyby nie zapobiegawcza myśl o utrzymaniu powagi, byłbym uciekł na łeb - na szyję od tych katastrofalnych objawów.

Zwolna przechodziłem przez pokój stołowy. I myślałem: wsłuchuje się w stuk moich kroków; nie może ich zatrzymać; usłyszy, jak otwieram i zamykam te drzwi. A zamknąłem je za sobą tak cichutko, jak złodziej wycofujący się ze źle nabytym łupem. Podczas tego wykradania się uczułem ostatnie drgnienie emocji w tym domu na myśl, żem pozostawił siedzącą tam pociemku dziewczynę o bujnych włosach i próżnych oczach, tak czarnych, jak sama noc — dziewczynę, wpatrzoną w ogród zamknięty murem, milczący, pełen żaru i zapachu więzionych kwia-

tów, których, tak jak i jej, nie ogląda świat, pogrzebany w ciemnościach.

W wąskich, źle oświetlonych, tak dobrze mi znanych po drodze do przystani zaułkach było nadzwyczaj cicho. Głos wewnętrzny mi szeptał, że im dalej się człowiek zaawanturuje w życiu, tem łatwiej zrozumie pospolitość wszechrzeczy, ich przelotność i nicość, i że właśnie w pogoni za nieznaną jakąś sensacją przekonywujemy się, jak marne bywają nasze zamierzenia i jak rychło unicestwiane!

Przewoźnik Jacobusa oczekiwał mnie na przystani, z miną niezwykle służbistą. Podwiózł mnie pod okręt, lecz nie zwracał się do mnie z poufałem: „Dobry wieczór, pszepana", i zamiast odbić łódkę natychmiast, pozostał jeszcze u schodków.

Byłem o tysiąc mil od spraw handlowych, gdy w mrocznym kasztelu Burns literalnie rzucił się na mnie i coś w podnieceniu bełkotał. Oczekiwał mego przybycia z godziny na godzinę, zniecierpliwiony, chodząc po pokładzie tam i zpowrotem. Właśnie przed zachodem słońca przybił do okrętu galar z ładunkiem ziemniaków i z tym tłustym handlarzem okrętowym, we własnej osobie, siedzącej na stosie worków. Teraz utknął w kajucie. Co to wszystko ma znaczyć? — Doprawdy, nie ja — —

— Tak, panie Burns, to ja — przerwałem mu krótko. Jego rozpaczliwą gestykulację zahamowałem również, wetknąwszy mu w rękę klucz od biurka z kategorycznem, nie znoszącem sprzeciwu żądaniem, aby natychmiast zeszedł na dół, zapłacił rachunek Jacobusowi i żeby zaraz go odprawił.

— Nie chcę się z nim widzieć — oznajmiłem szczerze, wstępując po drabinie rufy. Zdjęło mnie ogromne zmęczenie. Padłem w jakieś krzesło na galeryjce i oddałem się

leniwemu zapatrzeniu na latarnie wybrzeża i na bryłowatą masę góry w południowej stronie portu. Nie słyszałem, gdy Jacobus opuszczał okręt z całą moją w kieszeni gotówką, do ostatniego suwerena. Nie słyszałem nic przez długi czas, dopóki nie zmącił mi spokoju Burns, który, nie mogąc już wytrzymać, przylazł do mnie ze swojemi śmiesznie gniewnemi ubolewaniami nad moim charakterem dobrym i słabym.

— Miejsca, oczywiście, jest przy rufowej luce aż nadto. Ale tam z pewnością mogą zgnić. Otóż to! Niesłychana rzecz... siedmdziesiąt tonn! Przypuszczalnie jutro z samego rana muszę przedewszystkiem wwindować tę partję.

— Przypuszczalnie, że pan musisz. O ile pan nie wyrzucisz jej za burtę. Obawiam się jednak, że pan nie będziesz mógł tego zrobić. Ja sam nie mam nic przeciwko temu, ale, jak pan wiesz, nie wolno w przystani wyrzucać śmiecia.

— To jest najprawdziwsze słowo, które pan od tylu dni wypowiedział, proszę pana — śmiecie. Spodziewam się, że to nie jest nic innego. Prawie ośmdziesiąt złotych suwerenów jak w błoto rzucił; szufladka pańska wypróżniona czyściutko, proszę pana. Niech mnie djabli, jeżeli co rozumiem!

Ponieważ nie mogłem mu tej handlowej tranzakcji należycie wyświetlić, pozwoliłem mu biadać i mieć o mnie pojęcie, jako o beznadziejnym szaleńcu. Nazajutrz nie ruszyłem się na brzeg. Raz, że nie miałem pieniędzy — bodaj na kupno jednego papierosa. Jacobus wyprzątnął mi kieszeń na czysto. Ale główny powód leżał nie w tem. Perła Oceanu przez ten króciuchny czas paru godzin obrzydła mi. I nie chciałem się z nikim spotykać. Straci-

łem dobrą opinję. Wiedziałem, że jestem tam przedmiotem nieżyczliwych nicowań i drwiących komentarzy.

Nazajutrz, skoro świt, gdy nas spuszczono z uwięzi cumowej i gdy holownik wyczochrał nas z pośród buj, zobaczyłem Jacobusa, stojącego w swem czółnie. Murzyn wiosłował ciężko; między poprzecznemi ławkami stało mnóstwo koszów z okrętowym prowjantem. Ojciec Alicji sprawował swój objazd poranny. Wyglądał na człowieka spokojnego i życzliwego. Machał ręką i coś przyjaźnie wykrzykiwał. Ale głos jego był niedalekonośnej mocy; zaledwie pochwyciłem lub raczej zgadłem wyrazy: „w najbliższym czasie" i „całkiem w porządku". Pewność miałem tylko co do ostatniego. Za całą odpowiedź podniosłem rękę od niechcenia i odwróciłem się. Ta jego poufałość wydała mi się rodzajem zniewagi. Alboż nie załatwiłem z nim rachunku ostatecznie kupnem ziemniaków?

Ponieważ to jest nowela portowa, nie zamierzam opowiadać o naszej podróży. Cieszyłem się dość, żem już na morzu, ale to nie była uciecha dni minionych. Przedtem nie miewałem do zabrania z sobą żadnych wspomnień. Dzieliłem błogosławioną niepomność żeglarzy, tę wrodzoną odporność zapomnienia, podobną do niewinności tak dalece, że zapobiega wszelkim samoanalizom. Teraz, bądź co bądź, miałem na wspomnieniu tę dziewczynę. Przez jakieś parę dni wciąż badałem samego siebie co do natury faktów i uczuć, związanych z jej osobą i z mojem postępowaniem.

Muszę też nadmienić, że nieznośne gderanie Burnsa z powodu tych ziemniaków nie było obliczone na to, ażebym mógł zapomnieć o odegranej przeze mnie roli. Zapatrywał się na nie z punktu czysto handlowej tranzakcji z gatunku wyjątkowo najgłupszych, i przywiązanie je-

go do mnie — o ile to przywiązanie nie było zalewaniem mi sadła za skórę, jak to przywykłem był uważać — natchnęło go do gorliwych zabiegów w celu możliwego zmniejszenia mej straty.

O, tak! Rozwinął on nad temi haniebnemi ziemniakami taką pieczołowitość, że niech go licho!

Nad rufową luką nieustannie były w robocie sprzęty, nieustannie warta wywlekała pewną ilość tej ładugi na pokład, rozsypywała ją, przebierała, przeworkowywała i znów spuszczała nadół. Moje kupno wraz ze wszystkiemi z niem skojarzonemi wspomnieniami — ten ogród kwiatów i zapachów, ta dziewczyna ze swoją prowokującą wzgardą i z swojem tragicznem osamotnieniem istoty wyklętej i rzuconej bezradnie — to wszystko tańczyło mi przed oczyma bezustanku, czepiało się mnie w tysiącznej mili otwartego morza. I jak gdyby przez jakąś wyrafinowaną, szatańską ironję, towarzyszył temu najstraszliwszy odór. Wyziew gnijących ziemniaków prześladował mnie na najwyższym pomoście, był domieszką moich myśli, mojego pożywienia, zatruwał moje sny. Okręt otoczyła atmosfera rozkładu.

Wymawiałem Burnsowi tę zbytnią pieczotowitość. Byłbym rad zasklepić lukę i niechby tam sobie zgniły pod pokładem.

Może byłaby to rzecz niebezpieczna. Wydzielający się straszny zaduch mógłby przesycić złą wonią ładunek cukru. Była tak silna, że przenikała, zda się, w żelastwo. Nadobitkę Burns zrobił z tego swoją sprawę osobistą. Zapewniał mnie o swojej umiejętności obchodzenia się z ładunkiem ziemniaków na morzu, twierdząc, że zajmował się tym handlem od małego chłopca. Przypuszczał, że doprowadzi moją stratę do minimum. Już-to przez wzgląd na jego przywiązanie — może to i było przywiązanie —

już-to dla jego próżności, dosyć, że poprostu nie śmiałem mu powiedzieć, ażeby owoc mej przypadkowej spekulacji handlowej wyrzucił za burtę. Jestem przekonany, że wręczby odmówił mojemu legalnemu rozkazowi. Wytworzyłaby się niebywale komiczna sytuacja, której nie czułem się na siłach rozstrzygać.

Zepsucie się pogody przywitałem z taką radością, jak chyba jeszcze żaden na świecie marynarz. Gdy wreszcie obróciłem okręt pod hyz, ażeby zjechać się z pilotem dla przeprawy u Portu Filipa, więcej niż tydzień nie otwierano rufowej luki, i mogło mi się zdawać, że nigdy taka rzecz, jak kartofel, na pokładzie nie postała.

Był to szkaradny dzień, ostry, dokuczliwy, z gwałtownem natarciem wichury i deszczu; pilot, rześki osobnik, doglądał okrętu i gawędził ze mną, ociekając strumieniami wody. Im silniej chlusnęło weń ulewą, tem więcej zdawał się być zadowolonym z siebie i z wszelkiej otaczającej go rzeczy. Zacierał mokre ręce z ukontentowaniem, którego ja, wytrzymawszy sam kilka dni i nocy podobnych, nie mogłem pojąć w tej zgoła nie-wodnej istocie.

— Panu, zdaje się, sprawia przyjemność być zmoczonym, panie pilocie — zauważyłem.

Posiadał kawałek ziemi koło domu za miastem i właśnie myślał o swoim ogrodzie. Na dźwięk tego wyrazu „ogród", nie słyszanego, nie wymówionego przez tyle dni, ujrzałem w widzeniu przepych kolorów, słodycz zapachów i postać skurczonego w fotelu dziewczęcia. Tak. Znacznie mię to wzruszyło, wtargnąwszy w mój spokój zapomnienia, które znalazłem w bezsennych troskach w ciągu tego niebezpiecznego tygodnia burzliwej pogody i ciążącej na mnie odpowiedzialności. Kolonja, objaśnił pilot, cierpiała na bezprzykładną suszę. To była pierwsza jaka

taka kropla wody, która spadła na nią po siedmiu miesiącach. Jarzyny zginęły. I, przypadkowo niby, lecz z widocznem zainteresowaniem, spytał mię, czy nie miałbym czasami jakiego zapasu ziemniaków.

Ziemniaków! Zdołałem już o nich zapomnieć. W jednej chwili uczułem, że pogrążam się w zepsuciu po szyję.

Burns za plecami pilota mrugał ku mnie znacząco.

Otrzymał wkońcu jednę tonnę i zapłacił za nią dziesięć funtów. Ocknęła się we mnie żyłka chciwości. Tej nocy, w porcie, zanim usnąłem, podpłynęła pod okręt bordyna komory celnej. Podczas gdy niżsi funkcjonarjusze opieczętowywali skład towarów, starszy urzędnik dyżurny wziął mię na stronę i rzekł poufnie:

— Słuchajno pan, kapitanie, czy nie masz pan czasem do sprzedania kartofli?

Jasna rzecz, że w tym kraju zapanował głód kartoflany. Odstąpiłem mu tonnę za dwanaście funtów i odszedł uradowany. Tej nocy śnił mi się stos złota w kształcie mogiły, w której pochowana była dziewczyna, i obudziłem się z żarłocznem łakomstwem na pieniądze. Gdym zaszedł do mego okrętowego maklera, człowiek ten, po załatwieniu ze mną spraw urzędowych, zsunął okulary na czoło.

— Pomyślałem sobie, kapitanie, że wracając z Perły Oceanu, musisz pan mieć do sprzedania ziemniaki.

Rzekłem niedbale: — A, tak, mam na zbycie tonnę. Pięćdziesiąt funtów.

— Ho, ho! — zawołał. Lecz po chwilowem przypatrzeniu się mojej twarzy skrzywił się zlekka i przyjął moje warunki. Zdawało się, że ci ludzie nie mogą istnieć bez ziemniaków. Ja mogłem. Nie chciałbym widzieć na oczy ani jednego kartofla dopóki żyję; lecz opanował mię demon

zysku. Nie wiem, jak się rozeszła wieść o kartoflach, ale gdym powrócił na okręt już późnawo, ujrzałem gromadkę ludzi o wyglądzie sklepikarskim, zawalającą średni pokład; Burns przechadzał się tam i sam, i poglądał na nich z miną wyniosłą i triumfującą. Przyszli kupować ziemniaki.

— Ta hałastra — szepnął mi na ucho — czeka tu, prażąc się w słońcu, już od kilku godzin. Wypili całą stągiew do dna. Nie powinien pan odrzucać tej okazji, panie. Pan ma za dobre serce.

Dla pertraktacyj wybrałem jednego człowieka o grubych łydkach i jednego o drgawce w oku, ponieważ można ich było odróżnić od reszty.

— Czy macie z sobą pieniądze? — spytałem, nim zabrałem ich do kajuty nadół.

— Tak, proszę pana — odrzekli jednogłośnie, klepiąc się po kieszeniach.

Ten gest ich stanowczego zdecydowania bardzo mi się podobał. Na długo przed upływem tego dnia wszystkie ziemniaki były sprzedane po cenie trzy razy większej niż ta, którą ja zapłaciłem. Burns, rozgorączkowany i radosny, winszował sobie umiejętnych zabiegów, tyczących się mojej spekulacji handlowej, ale nie omieszkał nadmienić uszczypliwie, że powinienem był zarobić na tem więcej.

Nie spało mi się zbyt dobrze tej nocy. Myślałem o Jacobusie dorywczo, w raptownych rzutach, pomiędzy jednem a drugiem zerwaniem się ze snów, mających związek z rozbitkami, porzuconymi na pustynnej wyspie, zarośniętej kwieciem. Bardzo mi było nieprzyjemnie. Rankiem, zmęczony i niewywczasowany, siadłem i napisałem długi list do moich armatorów, przedkładając im szczegółowo obmyślany projekt użytkowania okrętów na Wschodzie —

i po morzach Chińskich na okres najbliższych dwu lat. Praca ta zajęła mi dzień i gdym ją skończył, cokolwiek się uspokoiłem.

Odpowiedź nadeszła w zwykłym trybie. Mój pomysł ogromnie ich zastanowił; lecz zważywszy, że pomimo opłakanej trudności z workami (której, ufają, na przyszłość będę umiał zapobiec), podróż wykazała znaczny dochód, mniemają, iż byłoby lepiej zatrzymać okręt w cukrowej branży — przynajmniej obecnie.

Odwróciwszy następną stronicę, czytałem:

> *„Otrzymaliśmy pismo naszego dobrego przyjaciela, pana Jacobusa. Miło nam jest widzieć Pańskie ścisłe z nim porozumienie; albowiem, nie mówiąc o jego pomocy w tej nieszczęsnej sprawie worków, pisze nam, że o ileby pan, przy zastosowaniu możliwego pośpiechu, zdołał powrócić z okrętem w porze właściwej, to on mógłby nam zapewnić korzystną stopę frachtową. Nie wątpimy, że pan dołoży starań... etc... etc...“*

Upuściłem z rąk list i długo siedziałem bez ruchu. Potem napisałem odpowiedź (była krótka) i udałem się sam na wybrzeże, by ją wysłać. Lecz przeszedłem obok jednej skrzynki pocztowej, następnie obok drugiej i skończyło się na tem, żem szedł ulicą Collinsa, mając list jeszcze w kieszeni — wbrew swoim chęciom. Ulica Collinsa o godzinie czwartej popołudniu niekoniecznie bywa osamotnionem pustkowiem; ale nigdym nie czuł większego odosobnienia od reszty ludzkości, jak w tym dniu, idąc po pełnym ludzi bruku, walcząc rozpaczliwie ze swemi myślami i uznając się prawie za zwyciężonego.

Nastał moment, w którym straszliwa wytrwałość Jacobusa, człowieka o jednej namiętności i o jednej myśli,

wydała mi się nieomal heroiczną. Nie zdradził mnie. Znów porozumiewa się z tym nienawistnym bratem. A przeto wydał mi się nienawistny i sam. Czy zrobił to dla miłości własnej, czy dla miłości tego biednego dziewczęcia? To ostatnie przypuszczenie przypomniało mi ów pocałunek, który rozminął się z memi ustami, i zdjęła mię trwoga, lecz przekładałem sobie, że cokolwiek bądź ojciec zobaczył, odgadł lub ważył się domyślać, to o tym pocałunku nie mógł nic wiedzieć. O ile ona sama tego mu nie powiedziała. Byłoż mi teraz wracać i rozdmuchiwać tę fatalną iskierkę zimnym oddechem! Nie, nie, ten nieoczekiwany pocałunek trzeba okupić całą jego wartością.

Podszedłem do pierwszej skrzynki pocztowej, stanąłem i, sięgnąwszy do kieszeni na sercu, wyjąłem list — jak gdybym wyszarpnął z siebie samo serce — i wrzuciłem w otwór. Poczem udałem się wprost na pokład.

Ciekaw byłem, jakie też będą dziś sny moje; lecz zdarzyło się, że wcale nie spałem. Przy śniadaniu zawiadomiłem Burnsa, żem się zrzekł komendy.

Upuścił nóż i widelec, i spojrzał na mnie z oburzeniem.

— I pan to uczyniłeś, proszę pana! Myślałem, że pan kocha okręt.

— Tak jest, Burnsie, kocham. Ale ocean Indyjski i wszystko, cokolwiek się na nim znajduje, straciło dla mnie urok. Wracam do domu, jako zwykły pasażer, przez kanał Sueski.

— Wszystko, cokolwiek się na nim znajduje — powtórzył z gniewem. — Nigdym nie słyszał, żeby ktoś tak mówił. I jeżeli mam wyznać prawdę, to, proszę pana, przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, nigdy nie mogłem pana zrozumieć w zupełności. Czemże jest lepszy jeden ocean od drugiego? Urok, rzeczywiście!

Był do mnie może i naprawdę przywiązany. Ale rozweselił się nawet, skorom mu oznajmił, że poleciłem go na swego następcę.

— Bądź co bądź — zauważył, — niech mówią co chcą, ale ten — Jacobus przydał się panu. Muszę zaznaczyć, że ten kartoflany interes nadzwyczaj się opłaca. Oczywiście, gdyby tylko pan miał — —

— Tak, panie Burns — przerwałem. — Naprawdę — uśmiech szczęścia.

Ale nie mogłem mu powiedzieć, że ten uśmiech wypędza mię z okrętu, który ukochałem. I gdym tak siedział ze ściśniętem sercem wobec tego rozstania, widząc wszystkie moje plany zwichnięte, moją skromną przyszłość zagrożoną — ponieważ komendantura dla młodego człowieka to jakby noga w strzemieniu — zrezygnował po raz pierwszy ze swego krytycznego stanowiska najzupełniej.

— Co za nadzwyczajne szczęście — wyrzekł.

*UKRYTY SOJUSZNIK*

EPIZOD Z WYBRZEŻA

Po prawej stronie miałem łowiska [1]), przypominające tajemniczy system napoły zatopionych bambusowych płotów, które w niezrozumiałym celu dzieliły królestwo ryb podzwrotnikowych. Ogrodzenia wyglądały, jakby były porzucone przez jakieś wędrowne plemię rybackie, poławiające teraz ryby na drugim końcu oceanu; bowiem, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było śladu ludzkich osiedli. Z lewej strony ciągnęła się grupa obłych wysepek, rzekłbyś, ruiny skarpów, wieżyc, blokhauzów, wmurowane w niebieskie morze, ale morze nie z wody, lecz ze stałej jakiejś substancji, — tak nieruchomo i solidnie u nóg mych leżało. Nawet smuga świetlna, która biegła od kłoniącego się ku zachodowi słońca, świeciła niezamąconą gładzią, bez ożywczego iskrzenia, zdradzającego niedostrzegalne pomarszczenie powierzchni. A gdy odwróciłem głowę, by rzucić pożegnalne spojrzenie na holownik, który nas właśnie pozostawił za ławicą piasku, niezwykłe odniosłem wrażenie: gdzie niski brzeg równo się obcina, niemasz granicy między lądem i morzem — jest tylko ląd w połowie

---

[1]) P. Słownik Morsko-Rybołówczy, B. Ślaski.

brunatny, w połowie niebieski pod ogromną kopułą niebios. Jedyną niedokładność w dopasowaniu tych przestrzeni stanowiły dwie kępki drzew, tak małoznaczne, jak wysepki na morzu, i dziwnie z niemi stonowane. Wyznaczały one ze stron obu ujście rzeki Meinam, z którego przed chwilą wypłynęliśmy, puszczając się w powrotną podróż. I dalej, dalej, w głębi lądu gaj, otaczający wielką pagodę Peknam, był jedyną wyniosłością, na której spocząć mogło oko, znużone monotonją płaskiego krajobrazu. Tu i owdzie rozrzucone po nim srebrne lśnienia zdradzały zakręty wielkiej rzeki. Na najbliższem z nich widać było holownik. Szedł wprost na ląd i nagle znikł mi z przed oczu, jak gdyby bez wysiłku i drżenia macosza ziemia połknęła go z kadłubem, kominem i masztami. Przez pewien czas śledziłem obłoczek dymu, majaczący to tu, to tam nad równiną, stosownie do zakrętów rzeki, lecz coraz to lżejszy, dalszy — aż za wzgórzem pagody, wzgórzem w kształcie mitry, zniknął zupełnie. I sam zostałem z moim statkiem, zakotwiczonym u krańca zatoki Sjamskiej.

Stąd miał wyruszyć w daleką podróż. Płynął milkliwie wśród przeogromnej ciszy, a długie cienie jego omasztowania daleko ku wschodowi uciekały przed zachodzącem słońcem. W chwili owej sam byłem na pokładzie. We wnętrzu statku nic się nie odzywało — dokoła zaś wszystko zamarło w bezruchu: ani pirogi na wodzie, ani ptaka w powietrzu, ani chmurki na niebie. Przed wyruszeniem w długą podróż ja i mój okręt w zapierającem oddech sam na sam badaliśmy się nawzajem, czy podołamy trudom długiej i gorącej przeprawy, czy odpowiemy godnie celowi naszych egzystencyj, zadaniu, które mieliśmy spełnić zdala od oczu ludzkich, mając tylko morze i niebo za świadków i sędziów zarazem.

Ślepiący blask jakiś jarzył się, snać, w powietrzu i przeszkadzał patrzeć, gdyż dopiero przed samym zachodem słońca, ogarniając wzrokiem archipelag wysepek, odkryłem za najwyższym szczytem największej z nich coś, nie licującego z powagą morskiej samotni. Wartko spłynął z niebios przypływ ciemności, z iście podzwrotnikową szybkością rój gwiazd wyjrzał ku mrocznej ziemi, ja zaś wciąż jeszcze stałem z ręką na poręczy burty, niby na ramieniu wiernego przyjaciela. Lecz teraz wszystkie te ciała niebieskie zdawały się we mnie wpatrywać; to też nieporównane poczucie jedności ze statkiem minęło bezpowrotnie. Rozległy się również hałasy, zamącające spokój — głosy i kroki na przodzie; stiuard mignął wzdłuż średniego pokładu z gorliwością służebnego ducha; dzwonek ręczny zadźwięczał gwałtownie pod okapem tylnego pokładu.

Zastałem obudwu mych oficerów w oświetlonej kajucie. Czekali na mnie, stojąc przy zastawionym kolacją stole. Odrazu zasiedliśmy do stołu. Przepuszczając mego starszego oficera, powiedziałem:

— Czy pan wie, że poza wyspami statek stoi na kotwicy? Widziałem szczyty masztów nad wierzchołkiem skał w chwili, gdy zachodziło słońce.

Gwałtownie zwrócił ku mnie prostaczą twarz z okropnemi wąsiskami i wyrzucił z ust ulubione swe okrzyki:

— Co pan mówi, panie? Ba! A czemu nie?

Mój porucznik był to krągłolicy, milczący młody człowiek. Wydawał mi się nawet za poważny na swe lata. Gdy jednak oczy nasze się spotkały, zauważyłem lekkie drżenie w kącikach jego ust. Natychmiast odwróciłem wzrok. Nie miałem zamiaru na moim statku zachęcać kogokolwiek do szydzenia z innych. Muszę jednak wyznać,

że prawie nie znałem moich oficerów. Wskutek pewnych wydarzeń ściśle osobistej natury dopiero przed dwoma tygodniami zostałem wyznaczony na dowódcę tego statku. Niewiele więcej wiedziałem o marynarzach. Wszyscy ci ludzie od osiemnastu miesięcy przebywali razem, i ja jeden wśród nich byłem obcy. Wspominam o tej okoliczności, gdyż ma ona pewne znaczenie dla dalszego ciągu. Czułem się obcy na statku i, mówiąc szczerze, sam nie byłem siebie pewny. Najmłodszy ze wszystkich (prócz porucznika), nieprzyzwyczajony do ponoszenia bezwzględnej za wszystko odpowiedzialności, nie podawałem w wątpliwość zdolności moich podkomendnych. Rzeczą każdego z nich było sprostać swemu zadaniu; co do mnie, to zachodziłem w głowę, w jakiej mierze zdołam zbliżyć się do ideału mej osobowości, do indywidualności, którą człowiek stwarza sobie w skrytości serca.

Tymczasem pierwszy oficer, tocząc krągłemi oczyma i ruszając wąsiskami, z widocznym wysiłkiem budował hipotezę, dotyczącą zakotwiczonego statku. Cechowała tego osobnika namiętność do rozważania byle czego. Lubił wiecznie się zastanawiać. Używając jego własnych słów, „lubił zdawać sobie sprawę" ze wszystkiego, ale to literalnie ze wszystkiego; nie uszedł tego losu nawet nieszczęśliwy skorpjon, którego znalazł tydzień temu w swej kabinie. Skorpjon ów stał się pierwszem ogniwem łańcucha pytań. Skąd ten skorpjon, a jak dostał się na pokład, czemu wybrał sobie za schronienie jego kabinę, nie zaś śpiżarnię (która, jako ciemne miejsce, więcej powinna była skorpjonowi przypaść do smaku); w jaki żywy sposób mógł utopić się w kałamarzu, stojącym na stole do pisania w kabinie? — oto co przez czas dłuższy zaprzątało jego głowę. Daleko łatwiejsza sprawa ze statkiem poza wy-

spami. Wygłosił swoje credo, gdy mieliśmy wstawać od stołu. Nie wątpił, że statek ten niedawno przybył z wód ojczystych. Widocznie siedzi tak głęboko, że tylko na grzbiecie wielkiego przypływu[1]) mógłby prześliznąć się nad ławicą. Zamiast stać na redzie, zawinął do naturalnej przystani między wyspami, by poczekać w niej te dni parę.

— Nieinaczej — potwierdził raptem porucznik swym zlekka ochrypłym głosem. — Siedzi dwadzieścia stóp zgórą. Jest to liverpool'ski statek *Sephora* z ładunkiem węgla. Wyszedł z Cardiffu. Od stu dwudziestu trzech dni w podróży.

Spojrzeliśmy na niego ze zdziwieniem.

— Wiem to od kapitana holownika, który przyszedł na pokład po pańskie listy, panie Kapitanie — wyjaśnił młody człowiek. — Spodziewa się on pojutrze wholować go w górę rzeki.

Olśniwszy nas w ten sposób wyczerpującemi informacjami, wyśliznął się z kajuty. Starszy oficer wyraził żal, że „nie może zdać sobie sprawy" z fanaberyj tego młodzieńca. Zachodzi w głowę, co porucznika powstrzymało od zakomunikowania nam tego odrazu.

Zatrzymałem go, gdy się poruszył. Przez dwa ostatnie dni załoga miała dużo ciężkiej roboty, a poprzedniej nocy mało co spała. Czułem dobrze, że ja, obcy, czynię coś niezwykłego, zlecając, by wszyscy pozostali we wnętrzu bez wystawienia kotwicznej wachty[2]). Zaproponowa-

---

[1]) Przypływ w dwa lub trzy dni po nowiu lub pełni.

[2]) Dyżur żeglugowy podczas postoju, p. Współczesna Żegluga Morska M. Zaruski. Streszczony kurs morskiej praktyki. Tczew, 1922. Słownik Morsko-Rybołówczy, B. Ślaski.

łem, że sam czuwać będę na pokładzie mniej więcej do pierwszej; zluzować mnie miał porucznik.

— Zbudzi on koka i stiuarda o czwartej — zakończyłem — a potem pana. Oczywiście, w razie najlżejszego wiatru wezwiemy załogę i ruszymy niezwłocznie.

Udał, że go to nie dziwi. — Rozkaz, Kapitanie. — Wyszedł z kajuty, uchylił drzwi kabiny porucznika i z głową w szparze poinformował go o moim niesłychanym kaprysie: wziął na siebie wachtę kotwiczną przez pięć godzin. Ów zaś podniósł głos z zadowoleniem. — Co? Kapitan sam? — I znów szepty, drzwi się zamknęły: jedne, potem drugie. W kilka minut później wyszedłem na pokład.

Czułem się obcy i to mi sen spędziło z powiek, skłaniając do wydania tego niesłychanego zarządzenia. Jak gdybym, korzystając z nocnych ciemności i samotności, chciał porozumieć się ze statkiem, o którym nic nie wiedziałem i którego załogi nie znałem prawie. Gdy leżał przycumowany [1]) wzdłuż molo, jak tyle innych w porcie, na linach przygodnych, wiążących tylko materjalnie, nawiedzany przez obcych mi ludzi z brzegu, nie miałem czasu rozejrzeć się w nim dostatecznie. Teraz, na morzu, przy świetle gwiazd, jego średni pokład wydał mi się bardzo eleganckim. Bardzo elegancki, obszerny w stosunku do rozmiarów statku i o bardzo zachęcającym, gościnnym wyglądzie. Zeszedłem z rufy i, przechadzając się wzdłuż pokładu, uzmysławiałem sobie oczekującą nas wędrówkę przez Malajski Archipelag, żeglugę po Indyjskim Oceanie i wgórę po Atlantyku. Każde stadjum tej podróży miało cechy charakterystyczne, wyryło się dobrze w mej pamię-

---

[1]) P. Streszczony kurs Morskiej Praktyki. Tczew, 1922.

ci wraz ze wszelkiemi, mogącemi wyniknąć alternatywami — słowem, było mi znane do najdrobniejszych szczegółów, oprócz ciążącej na mnie po raz pierwszy odpowiedzialności naczelnego dowódcy. Lecz zdrowy rozsądek nakazywał przypuszczać, że statek jest jak inne statki, ludzie tacy sami, jak wszędzie, morze zaś nie gotuje, mnie specjalnie, jakiejś czarnej zdrady. I na tę myśl nabrałem odwagi.

Pocieszywszy się w ten sposób, przypomniałem sobie o cygarze i zeszedłem po nie do wnętrza. Wszyscy mieszkańcy tylnego kasztelu byli pogrążeni w śnie głębokim. Po chwili wyszedłem znów na pokład śródokręcia. Wśród nocy ciepłej, bez tchnienia wiatru, doskonale się czułem w pyjamie, boso, z ćmiącem cygarem w ustach. Przód statku powitał mnie ciszą zupełną. Tylko gdy mijałem drzwi kasztelu, doszło mnie głębokie westchnienie pokoju i ukojenia z głębi czyjejś uśpionej piersi. I nagle sercem mem owładnęła radość, że życie na morzu jest tak beznamiętne w porównaniu z pełnem trwóg życiem na lądzie, i uradowałem się z wyboru tego właśnie sposobu życia, dalekiego od pokus i zawiłych problematów, owianego poezją żywiołowej, instynktownej moralności, pełnego nieskomplikowanej, rzetelnej służby z szczerego powołania.

Światło kotwiczne [1]) w olinowaniu fok-masztu paliło się jasnym, niezmąconym, niemal symbolicznym płomieniem. Wśród tajemniczych cieni nocnych jasnością swą dodawało otuchy. Idąc ku tyłowi po przeciwnej stronie statku, zauważyłem, że drabinka sznurowa, spuszczona, gdy kapitan holowniczego statku zabierał nasze listy, nie została wciągnięta zpowrotem. A powinna była

---

[1]) Światło, zapalane na statku podczas postoju.

być wciągnięta. Zniecierpliwiłem się. Dokładność w każdym szczególe stanowi o utrzymaniu dyscypliny okrętowej. Potem uprzytomniłem sobie, że to moja wina, gdyż ja sam zwolniłem oficerów i uniemożliwiłem wystawienie kotwicznej wachty, która doprowadziłaby wszystko do porządku. Zadałem sobie, tedy, pytanie, czy zasadniczo, z najhumanitarniejszych, nawet, pobudek, należy wchodzić w kolizję z rutyną służbową. Musiałem się wydać ekscentrycznym; Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób okropnie wąsaty oficer „zdaje sobie sprawę" z mego postępowania. I co myśli cała załoga o tem nieprzepisowem zarządzeniu swego nowego kapitana. Byłem zły na siebie.

Nie ze skruchy, oczywiście, lecz automatycznie zabrałem się do wciągnięcia drabinki. To bagatelka. Powinna była poddać się z łatwością, tymczasem, gdy pociągnąłem, z równą siłą zostałem szarpnięty. Co u djabła!... tak dalece wprawiło mnie w zdumienie umocowanie drabinki, że przez chwilę za przykładem mego głupiego oficera próbowałem zdać sobie sprawę, jakim cudem się to dzieje. Ostatecznie wychyliłem się za poręcz burty.

Bok statku odrzucał owal nieprzezroczystego cienia na szklistą łyskliwość zmierzchłego morza. Nagle zobaczyłem, pomimo cienia, że coś podłużnego i bladego pływa w pobliżu drabinki. Nim pomyślałem cokolwiek, wywołany przez nagie ciało błysk fosforescencji zamigotał w śpiącej wodzie z wykrętną milkliwością letniej błyskawicy na nocnem niebie. Znieruchomiałem. Wyłoniły się stopy, długie nogi, zanurzone po szyję szerokie sine plecy, z których sączyła się świetl zielonkawa i trupia. Jedną ręką na poziomie wody człowiek trzymał się ostatniego szczebla drabiny. Cały człowiek, a jednak brak głowy. Trup bezgłowy! Cygaro wypadło mi z ust rozwartych. Plusk

i krótki syk, lecz wyraźny, ba, głośny wśród idealnej ciszy nocnej. Na ten sygnał snać spojrzał wgórę, gdyż w cieniu przyokrętowym zamajaczył mi blady owal twarzy. Ale i wtedy dojrzałem tylko zarys ciemnowłosej głowy. Niewypowiedziana groza owinęła mi pierś żelaznemi ramiony i zaparła dech. Tak minął pierwszy strach, kiedy z ust mimowoli wyrywają się okrzyki. Lecz wdrapałem się tylko na rezerwową sztabę i wychyliłem za poręcz jak najdalej, chcąc być bliżej pływającej u burty tajemnicy.

Gdy tak zwisał u drabiny na podobieństwo odpoczywającego pływaka, błyskawica podmorska przy każdym ruchu igrała dokoła jego ciała; w lśnieniu tem ukazywał się widmowo, srebrzyście, jak ryba. Milczał również jak ryba. Gestem czy ruchem nie zdradził chęci wyjścia z wody. Niezrozumiałem się zdało, że nie próbuje wleźć na pokład; myśl, przytem, podejrzenie, że może wyleźć nie chce, dziwnie niepokoiły. To też pierwsze słowa moje podyktowane były niepewnością tą i niepokojem.

— O co chodzi? — zwykłym tonem zapytałem człowieka, którego twarz zwrócona była ku górze, prostopadle pod moją.

— Kurcz — odpowiedział. A potem z niepokojem w głosie: — Hej, nie trzeba nikogo wołać.

— Nie miałem zamiaru — powiedziałem.

— Czy jesteś pan sam na pokładzie?

— Tak.

Odniosłem wrażenie, że gotów puścić drabinę i odpłynąć poza pole widzenia, w ciemność, zabierając z sobą swą tajemnicę. W chwili owej zdało się, że twór ten wypłynął z dna morskiego (był to bowiem ląd najbliższy), by zapytać, która godzina. Powiedziałem mu. A wówczas on zdołu, kusząco:

— Przypuszczam, że kapitan wasz jest we wnętrzu?

— Pewien jestem, że nie.

Snać walczył z sobą; usłyszałem coś w rodzaju cichego, pełnego goryczy mamrotu: — „Poco?" — I dobył z siebie z wahaniem:

— Ale, czy nie mógłbyś go pan wywołać bez hałasu.

Zdecydowałem się powiedzieć, kim jestem.

— Ja jestem kapitanem.

Doszło mnie z powierzchni ciche — oh! Fosforescencja zatańczyła w wirze dokoła jego ciała, gdy chwytał drugą ręką za szczebel drabiny.

— Nazywam się Leggatt.

Głos jego spokojny był i zdecydowany. Głos uczciwego człowieka. Jego panowanie nad sobą udzieliło mi się w pewnej mierze. Zauważyłem bardzo spokojnie:

— Musi pan być dobrym pływakiem.

— Tak. Jestem w wodzie od dziewiątej. Teraz stoję wobec alternatywy: albo puścić drabinę, płynąć, aż do wyczerpania, i utonąć, albo — wyleźć na pokład.

Wyczułem, że to nie desperacki sposób mówienia, lecz naprawdę alternatywa, z którą się liczy człowiek żelaznej woli. Powinienem był odrazu ze słów tych wywnioskować, że jest młody; doprawdy, tylko młodym ludziom nastręczają się tak zdecydowane rozwiązania. Wówczas, jednak, była to intuicja. Tajemnicza nić nawiązała się już między nami dwoma — w obliczu cichego, zmierzchłego morza podzwrotnikowego. Byłem również młody; dość młody, by przyjąć wszystko bez komentarzy. Raptem człowiek z morza począł drapać się po drabinie, ja zaś pospieszyłem po odzienie.

Przed wejściem do kabiny przystanąłem w przedkajuciu u stóp schodni, nadsłuchując. Skroś zamknięte drzwi

kabiny starszego oficera dochodziło zgłuszone chrapanie. Drzwi kabiny porucznika zamknięte były na haczyk; panowały w niej ciemności i cisza. On również był młody i spał jak kamień. Zostawał stiuard, lecz ten budził się zwykle dopiero na wołanie. Zabrałem z mej kajuty pyjamę, a gdy wróciłem na pokład, nagi człowiek siedział na pokrywie głównego luku, lśniąc w ciemnościach białawo, z łokciami na kolanach i głową ukrytą w dłoniach. W mgnieniu oka oblókł mokre swe ciało pyjamą w takie same szare paski, jak ta, którą miałem na sobie, i ruszył za mną na rufę, niby mój sobowtór. Szliśmy wprost ku tyłowi, ruszając się zgodnie, obaj bosi i milczący.

— Co to znaczy? — spytałem przyciszonym głosem, wyjmując lampę kompasową [1]) z szafki i świecąc mu prosto w twarz.

— Nieczysta sprawa.

Miał rysy regularne prawie, ładne usta, oczy jasne pod dość silnie zarysowanemi ciemnemi brwiami, gładkie kwadratowe czoło, policzki bez zarostu, mały wąsik szatyna i foremny, dobrze zaokrąglony podbródek. W świetle lampy wyraz jego twarzy wydał mi się skoncentrowanym, medytacyjnym, słowem, był to wyraz twarzy człowieka, rozważającego w samotności. Pyjama moja doskonale pasowała na niego. Był to dobrze zbudowany, najwyżej dwudziestopięcioletni młody człowiek. Pochwycił dolną wargę równemi białemi zębami górnej szczęki.

— To tak — powiedziałem, wstawiając zpowrotem lampę do kompasu. Ciepła, ważka noc podzwrotnikowa zamknęła się znów nad jego głową.

— Jest tam naprzeciw statek — wyszeptał.

---

[1]) Lampa, oświetlająca cyferblat kompasu.

— Tak. Wiem o tem. *Sephora.* Czy pan wiedział o nas?

— Nie miałem najmniejszego wyobrażenia. Jestem porucznikiem *Sephory.* — Przerwał i poprawił. — Właściwie, należało powiedzieć: b y ł e m.

— Aha! Coś się przeskrobało?

— Tak. I to nie byle co. Zabiłem człowieka.

— Co pan przez to rozumie? Teraz?

— Nie, w drodze. Kilka tygodni temu. Pod trzydziestym dziewiątym południowej szerokości. Nazywam go człowiekiem, choć — —

— W pasji? — poddawałem poufnie.

Majacząca w ciemnościach głowa, ciemnowłosa, jak moja, rzekłbyś, głowa ducha, niedostrzegalnie niemal skinęła na tle widmowej szarzyzny mej pyjamy. Miałem wrażenie, jak gdybym wśród nocnych ciemności widział własne odbicie w głębi ciemnego ogromnego zwierciadła.

— Ładna historja, niema co, dla wychowańca Conway — wyszeptał wyraźnie mój sobowtór.

— Jest pan uczniem Conway?

— Tak — odpowiedział zdziwiony. I dodał z wahaniem... — Może pan także.

Zgadł. Starszy o parę lat, wyszedłem ze szkoły przed jego wstąpieniem. Szybka wymiana dat — i cisza. Przyszedł mi raptem na myśl cymbał porucznik z okropnemi wąsiskami i całą umysłowością, streszczającą się w słowach: — „Co pan mówi, panie? Ba! A czemu nie?" — Sobowtór mój zdradził, o czem myśli:

— Ojciec mój jest proboszczem w Norfolk. Niech mnie pan sobie wyobrazi przed sądem, oskarżonego o to morderstwo. Co do mnie, to nie widzę potrzeby potemu. Są ludzie, którzyby anioła z niebios wyprowadzili — —

ja zaś nie jestem aniołem. Był jedną z istot, syczących i bryzgających złością, jakimś głupim rodzajem złości. Nędzne kreatury, które niewiadomo poco żyją. Nie chciał spełniać swych obowiązków i przeszkadzał innym w ich spełnianiu. Zresztą, co tu mówić, sam pan zna dobrze ten gatunek rozwydrzonych, złośliwych szczekaczy.

Odwołał się do mego doświadczenia, jak gdyby doświadczenia nasze były równie identyczne, jak ubiór. Dobrze wiedziałem, jaką zarazę wnosi taki charakter tam, gdzie niema sposobu zastosowania legalnych represyj. A i to wiedziałem dobrze, że mój sobowtór nie był krwiożerczą bestją. Nie pytałem go o szczegóły, lecz opowiedział mi całe zdarzenie w krótkich, urywanych zdaniach. Wszystko to przesunęło się przed memi oczyma, jak gdybym sam tkwił w tej drugiej pyjamie.

— Zdarzyło się to o zmroku, gdyśmy podnosili skrócony fok-żagiel. Skrócony fok! Rozumie pan, co to była za pogoda. Jedyny żagiel, który nadawał ruch statkowi, więc może pan sobie wyobrazić, jaką mieliśmy przeprawę. Trwało to już dni całe. Niebezpieczna, targająca nerwy robota. Ów zaś bryznął mi w twarz swą przeklętą bezczelnością przy robocie u płachty. Mówię panu, że byłem stargany tą przerażającą burzą, której, zdawało się, nie było końca. Przerażająca, mówię panu — a statek siedział głęboko. Sądzę, że ten szczeniak sam musiał być nieprzytomny ze strachu. Nie był to czas na admonicje, więc wykręciłem się na pięcie i powaliłem go uderzeniem pięści. On porwał się — i na mnie. Zwarliśmy się w chwili, gdy ogromna fala szła na statek. Cała załoga skoczyła w olinowanie, lecz ja ściskałem go za gardło, trząsłem nim jak wiechciem. Nad nami wrzaski: — „Baczność! baczność!" — Potem trzask ogłuszający, jak gdyby niebo całe

zwaliło się na głowę. Mówią, że więcej niż przez dziesięć minut nic prawie nie było widać ze statku — tylko maszty, wierzch przedniego kasztelu [1]) i juty [2]). Cud to był, że nas znaleźli za knechtami [3]) w śmiertelnym uścisku. Jasne, że to moja robota, bo trzymałem go wciąż jeszcze za gardło, gdy nas podnoszono. Siny był na twarzy. Obu nas, mnie i trupa, porwali razem. Pędem, jak zgraja furjatów, krzycząc:—„Mord! Mord!',—zanieśli nas na rufę, wpadli do kajuty. A statek walczył z burzą i znikał pod falami, jak gdyby nie miał się z nich wynurzyć, miotany po morzu, na którego widok można osiwieć. Rozumiem, dlaczego kapitan wpadł w szał, jak zresztą wszyscy. Od tygodnia oka nie zmrużył, i nagle taka niespodzianka w kulminacyjnym punkcie burzy. Dziwię się, że wyrwawszy z mych rąk trupa swego kochanego porucznika, nie wrzucili mnie do morza. Powiedziano mi potem, że rozdzielić nas nie było łatwo. Słowem, historja okrutna, od której włosy jeżyłyby się z grozy sędziemu i przysięgłym. Gdy przyszedłem do przytomności, leżałem w mej koi. Przez wściekłe wycie burzy bez końca przebijał się głos starego. Stał nachylony nad wezgłowiem mej koi. Oczy mu błyszczały z pod kaptura gumowej opończy. Wlepił je we mnie.

— Mr. Leggatt, zabił pan człowieka. Nie może pan odtąd pełnić funkcji pierwszego oficera na tym statku.

Od ciągłego tłumienia głos przybysza nużył swą monotonją. Jedną ręką opierał się na luku świetlnym [4]) i przez

---

[1]) Przedni kasztel, inaczej kasztel.

[2]) Juta, tylna nadbudówka na rufie.

[3]) Inaczej pachołki, pale do cumowania lin.

[4]) Niska oszklona nadbudówka na rufie.

cały ten czas, o ile mogłem dostrzec, nie drgnął nawet. — Miła historyjka dla zabawienia towarzystwa — zakończył tym samym tonem.

Ja również jedną ręką wspierałem się na rogu luku świetlnego i ani drgnąłem, o ile sobie przypominam. Staliśmy od siebie mniej niż o stopę. Przyszło mi na myśl — gdyby tak stary, „Co pan mówi, panie? Ba! A czemu nie?"—, wytknął głowę z drzwi nadbudówki i zobaczył nas, pomyślałby niechybnie, że w oczach mu się dwoi, albo że jest świadkiem jakiegoś czarodziejstwa: dziwny kapitan ucina sobie rozmówkę ze swym własnym szarym duchem. Głowę zaprzątnęła mi myśl, że nie mogę do czegoś podobnego dopuścić. Słyszałem kojący szept przybysza.

— Mój ojciec jest proboszczem w Norfolk — mówił, zapominając snać, że już zdążył zawiadomić mnie o tym doniosłym fakcie. — Doprawdy, wielce miła historyjka.

— Niech pan prześliznie się teraz nadół do mego pomieszczenia — powiedziałem, skradając się. Za mną mój sobowtór, naśladując moje ruchy; nasze bose stopy posuwały się bezszelestnie; wpuściłem go do wnętrza i, zamknąwszy drzwi starannie, zawołałem porucznika. Potem wróciłem na pokład, czekając, aż przyjdzie mnie zastąpić.

— Jak dotąd ani śladu wiatru — zauważyłem, gdy się zbliżył.

— Tak, panie. Ani śladu — przyznał sennie swym ochrypłym głosem z taką dozą uprzejmości, jakiej wymagała dyscyplina, nic nadto, i ledwie tłumiąc ziewnięcie.

— Dobrze, tylko na wiatr winien pan zważać. Otrzymał pan rozkaz?

— Rozkaz, panie Kapitanie.

Raz jeden, lub dwa obszedłem rufę. Nim zeszedłem

nadół, porucznik, zwrócony twarzą ku przodowi, oparł się łokciem na drablinach bezan-masztu i tak pozostał. Słabo dochodził spokojny chrap pomocnika. Kajutowa lampa paliła się nad stołem, na którym stał wazon z kwiatami, uprzejmie ofiarowanemi przez okrętowego dostawcę prowjantu. Świeże kwiaty mógłbym mieć najwcześniej za trzy miesiące. Dwie wiązki bananów zwieszały się symetrycznie z pokładnicy [1]) po obydwu stronach oszalowania steru. Wszystko na statku pozostało bez zmiany — z tą tylko różnicą, że obydwie pyjamy kapitana jednocześnie były w użyciu, jedna z nich trwała nieruchomo w kajucie, druga zaś zachowywała się bardzo cicho w kapitańskim saloniku.

Tu trzeba wyjaśnić, że kabina moja miała kształt wielkiego L z drzwiami w kącie, otwierającemi się do krótszego ramienia litery. Sofa po lewej, a koja po prawej stronie; moje biurko i stół z chronometrami znajdowały się naprzeciw drzwi. Lecz otwierając je tylko i nie wchodząc do wnętrza kabiny, nie widziało się długiego (albo prostopadłego) ramienia litery. Stały tam skrzynie, a nad niemi mieściła się bibljoteka; ciepła kurta, jedna, może dwie, czapki, gumowa opończa i tym podobne części garderoby wisiały na hakach. U końca tego ramienia były drzwi, wiodące do mojej łazienki, do której można było również wejść wprost z kajuty. Lecz tamtędy się nie chodziło.

Tajemniczy gość skorzystał z tego rozkładu. Wszedłszy do kabiny, oświetlonej przez dużą lampę na pałąkach, przytwierdzoną do grodzi nad mojem biurkiem, daremnie się za nim oglądałem, póki sam flegmatycznie nie wystą-

---

[1]) Inaczej bims, p. Technik Polski. Cz. II. 1905.

pił z poza ubrań, wiszących w niewidocznej części pomieszczenia.

— Usłyszałem, że ktoś rusza się w pobliżu, więc wszedłem tam odrazu — zaszeptał.

Ja również mówiłem głosem przyciszonym.

— Nikt tu nie wchodzi bez pukania i proszenia o pozwolenie.

Skinął głową. Rysy miał zaostrzone; pozostały na nich tylko ślady opalenizny. Rzekłbyś, człowiek chory. I nie dziw. Miał za sobą, mówił, siedem tygodni aresztu w kabinie. Lecz nic chorobliwego nie było w jego oczach i w wyrazie twarzy. Ani trochę nie był do mnie podobny; pomimo to, gdy tak staliśmy nachyleni nad koją, z głowami zbliżonemi i szepcząc do siebie, zuchwalec jakiś, któryby ukradkiem drzwi uchylił i zerknął do wnętrza, zdumiałby się na niesamowity widok: rozdwojony kapitan porozumiewa się szeptem ze swem drugiem ja.

— Ale to wszystko jeszcze nie wyjaśnia, w jaki sposób znalazł się pan przy drabince sznurowej u burty? — badałem niedosłyszalnym prawie szeptem, bo mówiliśmy tylko szeptem. Zadałem mu to pytanie, opowiadał mi, bowiem, drobiazgowo, co działo się na *Sephora* po przejściu burzy.

— Nim dożeglowaliśmy do Java Head, miałem czas przemyśleć wszystko dokumentnie. Przez sześć tygodni nic innego nie robiłem, gdyż tylko w ciągu godziny mniej więcej, wieczorami pozwalano mi spacerować po rufie górnego pokładu.

Szeptał z rękoma złożonemi na ramie mojej koi, a oczyma wlepionemi w otwarty iluminator [1]) po lewej stro-

[1]) Okienko kajuty lub kabiny.

nie. Ja zaś uzmysławiałem sobie doskonale, jaki musiał być ów proces myślenia, myślenia nieugiętego, może nawet niewzruszonego. Myśleć tak jabym nie potrafił.

— Obliczyłem, że ciemność zapadnie, nim zbliżymy się do lądu — ciągnął tak cicho, że musiałem wytężać słuch, choć staliśmy tuż przy sobie, prawie ramię przy ramieniu. Więc zażądałem rozmowy ze starym. Zawsze bywał bardzo zmieszany, gdy przychodził mnie odwiedzać — jak gdyby wstydził się spojrzeć mi w oczy. Ten fok-żagiel, pan wie, ocalił statek, który siedział zbyt głęboko, by trzymać się długo bez ożaglowania. I to ja za niego kazałem podnieść ten żagiel. Tak czy owak, dość, że przyszedł. Gdy więc był już w mojej kabinie — stał u drzwi, patrząc na mnie, jakbym miał już stryczek na szyi — poprosiłem go prosto z mostu, by zostawił otwarte drzwi mej kabiny w noc, gdy będziemy przechodzić przez Sunda Straits. Wybrzeże Jawy leżałoby wówczas o dwie, trzy mile od Angier Point. Nie trzeba było mi nic więcej. Na drugim roku Conway dostałem pływacką nagrodę.

— Wierzę — tchnąłem.

— Bogu tylko wiadomo, jak oni mnie co noc zamykali. Mieli takie miny, jak gdyby się bali, że mogę po nocy się włóczyć i dusić ludzi. Czyż jestem krwiożerczą bestją? Czy wyglądam na to? Przebóg! gdybym był taki, czyż ważyłby się wchodzić do mej kabiny. Powie pan, że mógłbym wtedy, korzystając ze sposobności, zwalić go z nóg i wyskoczyć z kabiny — było już ciemno. Otóż nie. I z tego samego powodu nie chciałem rozbijać drzwi. Usłyszawszy bowiem hałas, rzuciliby się, aby mnie zatrzymać, ja zaś nie chciałem się wdawać w bójkę. W tumulcie jeszcze kto mógłby zostać zabity—gdyż nie wyrywałbym się poto, by zostać zpowrotem wtrąconym do kabiny, ja zaś

z zabijaniem nie chciałem mieć więcej do czynienia. Odmówił, jeszcze bardziej zmieszany, niż zwykle. Bał się marynarzy, a także swego starego porucznika, z którym od lat żeglował razem — siwowłosy stary mazgaj; i stiuarda; był z nim, djabli wiedzą, jak długo — siedemnaście lat, czy więcej — naszpikowany zasadami faryzeusz, nienawidzący mnie z całej duszy właśnie dlatego, że byłem pierwszym oficerem. Nie było jeszcze na *Sephora* pierwszego oficera, pan wie, któryby odbył więcej niż jedną podróż. Te dwa stare grzyby prowadziły statek. Licho wie, czego jeszcze kapitan się bał (nerwy musiał mieć stargane piekielną burzą, przez którą przeszliśmy) — odpowiedzialności — żony swej, kto wie. Ah, tak, była na statku. Choć nie przypuszczam, by się w to wdawała. Sądzę, że chciała się mnie pozbyć z okrętu jak najprędzej, w jakikolwiek sposób. „Piętno Kaina", uważa pan. Otóż, sprawa moja była słuszna. Zdecydowany byłem na tułaczkę — zapłata dość wielka za życie Abla tak podrzędnego gatunku. Lecz on nie chciał mnie słuchać. — „Sprawa musi pójść swoim trybem. Jestem tu przedstawicielem prawa". — Trząsł się jak liść osiny. — „Więc pan się nie zgadza?"— „Nie."—„Dobranoc. Mam nadzieję, że panu powzięta przed chwilą decyzja nie odbierze snu"—zakończyłem i odwróciłem się do niego tyłem. — „To ja się dziwię, że p a n spać może" — wrzeszczy i zamyka drzwi.

— Rzeczywiście, od tego czasu sypiałem źle. Było to przed trzema tygodniami. Żeglowaliśmy powoli przez morze Jawajskie; znosiło nas wokół Carimata przez dziesięć dni. Gdy stanęliśmy tu na kotwicy, zdawało im się, przypuszczam, że wszystko w porządku. Najbliższy ląd (o pięć mil) był miejscem przeznaczenia statku, i konsul niezwłocznie kazałby mnie schwytać; nie byłoby sensu

uciekać na te tam wysepki. Niema na nich, pewnie, ani kropli słodkiej wody. Nie wiem, jak się to zdarzyło, dość, że tej nocy stiuard, przyniósłszy kolację, zostawił mnie samego i drzwi za sobą nie zamknął. Zjadłem tę kolację — wszystko, co mi dali. Potem wyszedłem na tylny pokład. Nie przypuszczam, bym miał ucieczkę na myśli. Sądzę, że poprostu chciałem odetchnąć świeżem powietrzem. Raptem owładnęła mną pokusa. Zanim uświadomiłem sobie dokładnie, co robię, zrzuciłem ze stóp pantofle i znalazłem się w wodzie. Ktoś usłyszał plusk i wszczął się straszny rwetes. — „Zabił się! Spuszczaj łodzie! Popełnił samobójstwo! Nie, on płynie!" — Płynąłem, oczywiście. Nie tak to łatwo pływakowi mojej miary utopić się, skacząc do wody. Wylądowałem na najbliższej wysepce, nim łódź odbiła od statku. Słyszałem, jak wiosłowali w ciemnościach, nawołując i robiąc temu podobne facecje, wkrótce jednak zaprzestali. Wszystko się uspokoiło na miejscu postoju, i zaległa znów martwa cisza. Siadłem na kamieniu, by się zastanowić. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że o świcie wznowią poszukiwania. Nie było gdzie ukryć się wśród tych kamiennych złomów, a gdyby nawet było, to cóżby mi z tego przyszło? Uciekłem szczęśliwie, i nie śniło mi się wracać. Więc po chwili zastanowienia zdjąłem ubranie, a zrobiwszy z niego węzełek i włożywszy kamień do środka, utopiłem je w głębi, po odmorskiej stronie wysepki. Uważałem pozorne samobójstwo za dość wielką ofiarę. Niech myślą, co im się żywnie podoba; topić się ani myślę. Postanowiłem płynąć, aż do utonięcia — ale to całkiem co innego. Przepłynąłem na drugą wysepkę i z niej właśnie zobaczyłem wasze światło kotwiczne. A więc jakiś cel, do którego można płynąć; z łatwością mi to przychodziło, i po drodze trafiłem na płaską skałę, wznoszącą się ze stopę lub dwie nad

powierzchnię. Sądzę, że w dzień mógłby pan przez lornetę dojrzeć ją z rufy. Wdrapałem się na nią i wypocząłem chwilę. Potem znów zsunąłem się do wody. Ostatni ten dystans wynosił chyba więcej niż milę.

Szept jego stawał się cichszy i cichszy; przez cały czas oczy miał utkwione w lukę lewego iluminatora, w której nic widać nie było, nawet gwiazdy. W opowiadaniu jego, w osobowości było coś zamykającego usta, uniemożliwiającego komentowanie, coś w rodzaju stanu uczuciowego albo właściwości, dla której nie umiem znaleźć nazwy. I gdy zamilkł, zdobyłem się tylko na zdawkowy szept:

— Więc pan popłynął ku naszemu światłu?

— Tak — wprost ku niemu. Był to jakiś cel. Nie mogłem wziąć zań gwiazdy, nisko na horyzoncie, gdyż wybrzeże mi zasłaniało tę część nieba, i nie mogłem również widzieć lądu. Woda była jak szkło. Jak gdybym płynął w dziwnej, z tysiąc stóp głębokiej cysternie, z której wydrapać się gdziekolwiek nie było sposobu; najbardziej bałem się płynąć wkółko, jak baran, który dostał kręćka, płynąć aż do zupełnego wyczerpania; ba, nie miałem też ochoty wracać... O, nie! Niech pan sobie wyobrazi tylko, jak mnie nagiego, świecącego golizną, ściągają z jednej z tych wysepek, ściągają za kark, a ja rzucam się i walczę, jak dzikie zwierzę. Ktoś przy tej sposobności napewno padłby z mych rąk, a tego nie życzyłbym sobie wcale. Więc, płynąłem. Potem wasza drabinka — —

— Dlaczego pan nie obwołał statku? — zapytałem cokolwiek głośniej.

Dotknął zlekka mego ramienia. Niedbałe kroki odezwały się tuż nad naszemi głowami; zatrzymały się. Porucznik przeszedł z przeciwnej strony rufy i, o ile mogliśmy wywnioskować, wychylił się za poręcz burty.

— Nie mógł słyszeć, jak mówiliśmy — jak pan sądzi? — trwożnie tchnął mi do ucha mój sobowtór.

Obawa jego była dostateczną odpowiedzią na moje pytanie. Odpowiedź ta dawała do zrozumienia, jak dalece położenie było trudne. Z całym spokojem zamknąłem dla pewności lewy iluminator. Głośniejsze słowo mogłoby dojść do niepowołanych uszu.

— Kto to? — zaszeptał wtedy.

— Mój porucznik. Lecz wiem o nim niewiele więcej od pana.

I opowiedziałem mu o sobie. Zostałem wyznaczony na to stanowisko w chwili, gdy najmniej spodziewałem się czegoś podobnego, niecałe dwa tygodnie temu. Nie znałem ani statku, ani załogi. W porcie nie miałem czasu rozejrzeć się i poznać kogokolwiek. Oni zaś wiedzieli o mnie tylko tyle, że zostałem powołany do kierowania statkiem w powrotnej podróży. Pozatem byłem dla nich równie obcy, jak i on, — powiedziałem. I w chwili owej czułem się tem dotknięty do żywego. Czułem, że wystarczyłoby lada głupstwo, by uczynić mnie w oczach załogi osobistością podejrzaną.

Przez ten czas odwrócił się, i oto my obaj, dwaj obcy na statku, stanęliśmy naprzeciw siebie symetrycznie.

— Wasza drabina — — zaszemrał po krótkiem milczeniu. — Komużby przyszło na myśl, że znajdzie drabinkę wywieszoną ze statku, stojącego tu na kotwicy! Wtedy właśnie uczułem bardzo przykre omdlenie. Po dziewięciu tygodniach podobnego życia każdy wyszedłby z wprawy. Nie byłbym w stanie opłynąć statku aż do łańcuchów kotwicznych. I oto, jak na zawołanie, wisi drabinka, za którą można się złapać! Uchwyciwszy się jej, zadałem sobie w duchu pytanie: I co mi z tego? A gdy nad poręczą bur-

ty zobaczyłem głowę człowieka, który mi się przypatrywał, miałem ochotę odpłynąć natychmiast; niechby sobie krzyczał do mnie — w jakimkolwiek języku. Nie chciałem, by mi się przypatrywano. Nie — nie podobało mi się. Lecz gdy pan przemówił do mnie tak spokojnie — jak gdyby pan się mnie spodziewał — zostałem jeszcze na chwilę. Była to chwila zapomnienia — tak zapomnienia, oczywiście, nie kiedy płynąłem, lecz u drabiny. Cieszyłem się, że mogę pomówić z kimś, kto nie należał do załogi *Sephora*. Zapytałem o kapitana, — odruchowo. Nicby mi z tego nie mogło przyjść, cały statek wiedziałby o mnie, a ci tam, miałem pewność, rano opłynęliby wyspy i stawili się po mnie. Nie wiem, jak się to stało — chciałem się pokazać, pomówić z kimś przed wyruszeniem dalej. Nie wiem, co byłbym powiedział... — „Piękna pogoda, nieprawdaż?" — czy coś w tym rodzaju.

— Czy pan sądzi, że oni wkrótce tu nadpłyną? — zapytałem z pewnem powątpiewaniem.

— Bardzo możliwe — odpowiedział mdłym głosem.

Nagle opuściły go siły. Nie mógł pionowo utrzymać głowy; zwisła mu na ramiona.

— Hm. Wtedy zobaczymy. Tymczasem kładź się pan do łóżka — zaszeptałem. — Nie może pan bez pomocy? Już.

Była to dość wysoka koja z systemem szuflad pod posłaniem. Ten nieporównany pływak rzeczywiście potrzebował mej pomocy. Podchwyciłem go za nogę. Wtoczył się do koi, wykręcił z rozpędu tyłem i ramię podłożył pod oczy. I leżąc tak, z twarzą zakrytą prawie, wyglądać musiał, jak ja zwykle wyglądałem w koi. Przez chwilę przyglądałem się memu sobowtórowi. Potem starannie zasunąłem sztory, zasłaniając koję. Były to sztory z zielo-

nej sarży z kółkami u góry, suwającemi się po miedzianym pręcie. Przyszło mi na myśl, by spiąć je dla pewności, lecz nie chciało mi się wstawać z sofy i szukać szpilki. Zrobię to za chwilę, zdecydowałem. Czułem się szalenie zmęczony w szczególny sposób, zmęczony naprężeniem skradania się, wysiłkiem szeptania i wogóle samą tajemniczością tego podniecenia. Była wtedy trzecia w nocy, a ja czuwałem od dziewiątej; spać mi się pomimo to nie chciało, nie mógłbym się położyć. Więc siedziałem tak, wymęczony, z wzrokiem utkwionym w sztory, usiłując się wyzbyć uczucia, że jestem naraz w dwu miejscach; dręczyło mnie nadto rozpaczliwe stukanie w głowie. Z ulgą odkryłem nagle, że to nie w mej głowie stuka, a po zewnętrznej stronie drzwi. Nim obudziłem się na dobre, wypadło mi z ust—„proszę wejść"—i stiuard wkroczył, niosąc na tacy kawę, pierwsze moje śniadanie. Zapewne musiałem zasnąć i tak się przestraszyłem, że wrzasnąłem: — „Tu! Jestem tu, stiuardzie!" — jak gdyby był nie wiem jak daleko. Postawił tacę na stole, bliżej sofy, i dopiero wtedy powiedział spokojnie:

— Widzę, że pan jest tu, panie Kapitanie.

Uczułem, że obrzuca mnie badawczem spojrzeniem, lecz nie miałem odwagi w owej chwili spotkać się z jego wzrokiem. Musiał być zdziwiony, poco, kładąc się spać na sofie, zasunąłem sztory u mej koi. Wyszedł, zostawiając, jak zwykle, drzwi otwarte z haka. Słyszałem, że szorują mi nad głową pokład. Wiedziałem, że zarazby mnie zawiadomili, gdyby wiatr skąd zawiał. Cisza, pomyślałem. Byłem jeszcze bardziej zgnębiony, niż dotąd. Rzeczywiście, czułem się mocniej jeszcze rozdwojony. Nagle stiuard znów stanął u drzwi. Zeskoczyłem z sofy gwałtownie, aż się cofnął.

— Czego tu chcecie?

— Zamknąć iluminator z lewej strony, panie Kapitanie— zmywają pokłady.

— Jest zamknięty — odpowiedziałem, sztywniejąc.

— Dobrze, Panie. — Lecz nie ruszał się od drzwi kajutowej schodni i powrócił po niej za chwilę w dziwnie dwuznaczny sposób. Potem, nie patrząc mi w oczy, ze zmienionym wyrazem twarzy, głosem niezwykle grzecznym, prawie z lizaniem się:

— Czy mogę wejść i zabrać próżną filiżankę?

— Naturalnie — odwróciłem się do niego tyłem. Wpadł do kabiny i wyskoczył z niej, jak oparzony. Wówczas założyłem hak, zamknąłem drzwi i nawet zasunąłem rygiel. Tak nie mogło trwać długo. W kabinie było przytem gorąco, jak w piecu. Rzuciłem okiem na mego sobowtóra i skonstatowałem, że ciągle leżał w tej samej pozycji, z ramieniem na oczach; pierś mu się podnosiła; włosy miał mokre; podbródek lśnił od potu. Sięgnąłem nad nim i otworzyłem lewy iluminator.

— Muszę się pokazać na pokładzie — rozmyślałem.

Naturalnie, teoretycznie rzecz biorąc, mogłem robić, co mi się podobało, i nikt w całem kole widnokręgu nie miał prawa temu się sprzeciwiać; a jednak nie starczyło mi odwagi, by zamknąć drzwi kabiny i klucz zabrać. Wychodząc z drzwi kajutowych, zobaczyłem grupę, składającą się z dwóch mych oficerów — porucznik był bosy, a starszy oficer w długich butach gumowych — i stiuarda. Stali przy schodni rufy, stiuard zaś na połowie jej wysokości; mówił coś z ożywieniem. Zauważywszy mnie wypadkiem, zbiegł nadół. Porucznik zbiegł na średni pokład, gdzie zaczął wydawać jakieś rozkazy, a starszy oficer ruszył na moje spotkanie, dotykając ręką czapki.

Literalnie kłuł mnie spojrzeniami, pełnemi ciekawości. Nie wiem, czy stiuard powiedział mu tylko, że jestem „tknięty", czy też zupełnie pijany, dość że ten bubek postanowił, snać, mieć na mnie oko. Patrzyłem, jak się zbliżał, witając uśmiechem, który, gdy podszedł zupełnie blisko, zmroził go aż po sumiaste wąsy. Nie dałem mu ust otworzyć.

— Toplinami [1]) i brasami [2]) skantuj [3]) pan reje. Potem dopiero możesz pan zwolnić załogę na śniadanie.

Był to pierwszy fachowy rozkaz, jaki wydałem na tym statku; pozostałem na pokładzie, by przyjrzeć się jego wykonaniu. Czułem potrzebę bezzwłocznego utwierdzenia się w dowództwie. Podczas manewru ten błaznujący smarkacz musiał parę razy spuścić z tonu; notabene, skorzystałem ze sposobności, by spojrzeć w oczy każdemu z szeregowych marynarzy, gdy defilowali przede mną, zmierzając do tylnych brasów. Przy śniadaniu, sam nic nie jedząc, prezydowałem z lodowatą godnością. To też zemknęli jak niepyszni od stołu, gdy tylko względy grzeczności na to pozwoliły. A przez cały czas, dzięki dwoistości mego myślenia, byłem niesłychanie roztargniony, jak człowiek nie przy zdrowych zmysłach. Oczyma duszy widziałem, ba, obserwowałem mego sobowtóra, śpiącego poza drzwiami, naprzeciw których siedziałem u stołu, na honorowem miejscu. Miałem uczucie, że w równym stopniu zależy on od mej woli, jak moja własna osoba. Stan taki przypominał obłęd, ba, gorszy był od obłędu, gdyż zdawałem sobie zeń sprawę.

---

1) Liny, podtrzymujące reje.

2) Liny do obracania rej.

3) Mowa o postawieniu rej w płaszczyźnie stępki.

Musiałem trząść go dobrą minutę, zanim otworzył oczy, zato odrazu był zupełnie przytomny i patrzył się na mnie pytająco.

— Jak dotąd, wszystko dobrze — szepnąłem. — Teraz musi pan zniknąć w łazience.

Uczynił to bezszelestnie, jak duch. Zadzwoniłem na stiuarda i, zuchwale patrząc mu w oczy, kazałem sprzątnąć w saloniku przez czas, kiedy będę się kąpać. I „zwijaj się żwawo" — dodałem. Było to powiedziane tonem, wyłączającym wszelkie wymówki, to też odpowiedział krótko — „rozkaz, Panie" i pobiegł po śmietniczkę i szczotki. Wykąpałem się i ubrałem prawie całkowicie, pluskając i gwiżdżąc zcicha, by zająć uwagę stiuarda, podczas gdy tajemny współtowarzysz mego życia stał przy niezaryglowanych drzwiach w ciasnocie łazienki. Wyglądał źle przy dziennem świetle. Policzki miał zapadłe, a powieki spuszczone pod surową ciemną linją brwi, ściągniętych lekką zmarszczką.

Zostawiłem go tam, a sam przeszedłem do kabiny. Stiuard kończył odkurzanie. Posłałem po pierwszego oficera i wdałem się z nim w rozmowę o bagatelach. Podobny dyskurs nie licował bynajmniej z jego sumiastemi, przerażającemi wprost wąsami, lecz dopiąłem swego — dałem mu sposobność dokładnego przyjrzenia się mej kabinie. A potem mogłem nareszcie zamknąć drzwi kabiny, ukrywszy sobowtóra we wgłębionem ramieniu tego apartamentu. Musiał siedzieć cicho na małem składanem krzesełku, przyduszony wiszącemi tam ciężkiemi okryciami. Zamieniliśmy się w słuch. Stiuard przechodzi z kajuty do łazienki, napełnia wodą karafki, szoruje wannę, porządkuje — wszystko na swoje miejsce — trzepanie, stuk, chrobot — zpowrotem do kajuty — przekręca klucz w zam-

ku — trach. Taki miałem plan ukrywania mego sobowtóra. Nic lepszego niepodobna było wymyśleć w danych okolicznościach. I tak siedzieliśmy więc: ja przy biurku, z papierami pod ręką, by je zacząć wertować w razie alarmu, on zaś poza mną, niewidoczny od drzwi. Byłoby nieostrożnością półgłosem, choćby, rozmawiać podczas dnia, a nie zniósłbym niesamowitego uczucia, że szepczę do siebie samego. Od czasu do czasu, rzucając okiem poza siebie, widziałem go tam w głębi, siedzącego sztywno na krzesełku ze złączonemi nogami, założonemi ramionami i głową, spuszczoną na piersi — nieruchomo, jak posąg. Każdy wziąłby go za mnie.

Sam byłem tem urzeczony. Co chwila oglądałem się poza siebie. Patrzyłem właśnie na niego, gdy z poza drzwi ktoś się ozwał:

— Przepraszam, panie Kapitanie.

— Co takiego?...

Siedziałem z utkwionym weń wzrokiem, gdy ktoś z poza drzwi oznajmiał: — „Łódź okrętowa zbliża się ku nam, Panie". — Wówczas drgnął po raz pierwszy od paru godzin, lecz nie uniósł spuszczonej głowy.

Zawahałem się. Czy miałem mu coś szepnąć. Ale co? Znów trwał bez ruchu, jak gdyby przywidziało mi się tylko, że drgnął przed chwilą. Nic nie miałem mu do powiedzenia, nic, czegoby sam nie wiedział... Ostatecznie, wyszedłem na pokład.

## II

Kapitan *Sephora* miał twarz okoloną miękkim, rudym zarostem i cerę właściwą rudowłosym; a także oczy niebieskie, o specjalnym, rozmazanym odcieniu. Nie nazwał-

bym go postawnym mężczyzną; ramiona miał podniesione, lecz wzrost mierny — jedną nogę cokolwiek bardziej zgiętą od drugiej. Podał rękę, błądząc dokoła oczyma. Odgadłem, że bezduszna, nierozsądna uporczywość jest jego cechą charakterystyczną. Przyjmowałem go z wyszukaną grzecznością, co zdawało się psuć mu szyki. Być może, że był nieśmiały. Zamamrotał do mnie, jak gdyby wstydząc się swoich słów, i wymienił swe nazwisko (coś w rodzaju Archbold — choć po tylu latach zaręczyć nie mogę), nazwę swego statku i jeszcze parę szczegółów, niby przestępca, niechętnie i posępnie wyznający swą zbrodnię. Przeszedł przez straszną burzę w drodze — straszną — straszną — a do tego żonę miał na statku.

Tymczasem zeszliśmy nadół i zasiedliśmy w kabinie, a stiuard wniósł na tacy butelkę i kieliszki.

— Dziękuję. Nie piję.

Do ust nie bierze trunków. Prosiłby o wodę. Wypił dwie szklanki. Okrutnie męcząca robota. Od świtu przetrząsa wysepki dokoła swego statku.

— Poco? — dla rozrywki? — spytałem z miną człowieka, interesującego się przez grzeczność.

— Nie — westchnął. — Przykry obowiązek.

Bełkotał w dalszym ciągu pod nosem. Chcąc, by mój sobowtór słyszał każde słowo, wpadłem na pomysł poinformowania go, że, niestety, niedosłyszę.

— Pan niedosłyszy? Taki młody człowiek, również — kiwnął głową, wlepiwszy we mnie swe na niebiesko rozmazane, nieinteligentne oczy. — Z jakiej przyczyny — może z powodu choroby? — badał bez cienia sympatji, rzekłbyś, myśląc — widać: zasłużyłeś sobie na to.

— Tak, z powodu choroby — przyznałem z wesołością, która zdała mu się nie na miejscu. Lecz dopiąłem

swego, gdyż musiał opowiadać podniesionym głosem. Nie warto podawać tej jego wersji. Upłynęło właśnie dwa miesiące od wydarzenia i tak dużo o niem myślał, że wszystkie szczegóły poplątały mu się w głowie.

— Coby pan powiedział, gdyby coś podobnego zdarzyło się na pańskim statku? Dowodzę moją *Sephorą* od piętnastu lat. Jestem ogólnie znanym kapitanem.

Robił wrażenie ogromnie strapionego — i, kto wie, czy nie wzbudziłby we mnie współczucia, gdybym mógł zdobyć się na oderwanie myśli od nieznanego nikomu współlokatora mojej kabiny, który mnie absorbował, jak gdyby był drugiem mojem ja. Siedzieliśmy w kajucie, on zaś znajdował się po drugiej stronie grodzi, o cztery, pięć stóp od nas. Patrzyłem uprzejmie na kapitana Archbolda (jeżeli tak brzmi jego nazwisko), a widziałem osobnika w szarej pyjamie, siedzącego na niskiem krzesełku. Siedzi nieruchomo, z wyciągniętemi nogami, złożonemi rękoma, głową spuszczoną na pierś. Ani jedno nasze słowo nie uchodzi jego uszu.

— Służę na morzu od stopnia chłopca okrętowego, od trzydziestu siedmiu lat, a nigdy nie słyszałem o czemś podobnem na angielskim statku. I musiało właśnie mnie się to zdarzyć, i do tego, kiedy wziąłem z sobą żonę.

Słuchałem go jednem uchem.

— Czy panu nie przychodziło na myśl — powiedziałem, — że ogromna fala, która, jak mi pan mówił, wpadła wtedy na pokład, mogła zabić tego nieszczęśliwca? Byłem świadkiem, jak bałwan ciężarem swym zabił człowieka, poprostu skręcił mu kark.

— Wielki Boże! — zawołał z przejęciem, utkwiwszy we mnie spojrzenie swych niebieskich rozmazanych oczu.— Fala! Człowiek zabity przez falę tak nie wygląda.—Zda-

wał się być naprawdę oburzony mojem przypuszczeniem. Siedziałem spokojnie, nieprzygotowany na wybryki z jego strony, raptem zbliżył głowę do mojej i pokazał mi język, aż się odruchowo cofnąłem.

Zadrwiwszy sobie z mej zimnej krwi w tak namacalny sposób, skinął poważnie głową. Gdybym był tego świadkiem, upewniał mnie, stałoby mi w oczach do końca życia. Wobec strasznej pogody nie mogli nawet pochować go ściśle wedle zwyczaju morskiego. Więc następnego dnia o świcie wynieśli na rufę nieboszczyka, zakrywając mu twarz skrawkiem flagi, odczytał nad nim krótką modlitwę, a potem ciało w gumowej opończy i długich butach spuścili pomiędzy spiętrzone góry wodne, gotowe każdej chwili pochłonąć cały statek wraz ze znękaną, nieprzytomną ze strachu załogą.

— Ten skrócony fok [1]) ocalił was — wtrąciłem.

— Na Boga — nieinaczej — zawołał gorąco. — Nie wątpię, że tylko dzięki szczególnej łasce Boskiej przetrwał on te huraganowe szkwały.

— Podniesienie tego żagla — — zacząłem.

— Opatrzność Boska — przerwał mi. — Inaczej sobie tego wytłumaczyć nie umiem. Ledwie się zdobyłem na wydanie tego rozkazu. Zdawało się niepodobieństwem tknąć cokolwiek u tego żagla i nie stracić go, a był on ostatnią naszą nadzieją.

Był wciąż jeszcze pod grozą huraganu. Pozwoliłem mu wygadać się, a potem, okolicznościowo, jak gdyby przechodząc do tematu mniejszej wagi:

— Bardzo panu, widzę, zależało na odstawieniu pańskiego porucznika na brzeg?

---

[1]) Fok - żagiel, dolny żagiel przedniego masztu.

Potwierdził. Na oddaniu władzom. W niezrozumiałej uporczywości jego było coś przejmującego grozą, mistycznego niemal, gdyż powodowała nim nietylko obawa ściągnięcia na siebie podejrzenia, że „toleruje rzeczy karygodne". Jego cnotliwa przeszłość, trzydzieści siedem lat spędzonych na morzu, dwadzieścia lat dowództwa bez zarzutu, z których piętnaście lat kapitaństwa na *Sephora*, z całą bezwzględnością nakładały nań ten ciężki obowiązek.

— I wie pan — ciągnął z zawstydzoną miną, usiłując sprecyzować uczucia swoje. — Ja nie angażowałem tego młodzieńca. Rodzina jego była w jakichś interesach z mymi armatorami. Byłem do pewnego stopnia zmuszony go przyjąć. Miał wygląd bardzo rześki, dżentelmeński i wszystko, co pan chce. Jednakże nigdy go nie lubiłem. Jestem człowiekiem prostym. Widzi pan, nie był on z typu ludzi odpowiednich na pierwszego oficera takiego statku, jak *Sephora*.

Do tego stopnia zjednoczyłem się myślą i uczuciem z ukrytym współlokatorem mej kabiny, iż odniosłem wrażenie, jakoby mnie, osobiście, dano do zrozumienia, że ja również nie jestem z typu ludzi odpowiednich na pierwszego oficera takiego statku, jak *Sephora*. Nie miałem pod tym względem wątpliwości.

— Wcale nie ten rodzaj człowieka. Pan rozumie? — podkreślił całkiem zbytecznie, mierząc mnie twardem spojrzeniem.

Uśmiechnąłem się uprzejmie. Chwilę zdawał się roztargniony.

— Chyba, że będę zmuszony stwierdzić samobójstwo.

— Przepraszam?

— Samo — bójstwo! Oto co napiszę moim armatorom zaraz po powrocie.

— Jeżeli go pan nie odnajdzie dziś jeszcze — przyznałem beznamiętnie... — Naturalnie, żywym.

Bąknął coś pod nosem, czego naprawdę nie dosłyszałem, nadstawiając ucha ze zmieszaną miną. Poprostu wrzasnął:

— Ląd — mówię, ląd stały jest co najmniej o siedem mil od mego miejsca postoju.

— Coś koło tego.

Nie zdradzałem ani zaciekawienia, ani zdziwienia, ani nawet zainteresowania, to też mój spokój niewzruszony zbudził w nim nieufność. Prócz szczęśliwego pomysłu symulowania głuchoty, nic nie myślałem udawać. Czułem się najzupełniej niezdolny do odegrania, jak należy, roli człowieka, który nic nie wie, i dlatego nie odważyłem się na granie podobnej roli. Nie ulegało również wątpliwości, że przybył tu już z pewnemi powziętemi zgóry podejrzeniami, i moja uprzejmość wydawała mu się dziwną i nienaturalną. A jednak, jakże mogłem go w inny sposób przyjąć? Serdecznie? Nie! Psychologicznie było to niemożliwe; nie potrzebuję tu nad tem się rozwodzić. Miałem wyłącznie na celu nie dopuścić do zadawania mi pytań. Szorstkiem zachowaniem? Nie, grubjaństwo sprowokowałoby właśnie pytanie prosto z mostu. Skrupulatna grzeczność była najlepszym sposobem trzymania tego osobnika w ryzach. Grzeczność zobowiązuje, a zresztą, podobne traktowanie było dlań nowością. Groziło, co prawda, niebezpieczeństwo, że przerwie się naoślep przez zaporę mej grzeczności. Wówczas, sądzę, nie potrafiłbym odparować ciosu zwykłem kłamstwem z przyczyn natury psychologicznej (nie zaś moralnej). Żebyż on wiedział,

jak drżałem, by nie poddał ogniowej próbie uczucia tożsamości mojej z tamtym! Lecz, rzecz dziwna (wpadłem na tę myśl dopiero potem) — sądzę, iż w niemałe zakłopotanie wprawiała go niemiła osobliwość tej niesamowitej sytuacji, coś we mnie, przypominającego mu poszukiwanego przezeń człowieka — jakieś niewytłumaczone, tajemnicze podobieństwo moje do tego, któremu nie ufał i którego nie lubił od pierwszej chwili.

Bądź co bądź, chwila milczenia nie przeciągnęła się zbytnio. Znowu zadał wykrętne pytanie:

— Do pańskiego statku mieliśmy ze dwie mile wiosłowania, nie więcej.

— O, dość i tego na tym strasznym upale — odpowiedziałem.

I znów brzemienna nieufnością cisza. Mówią, iż potrzeba jest matką wynalazku, ale i strach także sprzyja pomysłowości. A ja byłem w strachu, iż spyta mnie bez ogródek o mego sobowtóra.

— Miła kajutka, nieprawdaż? — napomknąłem, jak gdybym teraz dopiero zauważył, iż oczy mu biegają od jednych drzwi zamkniętych do drugich. — I urządzona z komfortem. Tu, naprzykład — ciągnąłem, sięgnąwszy nonszalancko ręką poza oparcie mego krzesła i rozwierając drzwi naoścież — mam łazienkę.

Drgnął ochoczo, lecz opanowawszy się natychmiast, ledwie rzucił okiem do wnętrza. Wstałem, zamknąłem drzwi od łazienki i poprosiłem go, by zechciał obejrzeć moje apartamenta, jak gdybym był z nich bardzo dumny. Nie mógł nic innego uczynić, musiał wstać i iść za mną. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość, iż zachowywał się przytem spokojnie.

— A teraz przejdziemy do saloniku — oświadczy-

łem, jak można było najgłośniej bez wzbudzenia podejrzeń, i szczególnie ciężkim krokiem przeszedłem przez kabinę na prawą stronę statku.

Wszedł za mną i rozejrzał się. Mój pojętny sobowtór zniknął. Grałem dalej mą rolę.

— Bardzo dogodny — nieprawdaż?

— Bardzo przyzwoity. Z wielkim komf... — urwał, wychodząc nagle, jak gdyby uciekał przed memi matactwami. Ale na to pozwolić nie mogłem. Zyskałem w ten sposób nad nim przewagę i chciałem ją wykorzystać do końca. Snać w mojej ugrzecznionej natarczywości dźwięczały akcenty groźby, gdyż raptem przestał się sprzeciwiać. Ani razu nie pozwoliłem zawrócić; musiał zobaczyć wszystko: pomieszczenia oficerów, kambuz, magazyny, nawet komorę na żagle, mieszczącą się również od rufy. Gdy nareszcie wyprowadziłem go na tylny pokład, westchnął głęboko i znękanym głosem wybąkał, że musi zaraz wracać na swój statek. Zwróciłem się do mego starszego oficera, który do nas się przyłączył, by zajął się jego łodzią.

Człowiek z wąsami zadął w świstawkę, którą zwykł nosić na sznurze i wrzasnął: „Szalupa z *Sephora!*" Sądzę, iż odetchnąłem w owej chwili z niemniejszą ulgą od mego sobowtóra, ukrytego na dole. Czterech ludzi wypadło skądś od przodu i zniknęło za burtą, podczas gdy moi ludzie również wychynęli z wnętrza i uformowali się szeregiem wzdłuż poręczy. Odprowadziłem mego gościa ceremonjalnie do drabiny i o mały włos nie popsułem tem wszystkiego. Uparta z niego była bestja. Już u samej drabiny zatrzymuje się i z tą niezwykłą wstydliwą sumiennością usiłuje wyrazić swą myśl natrętną:

— Pan... pan... nie przypuszcza, by — —

Zagłuszyłem jego słowa.

— Naturalnie, że nie... Jestem zachwycony. Do widzenia.

Domyśliłem się, co chce powiedzieć, i ledwie zdołałem temu zapobiec, korzystając z prerogatyw człowieka przygłuchego. Nie obstawał przy swojem, będąc nadto roztropnym, lecz po zaintrygowanej minie mego starszego oficera, stojącego tuż przy nas, poznałem, że mu to zabiło ćwieka w głowę. Nie chciałem, by myślano, że unikam moich oficerów, więc miał sposobność zwrócenia się do mnie.

— Wygląda na przyzwoitego człowieka. Załoga jego szalupy opowiedziała naszym ludziom niesłychaną historję, jeżeli to, co mi stiuard mówił, nie mija się z prawdą. Kapitan musiał ją panu opowiedzieć.

— Tak. Opowiedział mi rzeczywiście.

— Straszna, okropna sprawa — czyż nie tak, panie Kapitanie?

— Niezaprzeczenie.

— Może zakasować wszystkie historje, krążące o morderstwach na statkach amerykańskich.

— Nie sądzę, by je mogła zakasować. Nie sądzę, by w czemkolwiek była do nich podobna.

— Co pan mówi, panie? Ba! A czemu nie? W gruncie rzeczy nie znam amerykańskich statków, skoro więc pan je zna, nie mogę przeczyć. Dla mnie i ta historja jest dość okropna... Lecz najparadniejsze: ludzie ci podejrzewali, że on ukrywa się na naszym statku. Na serjo, podejrzewali. Czy pan słyszał kiedy o czemś podobnem?

— Dziki pomysł — nieprawdaż?

Spacerowaliśmy to w tę, to w tamtą stronę wpoprzek tylnego pokładu. Na przodzie przez cały czas nie ukazał

się ani jeden marynarz (była to niedziela), i oficer ciągnął dalej:

— Powstał spór o to. Nasi ludzie obrazili się. „Czy my wyglądamy na takich, którzy daliby przytułek podobnemu paskudztwu". „Moglibyście zajrzeć do waszego luku węglowego". Gotowa kłótnia. Lecz wreszcie dali pokój. Sądzę, że musiał się utopić. A pan, panie Kapitanie?

— Ja nic nie sądzę.

— Pan nie ma w tej sprawie żadnych wątpliwości?

— Nie, żadnych.

Odszedłem nagle, wiedząc, że zrobi to złe wrażenie, lecz wytrwać na pokładzie, zostawiając sobowtóra na dole, było nad moje siły. Jednak równą niemal trudność sprawiało mi przebywanie z sobowtórem na dole. W obu wypadkach — sytuacja, szarpiąca nerwy. Tyle tylko, że mniej czułem się rozdwojony, będąc z nim razem. Nikogo na statku nie mogłem przypuścić do tajemnicy. Teraz, gdy marynarze wiedzieli o wszystkiem, niepodobna było podać go za kogoś innego, i przypadkowego odkrycia należało się obawiać więcej, niźli dotąd...

Gdy po raz pierwszy zeszedłem nadół, stiuard był zajęty nakrywaniem do obiadu, więc mogliśmy porozumiewać się tylko oczyma. Później, popołudniu, próbowałem szeptać w najoględniejszy możliwie sposób. Niedzielna cisza na statku była przeciw nam; spokój wód i powietrza dokoła statku były przeciw nam; żywioły i ludzie byli przeciw nam — wszystko sprzysięgło się przeciw naszemu tajemnemu sojuszowi, ba, nawet czas — gdyż nie mogło to trwać wiecznie. Zdawało się, iż i Opatrzność Boska nie będzie nad nim czuwała, gdyż był winnym. Czy mam wyznać, iż okoliczność ta bardzo mnie przygnębiała? Pozy-

cja szczęśliwych przypadków, ważących tyle w rejestrze powodzenia, napewno była przekreślona. Pocieszałem się nadzieją, że nic nieprzewidzianego nie zajdzie. Bo jakiego szczęśliwego przypadku można się było spodziewać?

— Czy pan słyszał wszystko? — brzmiały pierwsze moje słowa, gdy tylko zajęliśmy dawne nasze miejsce, stając przy sobie nachyleni nad koją.

Słyszał. Dowiódł tego poważnym szeptem: — Człowiek ów twierdził, że ledwie odważył się wydać rozkaz.

Zrozumiałem, że mowa o opatrznościowym fok-żaglu.

— Tak. Bał się go stracić przy podnoszeniu.

— Upewniam pana, że wcale nie wydał tego rozkazu. Może mu się zdaje, że wydał, lecz rzecz się miała inaczej. Gdy nam z wielkiego masztu zdjęło topsel, stał on ze mną na schodni juty i skomlił coś o naszej ostatniej nadziei, poprostu skomlił w całem tego słowa znaczeniu — a noc zapadła! Takie zachowanie się kapitana podczas burzy doprowadziłoby do warjacji każdego człowieka na mojem miejscu. Opanowała mnie desperacja. Wszystko wziąłem we własne ręce, odchodząc od niego z kipiącą w sercu złością, i — — Lecz naco zdało się panu to mówić? Pan wie... Pojmuje pan, że musiałem ludzi wziąć w obroty, by ich zmusić do zrobienia czegokolwiek. Może to robota bosmana? Ba! Może! Podczas takiej burzy — co, burzy? — To nie burza była, lecz furja rozpętanego żywiołu. Tak wyobrażam sobie koniec świata. Człowiek zdobywa się na stawianie czoła kataklizmowi raz, nie więcej, nie ciągle — a my musieliśmy się z nim porać dzień po dniu. Nie winię nikogo. Bodaj, że lepszy nie byłem od innych. Tylko — byłem oficerem na tym starym węglowniku, bądź co bądź — —

— W zupełności pana rozumiem — zwierzyłem mu się szczerze szeptem wprost do ucha. Tchu mu zabrakło od szeptania. Słyszałem, jak zlekka dyszał zziajany. Całe zdarzenie tłumaczyło się poprostu. Do ostateczności napiętą siła, ta sama, która dała dwudziestu pięciu ludziom szansę na ocalenie, w szczególny sposób odprężając się, zdruzgotała nędzną buntowniczą egzystencję.

Lecz nie miałem czasu na rozważanie dobrych stron sprawy — rozległy się kroki w kajucie i głośny stuk. — Mamy wiatr dość silny, by pod nim żeglować, Panie. — Był to całkiem nowy ton, nadający kierunek mym myślom, a nawet uczuciom.

— Wywołaj pan załogę na pokład — krzyknąłem przez drzwi. — Będę tam zaraz.

Oto miałem wyjść z wnętrza i zapoznać się z mym okrętem. Nim opuściłem kabinę, oczy nasze się spotkały— oczy dwóch obcych na statku. Wskazałem ku wgłębionemu ramieniu kabiny, gdzie oczekiwało go składane krzesełko, i położyłem palec na ustach. Przyjął to gestem trochę nieokreślonym, trochę tajemniczym, i uśmiechem, rzekłbyś, uśmiechem żalu.

Nie miejsce tu na rozwodzenie się nad wrażeniami człowieka, który po raz pierwszy czuje, jak statek porusza się pod nim, stosownie do jego niezależnych rozkazów. Tylko moje rozkazy nie były niezależne. Nie dowodziłem statkiem niepodzielnie; w kabinie siedział, przecie, ten obcy. Powiedzmy raczej, że nie należałem do statku całkowicie i niepodzielnie. W pewnej mierze byłem nieobecny. Idea przebywania naraz w dwu miejscach dotknęła mnie wprost organicznie, jak gdybym przesiąkł tajemniczością do rdzenia duszy. Nim godzina upłynęła od wyruszenia, omal że nie pochwyciłem stojącego obok mnie

porucznika za ucho, by doń wyszeptać rozkaz określenia kompasowego kierunku [1]) pagody. Odruch ten nie uszedł uwagi porucznika. Żachnął się. Poprostu struchlał, inaczej tego nazwać niepodobna. Odbiła mu się na twarzy poważna troska, jak gdyby był w posiadaniu jakiejś niepokojącej tajemnicy, troska, która go od tej chwili już nie opuszczała. Wkrótce potem, chcąc spojrzeć na kompas, odszedłem od poręczy tak skradającym się krokiem, że marynarz u steru to zauważył — widziałem, jak zrobił wielkie oczy. Bagatelki, bezwątpienia, lecz dowódca traci na powadze, gdy mu przypisują śmieszne dziwactwa. W rzeczywistości uległem głębszemu rozstrojowi. Marynarz zwykł rzucać pewne słowa, czynić gesty tak instynktownie i naturalnie, jak, naprzykład, mruży się zagrożone oko. Pewne rozkazy powinny same z ust się wyrywać; pewne znaki i słowa są odruchowe. Tymczasem cała podświadoma sprawność mnie opuściła. Musiałem czynić wysiłki nad sobą, by powrócić (z kabiny) do okoliczności danej chwili. Czułem, że moim podkomendnym, którzy mnie obserwowali mniej lub więcej krytycznie, musiałem wydawać się niezdecydowanym dowódcą.

A przytem zdarzały się alarmy. Naprzykład, na drugi dzień popołudniu, wracając z pokładu (na bosych stopach miałem słomkowe pantofle), zatrzymałem się u otwartego kambuza i odezwałem do stiuarda. Robił tam coś zwrócony do mnie tyłem. Na dźwięk mego głosu omal, jak mówią, nie wyskoczył ze skóry, rozbijając przy tej sposobności filiżankę.

Był niezmiernie zmieszany. — Przepraszam, panie Ka-

---

[1]) Właściwie, spelengowania.

pitanie. Byłem pewny, że pan Kapitan jest w swej kabinie.

— Widzicie, że tak nie jest.

— Widzę, panie. A przysiągłbym, że słyszałem, jak pan poruszał się w kabinie przed chwilą. To nadzwyczajne... bardzo mi przykro, panie Kapitanie.

Mijając kambuz, uczułem, że skóra na mnie cierpnie. Tak dalece byłem zespolony z mym ukrytym sobowtórem, że nawet o tem nie wspomniałem w naszych urywkowych rozmowach, szeptanych pod grozą odkrycia. Sądzę, iż musiał zdradzić się jakimś nieznacznym hałasem. Cud byłby, gdyby mu się to nie zdarzało od czasu do czasu. Choć wynędzniały, miał wygląd człowieka panującego nad sobą wspaniale, nieludzko spokojnego — niedosiężnego niemal. Idąc za moją radą, przebywał wyłącznie prawie w łazience, która była jeszcze najbezpieczniejszą kryjówką w całem pomieszczeniu. Nikt tam nie chodził. Nawet stiuard po sprzątnięciu nie miał pretekstu do wejścia do łazienki. Była to maleńka dziura. Czasami osuwał się na podłogę i leżał ze zgiętemi nogami, podłożywszy sobie ramię pod głowę. Kiedy indziej znów zastawałem go na krzesełku polowem; w szarej pyjamie, ciemnogłowy, choć ostrzyżony przy skórze, robił wrażenie nieruchomego, cierpliwego więźnia. W nocy przepuszczałem go ukradkiem do mojej koi, i wówczas porozumiewaliśmy się szeptem wśród ciszy, zamąconej jedynie regularnemi krokami dyżurującego nad naszemi głowami oficera. Kroki zbliżały się, oddalały, wracały. Były to godziny okropne. Całe szczęście, że puszki lepszych konserw zostały złożone w szafie, stojącej w mym saloniku; czerstwy chleb mogłem zawsze zachować; żywił się, tedy, potrawką z kurcząt, pâté de foie gras, szparagami, gotowanemi ostrygami, sar-

dynkami, słowem, wszelkiego rodzaju fabrykowanemi delikatesami z puszek. Ranną kawę zawsze wypijał za mnie— to wszystko, co dla niego pod względem aprowizacyjnym ważyłem się robić.

Codzień rano powtarzał się ten sam szarpiący nerwy manewr z przechodzeniem z kabiny do łazienki, aby sprzątanie obu pomieszczeń odbyło się w zwykły sposób. Doszło do tego, że wstrętem przejmował mnie widok stiuarda, głos tego poczciwca stał mi się nienawistny. Czułem, że on to mógł najprędzej przyczynić się do odkrycia. Klęska ta wisiała jak miecz nad naszemi głowami.

Czwartego dnia, jeśli się nie mylę (posuwaliśmy się wówczas wzdłuż wschodniego brzegu zatoki Sjamskiej, żeglując to lewym, to prawym ciągiem pod lekkiemi wiatrami i po gładzi), — czwartego dnia tego nieszczęsnego żonglowania nieuniknionem, gdy siedzieliśmy przy wieczornym posiłku, człowiek ów, którego każde poruszenie budziło we mnie obawy, obniósłszy potrawy, wybiegł zaaferowany na pokład. Nic w tem nie było niepokojącego. W okamgnieniu powrócił nadół; i wtedy wyjaśniło się, że przypomniał sobie o moim płaszczu, który rozwiesiłem na poręczy dla wysuszenia po ulewie popołudniowej. Siedząc bez słowa na honorowem miejscu u stołu, zatrwożyłem się, widząc mój płaszcz w jego ręku. Rzeczywiście, skierował się ku mym drzwiom. Nie było ani chwili do stracenia.

— Stiuard — ryknąłem. Nerwy miałem tak rozstrojone, że nie byłem w stanie opanować swego głosu i ukryć zmieszania. Podobne wybryki dawały powód memu okropnie wąsatemu oficerowi do stukania palcem w czoło. Zauważyłem, jak zrobił ten gest, rozmawiając poufale z cieślą okrętowym. Byłem za daleko, by słyszeć, co mówili,

lecz nie wątpiłem, że mimika ta mogła dotyczyć tylko nowego dziwnego kapitana.

— Słucham, Panie — odpowiedział mi z rezygnacją pobladły stiuard. Stosowałem względem niego iście warjacki system. Wzywałem go gromowym głosem, beształem bez najmniejszego powodu, wyganiałem despotycznie z kabiny i raptownie przywoływałem zpowrotem, wysyłałem na łeb — na szyję z niezrozumiałemi zleceniami. Nie dziw, że posępniał coraz bardziej.

— Gdzie idziecie z tym płaszczem?

— Do pańskiej kabiny, panie Kapitanie.

— Czy nadchodzi nowa ulewa?

— Naprawdę, nie wiem, panie. Czy mam iść zobaczyć, panie Kapitanie?

— Nie! Nie trzeba.

Dopiąłem swego, gdyż, oczywiście, mój sobowtór tam wewnątrz musiał słyszeć wszystko. Podczas całego tego incydentu obadwaj oficerowie ani na chwilę nie oderwali oczu od swych talerzy; widziałem, jak ten smarkacz porucznik był zażenowany, jak warga mu się trzęsła niedwuznacznie.

Spodziewałem się , że stiuard powiesi płaszcz na haku i zaraz wyjdzie. Jakoś z tem marudził, lecz opanowałem moje nerwy o tyle, że go nie odwołałem. Nagle zdaję sobie sprawę (wyraźnie było słychać), że niewiadomo poco otwiera drzwi od łazienki. Więc — koniec. Łazienka jest tak mała, że literalnie niema gdzie się w niej obrócić. Głos mi uwiązł w gardle, zmartwiałem. Byłem przygotowany na okrzyk zdumienia i przerażenia zarazem; ruszyłem się, lecz nie miałem siły dźwignąć na nogi. Nic nie zamąciło spokoju. Czyżby mój sobowtór ścisnął biedaka za gardło? Nie wiem, cobym zrobił, gdyby w chwilę potem

stiuard nie wyszedł z mojej kabiny. Ale wyszedł, zamknął drzwi i stanął spokojnie przy kredensie.

— Ocalony — pomyślałem. — Gdzieżby! Zgubiony! Przepadł! Przepadł!

Odłożyłem nóż i widelec. Odchyliłem się na poręcz krzesła. W głowie mi się kręciło. Gdy po chwili przyszedłem do siebie o tyle, by mówić bez drżenia w głosie, kazałem pierwszemu oficerowi wykonać zwrot punktualnie o ósmej.

— Nie wyjdę na pokład — ciągnąłem. — Myślę pozostać na dole i nie życzę sobie, by mnie przed północą niepokojono, chyba, jeżeliby wiatr się zmienił. Niezbyt dobrze się czuję.

— Jeszcze przed chwilą wyglądał pan nieszczególnie — zauważył porucznik, nie zdradzając wielkiego zainteresowania.

Obaj oficerowie wyszli, a ja pozostałem z wzrokiem utkwionym w stiuarda, który uprzątał stół. Nic nie wyczytałem z twarzy tego biedaka. Lecz czemu to on wzrok spuszcza i nie chce spojrzeć mi w oczy — zadawałem sobie pytanie. Więc przyszło mi na myśl, że dobrzeby było usłyszeć dźwięk jego głosu.

— Stiuard!

— Słucham, Panie — ze strachem, jak zwykle.

— Gdzie powiesiliście ten płaszcz?

— W łazience, Panie. — Zwykły ton zaniepokojenia. — Niezupełnie przesechł jeszcze, panie Kapitanie.

Przez pewien czas siedziałem w kajucie. Czyżby mój sobowtór przepadł tak, jak przyszedł? Lecz przyjście jego odbyło się w sposób naturalny, gdy tymczasem zniknięcie byłoby niewytłumaczone... Wszedłem powoli do mej ciemnej kabiny, zamknąłem drzwi, zapaliłem lampę

i przez dłuższą chwilę nie miałem odwagi się odwrócić. Gdy wreszcie odważyłem się, stał wyprostowany w wąskiem wgłębionem ramieniu kabiny. Nie powiem, że mnie dreszcz przeszedł, lecz przemknęła mi przez głowę przemożna wątpliwość co do jego cielesności. Wyglądało to, jak gdyby duch mnie nawiedzał. Nieruchomy, z powagą na twarzy, wyciągnął ku mnie ręce lekkim gestem, mówiącym wyraźnie: „Wielkie nieba! niewiele brakowało!" I mnie niewiele brakowało do obłąkania. Gdyby nie ten gest, przemówiłbym do niego, jak do ducha.

Mój sumiastowąsy oficer zmienił właśnie jeden ciąg na drugi [1]). Wśród zupełnej ciszy, która nastąpiła po zajęciu przez załogę swych stanowisk, doszły mnie z rufy głośne słowa jego komendy: „Na podwietrzną ster!" i dalekie echo rozkazu, powtórzonego na średnim pokładzie. Żagle trzepotały na lekkiej morce. Potem i ten szelest ustał. Statek wykręcał powoli. Zamarłem w ponownem oczekiwaniu. Cisza. Rzekłbyś, że na pokładach statku jest tylko jedna żyjąca istota. Nagle pobudzający okrzyk: „Wielki żagiel hissuj!" [2]) Urok prysł. Na pokładzie, pokrzykując hałaśliwie, marynarze pędem wyciągali brasy [3]), my zaś w kabinie, korzystając z zamętu, zdołaliśmy zająć zwykłe miejsce u koi.

Uprzedził moje pytanie.

— Słyszałem, jak zmierzał poomacku, i zdążyłem jeszcze przyczaić się w wannie — wyszeptał do mnie. — Poczciwiec ten jednakże drzwi tylko odemknął i powiesił płaszcz, wsunąwszy rękę przez szparę. Mimo to — —

---

[1]) P. Streszczony Kurs Morskiej Praktyki. Tczew, 1922.
[2]) Hissować — podnosić. Słowa komendy.
[3]) Liny do podnoszenia żagli.

— Do głowy mi to nie przyszło — odszepnąłem, bodaj że z większem jeszcze przerażeniem myśląc o bliskości niebezpieczeństwa i zdumiewając się cechującą go niedosiężnością, dzięki której tak szczęśliwie się wywinął. Szeptał niezalterowanym głosem. Jeżeli który z nas był bliski szaleństwa, to w każdym razie nie on. Był przy zdrowych zmysłach. Najlepszy tego dowód stanowiły wyszeptane przezeń w następnej chwili słowa:

— Tego właśnie brakowało, by przywrócić mi życie.

Równie dobrze mógłby tak duch powiedzieć. Lecz była to aluzja do niechętnie przyjętej przez starego kapitana hipotezy samobójstwa. Oczywiście, odkrycie byłoby kapitanowi na rękę, o ile dobrze zrozumiałem jego punkt widzenia i jego intencje.

— Musi pan mnie wylądować, gdy tylko wżeglujemy pomiędzy bezludne wysepki u brzegów Kambodży — ciągnął.

— Wylądować pana! Co za pomysł z Robinsona Kruzoe! — zaprotestowałem. Zirytował mnie swym pogardliwym szeptem:

— Bynajmniej! Nie z Robinsona Kruzoe. Tylko, że nic innego nie pozostaje. Mam tego dość. Nie przypuszcza pan, bym się bał tego, co ze mną mogą zrobić. Więzienia, czy szubienicy. Niech zrobią, co im się żywnie podoba. Lecz nie wyobraża pan sobie, że powrócę, by tłumaczyć rzeczy tego rodzaju gronu osób, składającemu się ze starca w peruce i dwunastu szanownych kupców. Skąd oni wiedzieć mogą, czy winien jestem, czy też nie, a także, j a k a jest moja wina? To moja rzecz. Co mówi Pismo Święte? „Tułaczem i bez przytułku będziesz na ziemi". Pięknie. Więc jestem teraz tułaczem i bez przytułku. Odejdę w nocy, jak w nocy przyszedłem.

— Niemożliwe — mruknąłem. — Nie może pan tego zrobić.

— Nie mogę! Oczywiście, nie odejdę nagi, jak na sąd ostateczny. Pańska pyjama przymarznie mi do grzbietu. Chwila sądu ostatecznego jeszcze nie nadeszła—więc... rozumie pan doskonale? Nieprawdaż?

Raptem wstyd mi się zrobiło mego wahania, czy pozwolić temu człowiekowi odpłynąć ze statku? Było to bowiem uczucie nieszczere, pewnego rodzaju tchórzostwo. Z czystem sumieniem mogę powiedzieć, że zrozumiałem.

— Musimy zaczekać do przyszłej nocy — tchnąłem.— Żeglujemy przy wietrze od lądu i przeciwny wiatr może nam niedopisać.

— Skoro wiem, że pan mnie rozumie — zaszeptał.— Niezaprzeczenie. To wielkie szczęście mieć kogoś, kto człowieka rozumie. Bodaj, że jest tu pan specjalnie w tym celu. — I tonem takim, jak gdybyśmy mieli sobie do powiedzenia rzeczy, o których świat nie powinien nic wiedzieć: — To poprostu cudowne.

Trwaliśmy tak przy sobie, rozmawiając ukradkiem, czasami zaś, po dłuższych przerwach, zamieniając jedno lub dwa słowa. I, jak zwykle, wpatrywał się w lewy iluminator. Od czasu do czasu tchnienie wiatru owiało nam twarze. Nie czuło się ruchu statku, jak gdyby stał w doku. Łagodnie, równo, bezszelestnie sunął, rzekłbyś, po bezdźwięcznem, widmowem morzu cienia.

O północy wyszedłem na pokład i ku zdumieniu mego starszego oficera odwróciłem statek na przeciwny ciąg. Nastroszone sumiaste wąsy kręciły się dokoła mnie z wyrazem niemego potępienia. Bezwątpienia nie zrobiłbym tego, powodowany wyłącznie chęcią jak najszybszego wydostania się z sennej zatoki. Swemu młodszemu koledze,

który przyszedł go zastąpić, powiedział pewnie, że popełniłem wielki błąd. Na to ów ziewnął tylko. Impertynencki smarkacz tak sennie powłóczył nogami, tak leniwie, niewłaściwie zwisał na poręczach, że musiałem dać mu nauczkę.

— Czy pan błądzi we śnie, czy na jawie?

— Na jawie, Panie.

— Dobrze, więc niech pan się zachowuje, jak należy. I niech pan pilnie upatruje lądu. Pierwszy lepszy prąd może nas przed świtem znieść ku jednej z wysp.

We wschodniej części zatoki pełno wysepek. Leżą oddzielnie lub tworzą archipelagi. Odbijając od niebieskawego tła stromego wybrzeża, zdają się pływać na srebrzystych tarczach cichej wody — jałowe i szare, inne znów ciemnozielone i zaokrąglone, niby kępy soczystej dżungli; wśród nich większe wyspy, ciągnące się na milę lub dwie, świecą grzbietami skalnemi i nagiemi żebrami urwisk z pod dymiącej wilgocią mantylli stłoczonego listowia. Zdala od dróg handlu morskiego, nieznane podróżnikom i, bodaj, geografom, są siedliskami zagadkowego życia. Na większych muszą egzystować jakieś wioski, czy osady rybackie, musi istnieć jakaś łączność między niemi a światem, utrzymywana zapomocą łodzi krajowców. Lecz żeglując w tę stronę pod leciuchnemi tchnieniami przez całe popołudnie, w polu mojej lunety nie wykryłem ani jednej pirogi, ani śladu ludzkiego życia.

W południe nie wydałem rozkazów, by zmienić kurs, i wąsy oficera były tem wielce zalterowane. Na każdym kroku rzucały się w oczy bardzo niestosownie. Nakoniec przemówiłem do niego:

— Mam zamiar trzymać się kursu ku wybrzeżu. Jak najbliżej lądu — na ile tylko będę mógł podejść.

Z osłupienia oczy jego zalśniły okrutnie i przez chwilę wygląd miał naprawdę pożerczy.

— Za wolno posuwamy się środkiem zatoki — ciągnąłem tonem beztroskim. — Dziś w nocy poszukamy lądowego wiatru.

— O, Jezu! Naprawdę pan, panie Kapitanie, myśli lawirować w ciemnościach między wszystkiemi temi wyspami, rafami i rewami? [1])

— Ba! Jeżeli na tem wybrzeżu są jakie wiatry stałe, to aby na nie trafić, trzeba podejść do brzegu — tak, czy nie?

— O, Jezu — połknął półgłosem po raz drugi. Przez całe popołudnie miał wygląd pogrążonego w marzeniu i kontemplacji, co było u niego oznaką przygnębienia. Po obiedzie przeszedłem na wypoczynek do mojej kabiny. Tu, nad wpółrozwiniętą na koi mapą, ja i sobowtór mój—pochyliliśmy nasze ciemnowłose głowy.

— W tem miejscu — ozwałem się — powinien leżeć Koh-ring. Od wschodu słońca nie spuszczałem tego punktu z oka. Wyłoniły się dwa wzniesienia z jednem zagłębieniem. Musi być zamieszkany. A po przeciwnej stronie na wybrzeżu wygląda coś na ujście wielkiej rzeki — z jakiemś miastem, bezwątpienia, tuż ponad ujściem. Dla pana jeszcze najdogodniejsze miejsce lądowania.

— Wszystko jedno. Niech będzie Koh-ring.

Zamyślił się nad mapą, jak gdyby z lotu ptaka obejmował przestrzenie do przebycia, rozpatrywał swe szanse — oczyma duszy oglądał swą własną postać, wędrującą po niezbadanym lądzie Kochinchiny, a potem schodzącą ze skrawka mapy poprzez jej brzeg w nieoznaczone krainy

---

[1]) Ławica podwodna.

świata. Doznałem wrażenia, że statek ma dwóch kapitanów, wyznaczających mu kursy. Od samego rana dnia tego biegałem po statku zaaferowany i zbrakło mi cierpliwości, by się ubrać. Pozostałem tedy w mojej pyjamie i słomianym kapeluszu z obwisłem rondem. Taki żar bił w zatoce, że załoga przywykła już do kapitana w powiewnym kostjumie.

— Żeglując dalej tym kursem, miniemy południowy cypel — wszepnąłem mu do ucha. — Bóg raczy wiedzieć, kiedy, ale napewno po zachodzie słońca. Podejdę do lądu na pół mili, jak najbliżej, o ile tylko zdołam wymiarkować w ciemnościach — —

— Tylko ostrożnie — ostrzegł cicho; i nagle uświadomiłem sobie, że dla całej mej przyszłości w zawodzie, do którego nadawałem się wyłącznie, nieszczęśliwy wypadek podczas pierwszego mego dowództwa zgubne miałby skutki.

Ani chwili dłużej nie mogłem wysiedzieć w kabinie. Gestem wskazałem mu kryjówkę i ruszyłem na rufę. Ów arogancki smarkacz pełnił służbę. Chwilę przechadzałem się tam i zpowrotem po pokładzie, układając plan działania, potem zaś skinąłem na niego.

— Przyślij pan dwóch marynarzy, by otworzyli bramki [1]) na tylnym pokładzie — powiedziałem tonem uprzejmym.

Czy rzeczywiście zdobył się na tę bezczelność, czy też zapomniał do tego stopnia, otrzymawszy niezrozumiały rozkaz, dość, że powtórzył moje słowa:

— Otworzyć bramki na tylnym pokładzie? A to poco, panie Kapitanie?

---

[1]) Inaczej porty. Są to drzwi w burcie.

— Tylko tyle pana obchodzić powinno, że daję panu ten rozkaz. Niech je otworzą naścieżaj i drzwi należycie umocują.

Sprężył się i odszedł, lecz po drodze rzucił pewnie cieśli jakieś dowcipne słówko na temat racjonalnej wentylacji tylnego pokładu. Musiał też wpaść do kabiny pierwszego oficera, by go poinformować o tym fakcie, gdyż wkrótce na pokładzie ukazał się właściciel sumiastych wąsów, wypadkowo niby, i począł mnie badać ukradkowemi spojrzeniami, czy nie zdradzam oznak szaleństwa lub nietrzeźwości.

Przed samą kolacją, bardziej jeszcze niespokojny, wpadłem na chwilę do mego sobowtóra. Siedział tak nieruchomo, że ogarnął mnie podziw i zdumienie. — Nienaturalnie spokojny, nadludzko.

Zakomunikowałem mu plan mój spiesznym szeptem:

— Podejdę do brzegu jak najbliżej, na ile starczy mi odwagi, a potem wykonam zwrot na przeciwny ciąg. Znajdę niebawem sposób przeszmuglowania pana stąd do komory żaglowej, komunikującej się z przedkajuciem. Jest w niej otwór w kształcie prostokąta, wychodzący na tylny pokład. Otwór ten służy do przewietrzania żagli i podczas pogody bywa zawsze otwarty. Kiedy statek utraci pęd, a cała załoga będzie u brasów wielkiego żagla, skorzysta pan z wolnej drogi i prześliźnie się na tylny pokład, a stamtąd przez otwartą bramkę w morze. Zsunie się pan do wody po linie, aby uniknąć plusku, pan wie. Mogliby usłyszeć; pociągnęłoby to za sobą djabelne komplikacje.

Milczał chwilę, potem odszepnął:

— Rozumiem.

— Nie chcę być tego świadkiem — zacząłem z wysił-

kiem. — Zresztą... Mam nadzieję, że się rozumiemy. Ja zrozumiałem pana również.

— Doskonale. Od początku do końca — i po raz pierwszy w szepcie jego było coś chwiejnego i naciągniętego. Porwał mnie za ramię, lecz w tejże chwili drgnąłem na dźwięk gongu, wzywającego na kolację. Lecz on nie drgnął, puścił tylko moje ramię.

Po kolacji zeszedłem dopiero nadół o kwadrans po ósmej. Wiała słaba, stała morka, przesycona rosą, a mokre, pociemniałe żagle zatrzymywały całą jej siłę nośną. Wygwieżdżona, jasna noc płomieniała łagodnie; płaty nieprzezroczystej czerni przesuwały się powoli na gwiezdnem tle obrębienia horyzontu — były to pozostawione wtyle wyspy. Jedna z nich, większa, po lewej stronie dziobu, znaczniejszą, groźniejszą masą cienia plamiła niebo.

Otworzywszy drzwi kabiny, wpadłem na mego sobowtóra, który opuścił wgłębione ramię. Stał, odwrócony tyłem, i studjował mapę u stołu. Przypominał mnie do złudzenia.

— Już dosyć ciemno — wyszeptałem.

Odstąpił i oparł się o brzeg koi. Oczy jego błyszczały równym, niezmąconym blaskiem. Siedziałem na sofie. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Ponad naszemi głowami oficer dyżurny wałęsał się tu i owdzie. Nagle usłyszałem, że idzie szybko. Wiedziałem, co to znaczy. Zmierzał nadół, do kajuty; i rzeczywiście, głos jego w tejże chwili odezwał się u moich drzwi.

— Podchodzimy bardzo szybko, panie Kapitanie. Ląd zdaje się być bardzo blisko.

— Doskonale — odpowiedziałem. — Zaraz przyjdę na pokład.

Zaczekałem, aż wyjdzie z kajuty, i wstałem. Mój so-

bowtór poruszył się również. Nadszedł czas wymienienia ostatnich naszych szeptów, tak, szeptów, bo przez cały czas nie sądzone nam było wymienić ani jednego słowa głośno, zwykłym tonem.

— Proszę! — otworzyłem szufladę i wyjąłem z niej trzy suwereny. — Niech je pan weźmie na wszelki wypadek. Mam sześć i dałbym je panu wszystkie, ale muszę zatrzymać trochę pieniędzy, by zakupić dla załogi owoców i jarzyn, przechodząc przez Sunda Straits, od krążących w tej cieśninie krajowców.

Potrząsnął głową.

— Niech pan nie odmawia — nalegałem z desperacją w głosie. — Nikt nie może przewidzieć, co — —

Uśmiechnął się i znacząco uderzył po jedynej kieszonce swej powiewnej bluzy. Nie było to pewne schowanie, bezwątpienia. Lecz wyciągnąłem dużą starą chustkę jedwabną i, zawinąwszy w nią trzy sztuki złota, wcisnąłem mu do ręki. Musiało go to wzruszyć, sądzę, gdyż przyjął je wreszcie, obwiązując sobie chustkę prędko pod bluzą, dokoła pasa, na ciele.

Oczy nasze spotkały się, i upłynęło dobre parę sekund, aż z wzrokiem wciąż do jego źrenic przykutym, sięgnąłem ręką i zgasiłem lampę. Wówczas przeszedłem przez kajutę, pozostawiając drzwi mojej kabiny otwarte naścieżaj...

— Stiuard!

Wciąż siedział jeszcze w śpiżarni, z gorliwością, godną lepszej sprawy, trąc do połysku platerowy serwis stołowy, co czynił zawsze naostatku przed położeniem się. Aby nie budzić porucznika, którego kabina była naprzeciwko, mówiłem półgłosem.

Obejrzał się niespokojnie. — Słucham Pana!

— Czy możecie mi przynieść trochę gorącej wody z kambuza?

— Wątpię, panie Kapitanie, czy jest gorąca woda w kambuzie, bo ogień pod kotłem wygasł już od dłuższego czasu.

— Zobaczcie.

Pomknął wgórę po schodni.

— Teraz — szepnąłem głośno w głąb kabiny, za głośno może, lecz bałem się, że nie dobędę głosu. W mgnieniu oka był przy mnie — rozdwojony kapitan przemknął po schodni — przez wąskie ciemne przejście... i drzwi roz suwane. Znaleźliśmy się w komorze żagielnej, pełzając po żaglach na kolanach. Raptem przyszła mi myśl do głowy. Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak wędruję bosy, z nieosłoniętą głową, a niemiłosierne słońce pali mnie prosto w ciemię. Zerwałem z głowy miękki kapelusz i pośpiesznie w ciemnościach starałem się wpakować go na głowę memu drugiemu ja. Wykręcał się, jak mógł, i bronił w milczeniu. Ciekawym, co też sobie o mym dziwacznym odruchu pomyślał, zanim zrozumiał i przestał nagle się opierać. Ręce nasze spotkały się poomacku i połączył je na sekundę mocny uścisk. Rozeszliśmy się bez słowa, nie tchnąwszy ani jednego dźwięku.

Stałem najspokojniej u drzwi śpiżarni, gdy stiuard wrócił.

— Niestety, panie Kapitanie, kocioł ledwie ciepły. Czy mam zagrzać wodę na maszynce spirytusowej?

— Nie, nie trzeba.

Wyszedłem powoli na pokład. Uważałem teraz za punkt honoru przemknąć możliwie jak najbliżej lądu — bowiem teraz on musiał opuścić statek, gdy przechodzić będziemy linję wiatru. Musiał! Nie miał możności powro-

tu. Po chwili przeszedłem na powietrzną stronę, i krew zastygła mi w żyłach, tak blisko ląd majaczył u dziobu. W innych okolicznościach nie zwlekałbym ani minuty. Drugi porucznik szedł za mną wystraszony.

Przypatrywałem się, póki mi nie wróciła pewność głosu.

— Ba! podniesiemy się na wiatr [1]) — przemówiłem spokojnym głosem.

— Naprawdę będzie pan próbował, panie Kapitanie? — wyjąkał z niedowierzaniem.

Puściłem jego słowa mimo uszu i, podnosząc głos o tyle, by sternik mnie słyszał:

— Prosto na wiatr [2]) — zakomenderowałem.

— Prosto na wiatr, Panie.

Wiatr chłodził mi policzek, żagle milczały i świat milczał dokoła. Nad siły moje było patrzeć, jak czarna sylwetka lądu rozrasta się, gęstniejąc. Zamknąłem oczy — bo statek musi podejść bliżej. Musi! Panowała cisza nieznośna. Czyżbyśmy stali w miejscu?

Gdy otworzyłem oczy, serce zabiło mi w piersi, jak młotem. Czarny południowy wierzchołek Koh-ringu zdawał się wisieć nad samym statkiem, jak spiętrzony złom wieczystej nocy. Na tej olbrzymiej masie czerni ani lśnienia, ani głosu. Nieodparcie ślizgał się ku nam, choć, rzekłbyś, jest już przy nas, niemal namacalny. Na śródokręciu rysowały się niewyraźnie sylwetki pełniących służbę marynarzy. Stali niemi, wpatrzeni, zdjęci grozą.

---

[1]) T. zn. prześliźniemy się między kierunkiem wiatru, a cyplem.

[2]) Sterować, by żagle trzymały wiatr. Słowa komendy. Streszcz. Kurs Prakt. Morskiej. Tczew. 1922.

— Chce pan jeszcze podchodzić, panie Kapitanie? — ozwał się niepewny głos u mego boku.

Zmilczałem. Musiałem podchodzić wciąż jeszcze.

— Prosto na wiatr. Nie hamuj biegu. To tylko zwiększa teraz ryzyko — ostrzegłem.

— Nie widzę dobrze żagli — odpowiedział sternik z dziwnym trelem w głosie.

Czy dość blisko? Statek był już, nie powiem, w cieniu lądu, lecz w samej jego czerni, jak gdyby już przezeń pochłonięty, za blisko, by go wycofać — rzekłbyś, uciekł mi całkiem z rąk.

— Zawezwij pan pierwszego oficera — powiedziałem do młodego człowieka, stojącego u mego boku, milczącego jak śmierć. — I wywołaj wszystkich na pokład.

Głos mój, odbity od wyżyny lądu, zabrzmiał niezwykle głośno. Kilka głosów okrzyknęło razem:

— Wszyscy tu jesteśmy na pokładzie, Panie.

I znów cisza, a wielki cień przyślizgiwał się coraz bliżej i piętrzył coraz wyżej, wielki cień bez lśnienia, bez głosu. Taka cisza padła na okręt, jak gdyby był barką umarłych, wypływającą powoli na ciche wody u samych wrót Erebu.

— Wielki Boże! gdzie my jesteśmy?

To porucznik jęknął przy mnie. Był jak rażony piorunem, jak gdyby utracił nagle moralną podporę w swych wąsach. Załamał ręce i, doprawdy, krzyknął: — Jesteśmy zgubieni!

— Spokojnie — powiedziałem doń surowo.

Zniżył głos, lecz widziałem nadal majaczące w ciemnościach desperackie jego gesty. — Co my tu robimy?

— Szukamy wiatrów lądowych.

Zrobił gest jakby wyrywania sobie włosów i zwrócił się do mnie bezwzględnie.

— Nie wyprowadzi pan stąd statku. Rozbiłeś go pan. Wiedziałem, że się skończy czemś podobnem. Na wiatr się już nie podniesie, a jesteśmy za blisko, by się zatrzymać. Zniesie nas na brzeg, nim dokonamy zwrotu. O, mój Boże!

Schwyciłem go za ramię w chwili, gdy się porywał z pięściami na swą nieszczęsną, zdesperowaną głowę; potrząsnąłem za nie z całej siły.

— Już jesteśmy na brzegu — skomlił, usiłując się wyrwać.

— Czyżby?... Sterujcie tam prosto na wiatr!

— Na wiatr, Panie — zawołał sternik przerażonym, cienkim, dziecinnym głosem.

Nie wypuściłem ramienia oficera i nie przestałem nim potrząsać. — Gotuj zwrot, czy pan słyszysz? Pójdziesz pan na przód — targnięcie, — zostaniesz pan tam — targnięcie, — i będziesz trzymał język za zębami — targnięcie — i przypilnujesz, by przednie żagle sprawnie działały — targnięcie — targnięcie — targnięcie.

A przez cały czas nie śmiałem spojrzeć ku lądowi, bojąc się, że zbraknie mi odwagi. Wreszcie puściłem nieszczęśnika; pognał na przód, rzekłbyś, szukając ratunku w ucieczce.

Zdjęła mnie ciekawość, co też mój sobowtór tam, w komorze żagielnej, myślał o tem wzburzeniu. Był w stanie słyszeć wszystko, a, może, i był w stanie zrozumieć, dlaczego sumienie mi nakazywało podejść tak blisko — ani o cal mniej. Mój pierwszy rozkaz: — Na podwietrzną ster! — odbił się złowróżbnem echem od spiętrzonej czerni Koh-ringu, jak gdybym krzyknął w górski

wąwóz. Potem zaś wpiłem się oczyma w brzeg. Na zupełnie cichej wodzie przy lekkim wietrzę niepodobna było wyczuć zwrotu. Nie, ja ruchu statku nie czułem. A mój sobowtór w tej właśnie chwili musiał przekradać się i zsuwać do wody. Może go już na statku nie było...

Wielka masa kiru, majacząca aż ponad szczyty masztów, poczęła wykręcać, odsuwać się od burty. I wówczas zapomniałem o mym sobowtórze, gotującym się do drogi, tak zaciążyła mi nieznajomość statku. Nie znałem go wcale. Jak się teraz zachowa? Jak trzeba nim teraz manewrować?

Przebrasowałem [1]) reję wielkiego żagla i czekałem bezradnie. Może los nasz zawisł od zrównoważenia statku? Czy stoi on bez ruchu, waży się u stóp kirowego Koh-ringu, spiętrzonego, jak wrota wieczystej nocy, nad tylną burtą. Jak — jak okręt się zachowa? Czy zyskał już ruch samoistny? Nic nie mogłem dostrzec, prócz słabego łysku fosforescencji, dowodzącego, iż wyszklniona gładź drzemie. Niepodobna było nic wymiarkować — a ja dotąd nie nauczyłem się czuć ruchów mojego statku. Czy posuwa się? Trzeba mi było czegoś widocznego na wodzie. Przydałby się kawałek papieru, by go rzucić do wody i obserwować. Nagle, wytężonym, spragnionym wzrokiem odkryłem biały przedmiot, popływający o łokieć od burty. Biały na czarnej wodzie! Pod nim igrał błysk fosforescencji: co to być mogło? Poznałem mój własny obwisły kapelusz. Musiał spaść mu z głowy... nie troszczy się oń. Mam, czego chciałem — oto zbawczy znak przed oczami. Bodaj że w owej chwili nie myślałem o mym sobowtórze, który porzucił statek i skazał się na tułaczkę po obliczu ziemi. Miał

---

[1]) Obrócić w płaszczyźnie poziomej.

odtąd żyć w ukryciu przed przyjaciółmi swymi, ale bez piętna na czole, ale nie jako morderca... on, zbyt dumny, aby się tłumaczyć.

Więc obserwowałem kapelusz — symbol mego zmiłowania nad jego cielesną powłoką. Miał on chronić tę bezdomną głowę od słonecznego udaru. A teraz — zważcie tylko — ratował statek od rozbicia. Dzięki znakowi temu otworzyły mi się oczy i przestało na mnie ciążyć przekleństwo nieznajomości statku, obcości względem niego. Ha! Płynął naprzód, ostrzegając mnie w sam czas, że się wycofujemy rufą.

Na przeciwną ster[1]) — przemówiłem półgłosem do marynarza, stojącego u steru cicho, jak posąg.

Oczy jego zalśniły dziko w świetle kompasowej lampy, gdy przeskakiwał na drugą stronę steru, by z całych sił zakręcić kołem.

Przeszedłem na schodnię rufy. Na zanurzonym w cień pokładzie cała załoga stała u przednich kresów w niemem milczeniu, oczekując moich rozkazów. Za rufą gwiazdy zdawały się zataczać łuki od prawej ku lewej. I panowała taka cisza, że usłyszałem, jak tonem niezmiernej ulgi marynarz powiedział do marynarza: — Wyszliśmy na wiatr.

— Luzuj i ciąg!

Z wielkim łoskotem wśród radosnych krzyków zachodziły fok-reje[2]). Wówczas dopiero porucznik dał znak życia; z pod sumiastych wąsów poczęły padać różne rozkazy. Lecz statek szedł już naprzód. I ja byłem sam na okręcie. Kamień spadł mi z serca: nikt już nie będzie stał

---

[1]) Słowa komendy. To zn. na przeciwną burtę ster.
[2]) Reje przedniego masztu.

między nami, rwąc nić sympatji i rzucając cień na milczące porozumienie między kapitanem, a jego pierwszym okrętem.

Podszedłem do tylnej burty w porę jeszcze, by u samej krawędzi cienia, odrzucanego przez kirową skałę, niby u samych wrót Erebu, pochwycić okiem niknący majak białego kapelusza, wyznaczającego miejsce, gdzie mój ukryty sojusznik, z którym dzieliłem kabinę, ba, miałem jednakowe myśli, mój sobowtór, słowem, osunął się do wody. Oto był teraz wolny i na wolności miał odbyć karę. Oto dzielny ten pływak przebijał się przez morze, zmierzając ku nowym przeznaczeniom.

*FREJA Z SIEDMIU WYSP*

OPOWIEŚĆ O PŁYTKICH WODACH

## I.

Pewnego dnia — a było to już bardzo dawno — dostałem długi, szczegółowy list od jednego z moich starych kamratów i towarzyszów przygód na wschodnich morzach. Przebywał wciąż w tamtych stronach, ale już jako stały mieszkaniec. Był podówczas w średnim wieku; wyobrażałem sobie, że pewnie utył i lubi przesiadywać w domu,— że, jednem słowem, spotkał go los zwykłych śmiertelników, któremu nie podlegają tylko umiłowani przez bogów, albowiem — jak wiadomo — umierają młodo. W liście pełno było tęsknych spojrzeń w przeszłość, zapytań: „Czy pamiętasz?" — a między innemi pytanie: „Czy pamiętasz starego Nelsona".

Czy pamiętam starego Nelsona! I jak jeszcze. Przedewszystkiem nie nazywał się wcale Nelson. Anglicy z archipelagu nazywali go Nelsonem—prawdopodobnie dla wygody a on nigdy nie protestował; byłaby to czcza pedanterja. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Nielsen. Przybył na wschód na długo przed pojawieniem się drutów telegraficznych; pracował w angielskich firmach, ożenił się z Angielką i zżył się z nami, handlując i żeglując na

wszystkie strony po Wschodnim archipelagu — i wpoprzek, i naukos, i wkrąg — to równolegle do równika, to znów prostopadle — w półkola, zygzaki, ósemki. Trwało to długie lata.

Nie było żadnego zakątka na tych tropikalnych wodach, gdzieby nie dotarła wybitnie pokojowa działalność starego Nelsona (czy też Nielsena). Gdyby się udało nakreślić tropy wszystkich jego podróży, mapę archipelagu pokryłaby sieć gęsta jak pajęczyna — z wyjątkiem jednak Filipin. Nie chciał nigdy zbliżyć się do tych okolic, gdyż bał się panicznie Hiszpanów, a właściwie władz hiszpańskich. Niepodobna sobie wyobrazić, czego się po nich spodziewał. Może czytał swojego czasu książki o inkwizycji.

Ale Nelson lękał się wogóle wszelkich „władz", jak je nazywał, prócz angielskich, które szanował i którym ufał. Holendrzy przejmowali go mniejszą grozą niż Hiszpanie, ale może jeszcze bardziej im niedowierzał. Nie miał do nich ani krzty zaufania. Był przekonany, że gotowi są zawsze „spłatać bardzo brzydkiego figla" człowiekowi, który miał nieszczęście popaść w ich niełaskę. Wprawdzie istniały holenderskie prawa i przepisy, ale nie mieli pojęcia o sprawiedliwem ich stosowaniu. Nieraz aż litość brała patrzeć na oględne i trwożliwe zachowanie Nelsona wobec pierwszego lepszego urzędnika; tem bardziej, że pamiętano z dawnych lat nieustraszone wyprawy tegoż Nelsona. Docierał najspokojniej do Nowej Gwinei do wiosek zamieszkanych przez ludożerców, aby wymienić towary, których wartość nie przekraczała częstokroć pięćdziesięciu funtów. Należy przytem zaznaczyć, że był zawsze tuszy okazałej i mógł uchodzić — że się tak wyrażę — za kąsek bardzo smakowity.

Czy pamiętam starego Nelsona? Jakżeby nie! Ściśle mówiąc, nikt z mojego pokolenia nie widywał go w czasach, gdy prowadził jeszcze interesy; znaliśmy go już jako „wycofanego z obiegu". Kupił, czy też wydzierżawił od sułtana część wysepki należącej do grupy t. zw. Siedmiu Wysp, nieco na północ od Banki. Tranzakcję tę załatwiono prawdopodobnie zgodnie z prawem, ale nie wątpię, że gdyby Nelson był Anglikiem, Holendrzy znaleźliby jakiś sposób wykurzenia go bez ceremonji. W danym wypadku prawdziwe brzmienie jego nazwiska przydało mu się bezwarunkowo. Zostawiono w spokoju skromnego Duńczyka, który zachowywał się jak najpoprawniej. Włożywszy wszystkie pieniądze w uprawę ziemi, starał się uniknąć nawet najlżejszego pozoru jakiejś winy i głównie z powyższych względów ostrożności nie patrzył łaskawem okiem na Jaspera Allena. Ale o tem później. Tak! Pamiętało się dobrze duży, gościnny bungalow, wzniesiony na spadzistym przylądku, zażywną postać Nelsona w białej koszuli i spodniach (miał stały zwyczaj zdejmować alpagową kurtkę przy każdej sposobności), okrągłe, niebieskie oczy, wichrowate, żółtawo-białe wąsy, sterczące na wszystkie strony niby kolce podrażnionego jeża — i skłonność do raptownego siadania i wachlowania się kapeluszem. Ale co tu ukrywać! Pamiętało się przedewszystkiem jego córkę, która powróciła w tym czasie do domu, aby stać się niejako Władczynią Wysp.

Freja Nelson (albo Nielsen) należała do kobiet, których się nie zapomina. Zarys jej owalu był nieskazitelny, a przedziwna jego linja okalała olśniewającą cerę i niezrównaną harmonję rysów, z których biło zdrowie, siła i coś, cobym nazwał nieświadomą wiarą w siebie, albo niezmiernie wdzięcznym i jakby kapryśnym rozmachem. Nie

porównuję jej oczu do fiołków; barwa ich miała zupełnie odrębny odcień, jaśniejszy i bardziej połyskliwy. Spoglądała zawsze prosto w oczy, szczerze i otwarcie. Nie widziałem nigdy, aby spuszczała długie, czarne rzęsy — przypuszczam, że Jasper Allen musiał to widywać jako człowiek uprzywilejowany — ale nie wątpię, że wyraz jej twarzy był wówczas czarujący i zagadkowy. Jasper mówił mi raz w porywie wzruszająco głupiego zachwytu, że mogła usiąść na swoich włosach. Bardzo wierzę. Nie było mi danem oglądać te cuda; mogłem tylko podziwiać, jak zręcznie umiała upiąć warkocze, nie zakrywając niemi kształtnej główki. Przepych jej włosów taki był promienny, że gdy siedziała na zachodniej werandzie w miłym półmroku spuszczonych zasłon, lub w cieniu drzew owocowych blisko domu, zdawało się, iż włosy jej sieją swój własny, złocisty blask.

Nosiła zwykle białą suknię, nie zakrywającą zgrabnych, żółtych trzewików. Jeśli miała na sobie coś kolorowego, to chyba tylko niebieską wstążkę. Wszelkie wysiłki fizyczne przychodziły jej z łatwością. Widziałem raz, jak wysiadła z łódki po długiej przejażdżce w słońcu (lubiła bardzo wiosłować); nie była ani trochę zdyszana i każdy jej włosek pozostał na swojem miejscu. Gdy rankiem wychodziła na werandę, aby popatrzeć na morze ku wschodowi, w stronę Sumatry, promieniała świeżością i blaskiem jak kropla rosy. Ale kropla rosy jest znikoma, Freja zaś nie miała w sobie nic nikłego. Pamiętam dobrze jej krągłe, silne ramiona i ręce cienkie w przegubie, szerokie a kształtne, o długich, smukłych palcach.

Nie wiem, czy urodziła się na morzu, ale w każdym razie do dwunastego roku życia żeglowała z rodzicami na przeróżnych statkach. Po stracie żony Nelson był w wiel-

kim kłopocie, co robić z córeczką. Jakaś życzliwa znajoma z Singapuru, wzruszona niemym jego bólem i bezradnością, podjęła się opieki nad Freją. Trwało to przez jakie sześć lat, w czasie których stary Nelson (czy Nielsen) wycofał się z „obiegu" i osiadł na swojej wyspie, ponieważ zaś zacna opiekunka dziewczyny wracała do Europy, postanowiono, że Freja zamieszka z ojcem.

Pierwsze i najważniejsze zarządzenie Nelsona, związane z tym faktem, dotyczyło sprowadzenia wspaniałego pianina firmy Steyn i Ebhart. Byłem wtedy kapitanem małego parowca kursującego wśród wysp; dostarczenie Nelsonowi tego sprawunku przypadło mi w udziale i stąd wiem cośniecoś o pianinie Frei. Wyładowaliśmy z trudnością olbrzymią pakę na płaską skałę wśród zarośli, przyczem dno łodzi o mało co nie wyleciało w czasie tego żeglarskiego manewru. Potem wspólnie z całą załogą, nie wyłączając maszynistów tudzież palaczy, rozwinęliśmy niesłychaną pomysłowość; uznojeni w słońcu jak starożytni Egipcjanie przy budowaniu piramidy, zdołaliśmy wreszcie wywindować pianino aż na wysokość bungalowu zapomocą wałków, dźwigni, powrozów i pochyłych, namydlonych desek. Umieściliśmy je w rogu wschodniej werandy, która odgrywała właściwie rolę salonu. Wyłusknęliśmy ostrożnie pianino z paki i wspaniały potwór z różanego drzewa objawił się nareszcie w całej okazałości. Podnieceni i przejęci ważnością chwili, przysunęliśmy go do ściany z należytą pieczołowitością i mogliśmy wreszcie swobodnie odetchnąć. Był to bezwątpienia najcięższy przedmiot, jaki znalazł się na tej wysepce od stworzenia świata. Potęga dźwięków, któremi pianino rozbrzmiewało w bungalowie (działającym jako pudło akustyczne), była istotnie zdumiewająca. Akordy niosły się nad morzem jak dźwięczne grzmoty. Jasper

Allen mówił mi, że co rano z pokładu swojego *Bonita* (niezwykle zwinnego i pięknego brygu) mógł słyszeć zupełnie wyraźnie, jak Freja wygrywa gamy, ale ten chłopak zarzucał zawsze kotwicę o wiele za blisko od brzegu — nieraz mu to mówiłem. Prawda, że tutejsze morze jest prawie zawsze pogodne, a Siedem Wysp słynie jako szczególnie spokojna i bezchmurna miejscowość. Ale niekiedy popołudniowa burza z Banki, albo gwałtowna ulewa z oddalonych brzegów Sumatry, spada nagle na grupę wysepek, pogrążając je na parę godzin w odmęcie wiatru i sino-czarnego mroku, dziwnie złowrogiego. Bungalow trząsł się wówczas w posadach; na werandzie spuszczone zasłony z rattanu targały się rozpaczliwie, a Freja siadała do pianina i wygrywała dzikie wagnerowskie melodje przy świetle oślepiających błyskawic, wśród piorunów padających wokoło, że aż doprawdy — włosy dęba stawały na głowie. Jasper siadywał nieruchomo za Freją, wielbiąc oczami smukłą, giętką jej postać, cudowną świetlistość jasnych włosów, ręce migające po klawiszach, biały zarys karku; a w tejże samej chwili bryg, tkwiący u przylądka, miotał się na linach o jakieś sto jardów od wstrętnych, lśniących, czarnych skał. Brrrr!

I trzeba wiedzieć, że działo się to wyłącznie w tym celu, aby Jasper, powróciwszy nocą na statek i przytuliwszy głowę do poduszki, miał pewność, że już nie może być bliżej swojej Frei, śpiącej w bungalowie. A przytem należy pamiętać, że właśnie ten bryg miał się stać w przyszłości ich domem — pływającym rajem — który Jasper przystrajał coraz piękniej, aby żeglować na nim błogo przez całe życie ze swoją Freją u boku. Warjat! Ale ten chłopak lubił zawsze ryzykować.

Pamiętam, jak pewnego dnia przypatrywaliśmy się

z Freją brygowi, który zbliżał się do przylądka od północy. Przypuszczam, że Jasper musiał dostrzec Freję przez lunetę. I cóż się stało? Zamiast posuwać się jeszcze z półtora kilometra wzdłuż mielizny i spuścić w odpowiedniem miejscu kotwicę, jak przystoi przyzwoitemu żeglarzowi, wypatrzył szparę między dwiema staremi, poszczerbionemi rafami o wstrętnym wyglądzie i skierował tamtędy statek, który przemknął się, trzęsąc i skrzypiąc wszystkiemi żaglami, tak że słyszeliśmy hałas aż na werandzie. Syknąłem przez zęby, a Freja zaklęła. Doprawdy! Zacisnęła kształtne piąstki i szepnęła: „Psiakrew!", poczem spojrzała na mnie i, poczerwieniawszy trochę, roześmiała się, mówiąc: „Zapomniałam, że pan tu jest!" Oczywiście! Kiedy Jasper zjawiał się na horyzoncie, zapominała, że ktokolwiek inny istnieje na świecie. Zaniepokojony tem warjackiem postępowaniem, nie mogłem się powstrzymać i odwołałem się do jej rozsądku.

— Ależ on ma bzika! — wyrzekłem z przejęciem.

— Skończony idjota — potwierdziła gorąco, patrząc mi prosto w oczy szeroko rozwartemi, poważnemi źrenicami, a na jej policzku pojawił się dołek od uśmiechu.

— I wszystko tylko poto — objaśniałem — aby przyśpieszyć spotkanie z panią o jakie dwadzieścia minut.

Usłyszeliśmy, jak kotwica opadła, poczem Freja stała się naraz niezmiernie stanowcza i groźna.

— Niech pan chwilę poczeka. Już ja mu pokażę!

Weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi, zostawiając mię na werandzie z odpowiedniemi instrukcjami. Nim jeszcze zdołano zwinąć żagle na brygu, Jasper zjawił się, przeskakując po trzy stopnie. Zapomniał przywitać się ze mną, tylko rozglądał się porywczo na wszystkie strony.

— Gdzie Freja? Czy nie było jej tu przed chwilą?

Oznajmiłem mu, że będzie pozbawiony obecności panny Frei przez całą godzinę, aby „wiedział na przyszłość, jak winien postępować". Na to oświadczył, że z pewnością ja do tego Freję namówiłem i że przykro mu, ale pierwszego lepszego dnia będzie zmuszony mnie zastrzelić. Uważa, że jesteśmy z Freją w zanadto dobrej komitywie. Powiedziawszy to, rzucił się na fotel i usiłował rozmawiać o ostatniej swojej podróży. Ale zabawił mnie niezmiernie fakt, że chłopak cierpiał rzeczywiście. To było widoczne. Głos mu się łamał. Zamilkł i, utkwiwszy oczy we drzwiach, siedział bez słowa z twarzą pełną bólu. Naprawdę! A co jeszcze zabawniejsze, nie upłynęło i dziesięć minut, gdy Freja ukazała się spokojnie na progu. Zostawiłem ich i poszedłem szukać starego Nelsona (czy też Nielsena) na tylnej werandzie, która była ulubionym jego zakątkiem. Chciałem go wciągnąć w rozmowę, aby, błąkając się po pokojach, nie wtargnął nieświadomie tam, gdzie wcale nie był pożądany.

Wiedział o przybyciu brygu, ale nie przypuszczał, że Jasper zdążył już znaleźć się przy jego córce. Myślał pewnie, że to niemożliwe w tak krótkim czasie. Naturalnie, ojciec dla córki nie zdobyłby się na coś podobnego. Podejrzewał wprawdzie, że Allen podkochuje się we Frei; wiedziały o tem i ptaki w powietrzu, i ryby w morzu, i większość kupców z archipelagu i wogóle — ludzie wszelkich klas i wszelkiego kalibru, mieszkający w Singapurze; nie był jednak w stanie ocenić, jak dalece jego córka zajęta jest Allenem. Wyobrażał sobie, że Freja za wiele ma rozsądku, aby sobie kimkolwiek głowę zawrócić. Nic podobnego nawet na myśl mu nie przychodziło, gdy siedział na swojej werandzie i gryzł się w prostocie ducha podczas wizyt Jaspera. Przyczyną jego zgryzot były władze holen-

derskie. Faktem jest, że Holendrzy patrzyli krzywo na poczynania Jaspera Allena, właściciela i kapitana brygu *Bonito*. Uważali, że jego wyprawy handlowe są o wiele za przedsiębiorcze. Nie zdaje mi się, aby Allen wykroczył kiedykolwiek przeciwko prawu; myślę raczej, że to niezmierna jego ruchliwość budziła odrazę w tępych i powolnych Holendrach. Otóż w pojęciu starego Nelsona kapitan *Bonita* był dzielnym marynarzem i sympatycznym chłopcem, — ale stosunki z nim uważał naogół za niepożądane, nieco kompromitujące, że się tak wyrażę. Z drugiej strony nie miał ochoty powiedzieć Jasperowi prosto w oczy, że nie chce go widywać. Biedny stary Nelson był przyzwoitym człowiekiem. Pewien jestem, że wzdragałby się zranić uczucia nawet i kudłatego ludożercy; chyba, gdyby go niedwuznacznie sprowokowano. Podkreślam, że mówię o zranieniu uczuć, nie zaś ciała. Jeśli chodzi o włócznie, topory, maczugi czy strzały, stary Nelson dowiódł niejednokrotnie, że potrafi doskonale sobie radzić. We wszelkich innych wypadkach miał usposobienie lękliwe. Siadywał więc z markotną miną na swojej werandzie i za każdym razem, gdy dochodziły odgłosy rozmowy Frei z Jasperem, wydymał policzki i wypuszczał dech z ponurym świstem, jak człowiek ciężko przez los doświadczony.

Uspokajałem naturalnie jego obawy, z których zwierzał mi się dość często. Miał niejakie uznanie dla mojego sądu i szanował mnie, jednak nie z powodu zalet osobistych, tylko ze względu na dobre stosunki, łączące mię z władzami holenderskiemi. Wiedziałem napewno, że największy jego postrach, gubernator z Banki, przemiły, porywczy, serdeczny człowiek, były kontradmirał, miał do niego wyraźną słabość. To kojące zapewnienie, do którego zawsze się uciekałem, rozjaśniało na chwilę twarz starego

Nelsona (czy też Nielsena); wkońcu jednak potrząsał zawsze głową z powątpiewaniem, jak gdyby chciał powiedzieć, że wszystko to bardzo pięknie, ale w duszy holenderskiego urzędnika kryją się przepaści, które on jeden, Nelson, zgłębić jest w stanie. Śmiechu warte!

W wypadku, o którym mówię, był nawet podrażniony i gdy usiłowałem go zająć bardzo zabawną, nieco skandaliczną przygodą, która zdarzyła się w Sajgonie pewnemu naszemu znajomemu, wykrzyknął nagle:

— Czegóż, u djabła, ten tu się ciągle włóczy!

Najwidoczniej nie słyszał z mojej anegdoty ani słowa. Zirytowało mnie to, bo anegdota była rzeczywiście dowcipna. Popatrzyłem na niego przeciągle.

— Jakto! — zawołałem — czy pan doprawdy nie wie, dlaczego Jasper Allen tu przyjeżdża?

Była to pierwsza wyraźna aluzja do stosunków łączących Jaspera z Freją. Nelson przyjął to spokojnie.

— E, Freja jest rozsądną dziewczyną — szepnął, zajęty najwidoczniej myślami o „władzach". — Freja nie jest głupia. Wcale się o to nie boję. Ten smyk, to pyszny dla niej towarzysz; Freja się z nim bawi — nic pozatem.

Przenikliwy staruszek umilkł i cisza zapanowała w bungalowie. Tamtych dwoje zabawiało się spokojnie i — bezwątpienia — rozkosznie. Nie mogli wymyśleć gry bardziej pochłaniającej i mniej hałaśliwej nad snucie planów wspólnej przyszłości. Siedzieli pewnie przytuleni do siebie na werandzie, patrząc na bryg, który odgrywał rolę trzeciego partnera w czarownej zabawie. Bez niego przyszłość przestałaby istnieć. Był całym ich majątkiem, i domem, i szerokim, swobodnym światem. Któż to porównał okręt do więzienia? Niech zawisnę haniebnie na rei, jeśli to prawda. Żagle na brygu Jaspera były białemi skrzydłami ich

miłości, szybującej gdzieś w przestworzach (należałoby to wyrazić jeszcze poetyczniej). Mam tu na myśli miłość Jaspera. Freja, jako kobieta, ujmowała całą sprawę ze strony bardziej realnej.

A Jasper żył dosłownie w zachwyceniu, począwszy od pewnej pamiętnej chwili. Siedzieli raz z Freją i patrzyli na bryg, pogrążeni w wymownem milczeniu, które jest jedynym środkiem istotnego porozumiewania się stworzeń obdarzonych mową. Jasper zaproponował wówczas Frei, aby się stała współwłaścicielką jego skarbu, a ściślej mówiąc, oddał jej swój bryg na własność. Serce jego wcieliło się w statek już począwszy od dnia, gdy kupił go w Manilli od pewnego Peruwjanina w średnim wieku, ubranego w skromny garnitur z czarnego sukna. Był to osobnik tajemniczy i wyrażający się lakonicznie. O ile mi się zdaje, musiał ukraść ten bryg na południowo-amerykańskiem wybrzeżu, gdyż twierdził, że jedzie stamtąd na Filipiny „z rodzinnych powodów". To określenie „z rodzinnych powodów" było świetnie pomyślane. Żaden prawdziwy *caballero* nie zadaje dalszych pytań po takiem oświadczeniu.

A Jasper był właśnie prawdziwym *caballero*. Bryg, pomalowany wówczas na czarno, wyglądał zagadkowo i bardzo brudno — niby klejnot morski o przyćmionym blasku, albo raczej zaniedbane dzieło sztuki. Gdyż artystą być musiał nieznany budowniczy, który wymodelował wdzięczne linje jego kadłuba z najtwardszego tropikalnego budulca, spoojnego najczystszą miedzią. Bóg jeden wie, w jakiej części świata został zbudowany. Sam Jasper niewiele się mógł dobadać o jego dotychczasowych dziejach od lakonicznego, ponurego Peruwjanina — jeśli to był doprawdy Peruwjanin, a nie sam djabeł w przebraniu, jak Jasper twierdził żartobliwie. Mojem zdaniem, statek

bardzo był stary i mógł należeć do któregoś z ostatnich korsarzy, albo i handlarzy niewolników; może swojego czasu woził lub przemycał opjum.

Bez względu na przeszłość zdrów był jak pierwszego dnia po spuszczeniu na wodę, żeglował po czarodziejsku — posłuszny sterowi niczem mała łódeczka — i — podobnie jak piękne kobiety, znane w historji z bujnego życia—zdawał się posiadać tajemnicę wiecznej młodości; nic więc dziwnego, że Jasper Allen odnosił się doń jak do kochanki. Pieczołowitość jego wskrzesiła urodę brygu w całym jej blasku. Przyoblókł go wielokrotnie w szaty z najpiękniejszej białej farby, a srodze mustrowana załoga, złożona z dobranych Malajów, stroiła go i pielęgnowała tak zręcznie, starannie i artystycznie, że najkosztowniejsza emalja, przez złotników wypieszczona, nie mogłaby piękniej wyglądać i gładszą być w dotknięciu. Wąski złocony pas ujmował wytworne kształty *Bonita* i bryg, tkwiąc na wodzie, zaćmiewał z łatwością zawodową piękność każdego jachtu, który pojawił się temi czasami na wschodnich wodach. Co do siebie, muszę zaznaczyć, że wolę pas ciemno-purpurowy na białym kadłubie. Odbija silniej od tła i jest przytem mniej kosztowny; mówiłem o tem Jasperowi, ale napróżno. Twierdził, że tylko złoto w najlepszym gatunku jest dla brygu odpowiednie i że niema ozdób dość wspaniałych na upiększenie przyszłego przybytku Frei.

Miłość do statku i miłość do dziewczyny zlały się w jego sercu tak nierozdzielnie, jak dwa drogocenne metale w jednym tyglu stopione. A że płomień był gorący, za to ręczę. Drgał w nim namiętny niepokój — gorączka czynu i porywy pragnień. Twarz Jaspera była nieco za delikatna; włosy miał kasztanowate, sfalowane na skroniach i szczupłą postać o długich członkach; żywy połysk stalo-

wych oczu i szybkie, nagłe jego ruchy przypominały mi czasem błysk miecza wyskakującego wciąż z pochwy. Dopiero gdy znalazł się w obecności dziewczyny i mógł się w nią wpatrywać, naprężenie jego nerwów ustępowało miejsca poważnej, skupionej czujności, z jaką chłonął jej słowa i najdrobniejsze poruszenia. Spokój Frei, jej stanowczość, dobry humor i panowanie nad sobą zdawały się krzepić jego serce. Może czar jej twarzy, jej głosu, jej spojrzeń działał na niego tak kojąco? Choć właściwie należy przypuszczać, że to właśnie rozpaliło jego wyobraźnię—jeśli miłość poczyna się w wyobraźni. Ale nie czuję się powołany do rozprawiania o tak wielkich tajemnicach i przychodzi mi na myśl, że zaniedbaliśmy biednego starego Nelsona, siedzącego na werandzie i wydymającego raz po raz policzki w głębokiem zatroskaniu.

Dowiodłem mu, że Jasper nie był ostatecznie tak częstym gościem w bungalowie. I on i jego bryg pracowali ciężko, krążąc po archipelagu. Na to stary Nelson odpowiedział mi tylko wysoce niespokojnym tonem:

— Mam nadzieję, że Heemskirk nie zjawi się, przynajmniej póki bryg jest w zatoce.

Masz tobie, nowy straszak — teraz znowu Heemskirk!... Można było doprawdy stracić cierpliwość — —

## II

I któż to był Heemskirk? Zaraz się przekonamy o niedorzeczności strachu przed Heemskirkiem... Nie ulega wątpliwości: ten człowiek odznaczał się wybitnie złą wolą. Rzucało się to w oczy: dość było usłyszeć jego śmiech. Nic nie zdradza snadniej ukrytych cech człowieka niż nieopanowany dźwięk jego śmiechu. Ale dalibóg! gdyby się strachać każdego złośliwego parsknięcia, niby zając pierwsze-

go lepszego szelestu, trzebaby się usunąć na pustynię, albo zamknąć w pustelni. A nawet i wówczas należałoby znosić nieuniknione towarzystwo djabła.

Atoli djabeł jest osobistością wybitną, która pamięta lepsze czasy i obracała się w najwyższych sferach niebiańskiej hierarchji; co się zaś tyczy hierarchji zwykłych, ziemskich Holendrów, Heemskirk, który w młodych latach bynajmniej wspaniałości nie zaznał, był poprostu czterdziestoletnim oficerem marynarki i nie miał żadnych specjalnych stosunków ani talentów, któremiby mógł się chełpić. Dowodził *Neptunem*, niewielkim parowcem, który pełnił wielce nudny obowiązek patrolowania po całym archipelagu, kontrolując statki kupieckie. Nie można, zaiste, nazwać tego stanowiska wybitnem. Powtarzam: był to przeciętny porucznik w średnim wieku, mający za sobą około dwudziestu pięciu lat służby i spodziewający się wkrótce przejścia na emeryturę — oto wszystko.

Nigdy nie zawracał sobie głowy tem, co się dzieje na Siedmiu Wyspach, póki się nie dowiedział z rozmów zasłyszanych w Palembangu czy Mintoku, że mieszka tam ładna dziewczyna. Ciekawość pchnęła go pewnie do wałęsania się w tamtych stronach, a gdy już raz zobaczył Freję, nabrał zwyczaju odwiedzania Siedmiu Wysp, znalazłszy się niedaleko stamtąd, o jakie pół dnia drogi.

Nie twierdzę, że Heemskirk był typowym oficerem holenderskiej marynarki. Za wielu ich znałem, aby ten niedorzeczny błąd popełnić. Miał dużą, wygoloną twarz, wielkie, płaskie policzki, opalone na bronzowo, ściśnięty między niemi nos cienki i zakrzywiony i małe, ściągnięte usta. Trochę srebrnych nici prześwitywało w jego czarnych włosach, a nieprzyjemne oczy były też prawie czarne. Miał zwyczaj rzucać bokiem zgryźliwe spojrzenia, nie odwraca-

jąc przytem głowy osadzonej nisko na krótkiej, okrągłej szyi. Gruby, okrągły tułów w ciemnej, codziennej kurtce o złotych szlifach tkwił na rozkraczonych nogach, grubych i okrągłych, odzianych w białe, drelichowe spodnie. Okrągła czaszka pod białą czapką zdawała się też niezmiernie gruba, ale dość w niej było mózgu, aby odkryć i wyzyskać złośliwie lękliwość biednego, starego Nelsona, drżącego przed wszystkiem, co mogło się wydawać najlżejszym cieniem władzy.

Wysiadłszy na przylądku, Heemskirk miał zwyczaj obchodzić każdy zakątek plantacji, jak gdyby cała posiadłość była jego własnością, i potem dopiero wchodził do bungalowu. Na werandzie zasiadał w najwygodniejszym fotelu i zostawał na drugiem śniadaniu albo obiedzie; zostawał ot tak poprostu, bez jednego słowa, nie myśląc starać się o to, by go zaproszono.

Zasługiwał na wyrzucenie za drzwi, choćby tylko za zachowanie się względem panny Frei. Gdyby był nagim dzikusem, uzbrojonym we włócznie i zatrute strzały, stary Nelson (czy też Nielsen) rzuciłby się na niego z gołemi pięściami. Ale złote szlify — i to holenderskie szlify w dodatku — wystarczały, aby przejąć staruszka przerażeniem. Pozwalał więc temu drabowi traktować siebie z pogardliwem lekceważeniem, pożerać oczyma córkę i spijać najlepsze wina z piwnicy.

Widziałem to często i raz przy sposobności spróbowałem wtrącić jakąś uwagę na ten temat. Litość mnie wzięła na widok niepokoju, jaki się pojawił w okrągłych oczach starego Nelsona. Wykrzyknął, że porucznik to jego przyjaciel i bardzo porządny człowiek. Patrzyłem na niego wciąż dość twardo, tak iż zaczął się wkońcu jąkać i wyznał, że — oczywiście — Heemskirk nie jest napozór bardzo wesołym człowiekiem, ale w gruncie rzeczy...

— Nie spotkałem tu dotychczas ani jednego wesołego Holendra — przerwałem mu. — Zresztą, nie chodzi specjalnie o wesołość, ale czy pan nie widzi, że — —

Nelson wydał się naraz tak przerażony tem, co miałem na języku, że nie odważyłem się ciągnąć dalej. Chciałem mu oczywiście powiedzieć, że ten drab leci na jego córkę. To wyrażenie ściśle rzecz określało. Nie wiem, czego się Heemskirk spodziewał i do czego się czuł uprawniony. Mogę się tylko domyślać, że albo uważał się za nieprzeparcie uroczego, albo też brał Freję za to, czem nie była, sądząc z jej ożywienia, pewności siebie i swobodnego obejścia. Ale tak się właśnie rzecz miała: leciał na tę dziewczynę. Nelson mógł widzieć to aż nadto dobrze. Tylko że wolał zamknąć oczy. I nie życzył sobie, aby o tem mówiono.

— Pragnę tylko jednego: żyć w zgodzie i spokoju z holenderskiemi władzami — wymamrotał nieśmiało.

Był nieuleczalny. Żal mi się go zrobiło i zdaje mi się doprawdy, że panna Freja także go żałowała. Przebywając w towarzystwie Heemskirka, panowała nad sobą ze względu na ojca, a robiła to — jak zresztą wszystko — z prostotą, naturalnością, nawet z humorem. Nie przychodziło jej to łatwo, bo w zalotach Heemskirka był pewien odcień zuchwałości i pogardy bardzo trudny do zniesienia. Holendrzy tej kategorji są aroganccy względem ludzi zajmujących podrzędne stanowiska, ów zaś królewski oficer uważał, że stary Nelson i Freja stoją znacznie niżej od niego pod każdym względem.

Nie mogę powiedzieć, aby mi było żal Frei. Ta dziewczyna nie należała do ludzi, biorących cośkolwiek tragicznie. Można z nią było sympatyzować i współczuć z jej trudną sytuacją, ale miało się wrażenie, że da sobie radę

w każdem położeniu. Wywoływała raczej podziw dzielnością i pogodą. Jednak gdy Jasper i Heemskirk znaleźli się razem w bungalowie, jak się to czasem zdarzało, czuło się w niej pewne naprężenie; ale nawet i wtedy nie dla każdego to było widoczne. Tylko mój wzrok potrafił wyśledzić nieznaczny cień na promienności, jaka z niej biła. Nie mogłem się raz powstrzymać i rzekłem z uznaniem:

— Słowo daję, pani jest nadzwyczajna!

Uśmiechnęła się tylko.

— Najważniejsze ze wszystkiego, żeby Jasper nie stracił równowagi — odrzekła, a w szczerem spojrzeniu, zwróconem wprost na mnie, dojrzałem prawdziwą troskę, czającą się w spokojnych głębiach oczu. — Pan mi pomoże utrzymać go w spokoju, prawda?

— Naturalnie, że musimy utrzymać go w spokoju — odparłem, rozumiejąc doskonale o co jej chodzi. — To warjat skończony, kiedy weźmie na kieł.

— O tak! — potwierdziła łagodnie, mieliśmy bowiem żartobliwy zwyczaj mówienia o Jasperze w tonie wymyślającym. — Ale obłaskawiłam go już trochę. Wcale teraz dobry z niego chłopiec.

— Swoją drogą zgniótłby Heemskirka jak karalucha— zauważyłem.

— Pewnie, że tak — szepnęła. — A to nie byłoby dobrze — dodała szybko. — Niech pan sobie wyobrazi, coby się stało z biednym tatusiem! A przytem chcę przecież zostać władczynią kochanego brygu i żeglować po tutejszych morzach, a nie wywędrować gdzieś daleko, o jakie dziesięć tysięcy mil.

— Im prędzej znajdzie się pani na brygu, aby czuwać nad nim i nad Jasperem, tem lepiej będzie — rzekłem poważnie. — Obaj potrzebują pani opieki. Nie zdaje mi się,

aby Jasper mógł wytrzeźwieć, dopóki pani z sobą nie zabierze. Pani go nie widzi, kiedy jest z panią rozłączony, tak jak ja go widuję. Żyje w bezustannem uniesieniu, które mnie wprost przeraża.

Na to uśmiechnęła się znowu, lecz prędko spoważniała. Opowiadanie o jej władzy nad Jasperem nie mogło jej być nieprzyjemne, a jednocześnie czuła się za niego do pewnego stopnia odpowiedzialna.

Wymknęła się nagle z werandy, posłyszawszy, że Heemskirk wchodzi po schodach w asyście starego Nelsona. Skoro tylko wytknął głowę nad podłogę, czarne, złe jego oczy jęły strzelać wokoło spojrzeniami.

— Gdzie jest pańska dziewczyna, Nelsonie? — zapytał takim tonem, jak gdyby był władcą wszystkich dusz na świecie. Potem zwrócił się do mnie:

— Bogini uciekła, co?

W zatoce Nelsona—jak zwykliśmy ją byli nazywać — panował tego dnia ścisk wielki. Był tam przedewszystkiem mój parowiec, dalej kanonierka *Neptun* i wreszcie bryg *Bonito*, który, jak zwykle, zarzucił kotwicę tak blisko brzegu, że — zdawałoby się — tylko trochę zręczności i miary w oku, a można będzie cisnąć kapelusz z werandy aż na starannie wyczyszczony pokład. Mosiężne okucia lśniły jak złoto; biała powłoka z lakieru połyskiwała niby atłasowa szata. Lekkie pochylenie pokostowanych masztów i wielkie reje w kant ustawione użyczały brygowi pewnej marsowej elegancji. Piękny był zaiste. Nic dziwnego, że posiadając podobny statek i miłość dziewczyny takiej, jak Freja, Jasper żył w ciągłem uniesieniu, odpowiadającem może pobytowi w siódmem niebie, ale niekoniecznie bezpiecznem na takim świecie jak nasza ziemia.

Zauważyłem ze spokojem, że mając trzech gości w do-

mu, panna Freja zajęta jest pewnie gospodarskiemi sprawami. A tymczasem wiedziałem, że poszła spotkać się z Jasperem na umówionej polance, nad brzegiem jedynego strumienia, przepływającego przez wysepkę Nelsona. Komendant *Neptuna* cisnął mi niepewne, czarne spojrzenie i roztasował się jak u siebie w domu: rzucił w bujający fotel grube, walcowate cielsko i rozpiął mundur. Stary Nelson usiadł potulnie naprzeciwko, wpatrując się niespokojnie w gościa okrągłemi oczami i wachlując się kapeluszem. Usiłowałem nawiązać rozmowę, aby czas jako tako przegawędzić; niełatwe to było zadanie wobec ponurego, rozamorowanego Holendra, który spoglądał ustawicznie od jednych drzwi do drugich i odpowiadał na moje uprzejmości szyderstwem lub mruknięciem.

Wieczór minął jednak spokojnie. Zdarza się, na szczęście, stan błogości tak wielkiej, że wyklucza uniesienia. Jasper był spokojny i w milczącem skupieniu pochłaniał wzrokiem Freję. Gdy wracaliśmy obaj na pokład naszych statków, zaproponowałem mu, że poholuję bryg nazajutrz rano. Zrobiłem to rozmyślnie, pragnąc, aby Jasper odjechał możliwie jak najprędzej. Jakoż o pierwszym brzasku zorzy minęliśmy czarną kanonierkę tkwiącą niemo i bez ruchu przy ujściu szklistej zatoki. Tymczasem słońce wspięło się z tropikalną nagłością o szerokość dwóch tarcz nad horyzontem, nim zdążyliśmy okrążyć rafy i znaleźć się nawprost przylądka. Na najwyższej skale stała tam Freja cała w bieli, podobna w swym hełmie do kobiecego wojennego posągu o różanej twarzy; przez lunetę widziałem ją bardzo dobrze. Powiewała wymownie chustką, a Jasper wdrapał się na główne ożaglenie białego, wojowniczego brygu i wywijał w odpowiedzi kapeluszem. Rozjechaliśmy się wkrótce potem; ja skierowałem się na północ, a Jasper

pożeglował na wschód z lekkim powiewem, w stronę Banjermassinu — o ile pamiętam — i jeszcze jakichś dwóch portów.

Owego spokojnego wieczoru widziałem po raz ostatni tych ludzi razem zebranych; czarownie świeżą i rezolutną Freję, starego Nelsona o naiwnie zaokrąglonych oczach, Jaspera, zapaleńca o długich członkach i szczupłej twarzy, — przedziwnie spokojnego, bo szczęśliwego bez granic pod okiem swej Frei, — wszystkich troje wysokich, jasnowłosych i niebieskookich w różnych odcieniach — a między nimi opalonego, aroganckiego Holendra, o czarnych włosach. Niższy był prawie o głowę i o tyle grubszy od każdego z nich trojga, że zdawał się stworzeniem zdolnem nadymać się dowolnie — dziwacznym okazem ludzkim z jakiejś innej planety.

Ten kontrast uderzył mnie nagle, gdy staliśmy po obiedzie na oświetlonej werandzie. Przykuwał moją uwagę przez resztę wieczoru i do dziś dnia pamiętam wrażenie śmieszne i złowrogie zarazem, jakiego wówczas doznałem.

## III

W parę tygodni później, zawinąwszy wczesnym rankiem do Singapuru z podróży na południe, zobaczyłem bryg, stojący na kotwicy ze zwykłą sobie symetrją i wyglądający tak wspaniale, jak gdyby go wyjęto przed chwilą ze szklanego pudła i puszczono delikatnie na wodę.

*Bonito* zatrzymał się w przystani niedaleko wjazdu, ja zaś posunąłem się dalej w głąb i stanąłem na zwykłem swojem miejscu, tuż naprzeciwko miasta. Zanim wstaliśmy od śniadania, sternik przyszedł mi powiedzieć, że łódź kapitana Allena się zbliża.

Zręczny jego gik pędził już wzdłuż naszego statku. W paru susach Jasper znalazł się u szczytu drabinki i jął potrząsać moją ręką w nerwowym uścisku, błyskając badawczo oczami, przypuszczał bowiem, że zawadziłem po drodze o grupę Siedmiu Wysp. Sięgnąłem do kieszeni po starannie złożoną kartkę, którą pochwycił mi z ręki bez ceremonji i uniósł na pomost, aby ją w samotności przeczytać. Odczekawszy dobrą chwilę, poszedłem za nim. Chodził tam i zpowrotem po pomoście, gdyż jego usposobienie wykluczało spokój nawet w chwili największego zamyślenia.

Na mój widok potrząsnął głową z triumfem.

— No, kochany chłopie! — zawołał — zacznę już teraz liczyć dni!

Zrozumiałem o co chodzi. Wiedziałem, że tych dwoje młodych postanowiło uciec i pobrać się bez dalszych przygotowań. Była to zaiste logiczna decyzja. Stary Nelson (czy Nielsen) nie zgodziłby się nigdy na polubowne oddanie Frei temu kompromitującemu Jasperowi. Na Boga! coby też władze holenderskie powiedziały o takiem małżeństwie! — To brzmi już doprawdy za śmiesznie, aby warto było o tem mówić. Ale niema na świecie nic bardziej egoistycznego i nieubłaganego nad bojaźliwego człowieka; który jest w strachu o swoją „niewielką posiadłość", jak stary Nelson mawiał skromnie. Serce, przeniknięte tego rodzaju lękiem, niedostępne jest zarówno rozsądkowi jak i uczuciom i nie widzi śmieszności. To krzemień.

Jasper byłby się pomimo wszystko zdobył na oświadczyny, zdecydowany jednak nie liczyć się z odpowiedzią Nelsona, ale Freja postanowiła, że nie należy nic mówić, ponieważ „tatuś zamartwiłby się na amen". Gotówby się

jeszcze rozchorować, a wówczas Freja nie miałaby serca go opuścić. Oto mamy zdrowy rozsądek kobiecy i szczerość kobiecego rozumowania. Zresztą panna Freja umiała czytać w duszy „biednego, kochanego tatusia", jak tylko kobieta w duszy męskiej czytać potrafi; był dla niej otwartą księgą. Wiedziała, że po jej ucieczce ojciec przestanie się zadręczać. Zapewne, że podniesie wielki krzyk i że nie będzie końca rozpaczliwym wyrzekaniom, ale to zupełnie inna sprawa. Męka niezdecydowania i dręcząca walka uczuć zostaną mu oszczędzone. A ponieważ zanadto jest potulny, aby wpaść we wściekłość, więc gdy minie epoka lamentów, poświęci się pracy na swojej „niewielkiej posiadłości" i utrzymywaniu dobrych stosunków z władzami.

Czas dokona reszty. I Freja rozmyślała, jak łatwo przyjdzie jej na to czekać, królując u swego domowego ogniska, władając wspaniałym brygiem i oddanym jej mężczyzną. To się dopiero nazywało życiem dla niej, która stawiała pierwsze kroki na pokładzie statku. Była dzieckiem okrętu — dziewczyną morza, jeśli taka istniała kiedy na świecie. Naturalnie, że kochała Jaspera i wierzyła w niego, ale w uczuciach jej był pewien odcień niepokoju. Bardzo to pięknie i romantycznie posiadać na własność hartowny i wierny miecz, ale zachodzi pytanie, czy owa broń jest najodpowiedniejsza do zmierzenia się z pospolitą maczugą losu.

Wiedziała, że z nich dwojga ona ma więcej odporności. Zawsze się trochę niepokoiła, kiedy Jaspera przy niej nie było, a we mnie miała wypróbowanego powiernika, który szeptał jej często: „Im prędzej, tem lepiej". Ale pannę Freję cechował pewien specjalny upór i powód jej zwlekania bardzo był charakterystyczny. „Nie wcześniej, aż skończę dwadzieścia jeden lat; nie chcę, aby ludzie myśleli, że jestem za młoda i nie wiem, co robię".

Uczucia Jaspera tak dalece były jej poddane, że nie próbował nawet nigdy sprzeciwić się wyrokowi. Uważał ją za doskonałość — cokolwiek robiła czy mówiła — i na tem koniec. Przypuszczam, że dość był na to subtelny, aby czuć się niekiedy mile pogłaskanym jej decyzją. A przytem miał na pociechę bryg, który wydawał mu się przepojony duchem Frei, odkąd miłość uświęcała wszystko, cokolwiek działo się na statku.

— Tak. Niedługo zacznę już liczyć dni — powtórzył. — Jeszcze jedenaście miesięcy. Przez ten czas muszę odbyć trzy podróże.

— Uważaj, abyś nie wlazł w kabałę, chcąc zrobić za wiele — moralizowałem. Ale przyjął moją przestrogę śmiechem i gestem pełnym uniesienia. „Nie! nic złego nie może się stać brygowi!" — krzyknął, — jak gdyby płomień serca rozjaśniał ciemne noce na morzach nie objętych mapami, a obraz Frei służył za niezawodną latarnię pośród ukrytych mielizn; jak gdyby wichry miały pracować dla jego przyszłości, a gwiazdy walczyć o nią w swym biegu; jak gdyby czarodziejska siła uczucia zdolna była rozkazać okrętowi, by żeglował po kropli rosy albo przepłynął przez ucho igielne — i to tylko dlatego, że wybranemu statkowi przypadł w udziale los wspaniały: służenie miłości pełnej takiego czaru, iż wszelkie drogi ziemskie czyniły się bezpieczne, łatwe i jaśniejące.

— Przypuszczam—rzekłem, gdy już przestał się śmiać z mojej niewinnej uwagi — przypuszczam, że dziś odjeżdżasz.

Było to właśnie jego zamiarem. Nie wyruszył o świcie, ponieważ spodziewał się ciągle, że nadjadę.

— I wyobraź sobie, co mi się wczoraj przytrafiło — ciągnął dalej.—Mój pomocnik opuścił mnie nagle, no—cóż

robić — musiał. A ponieważ niepodobna wytrzasnąć kogoś w tak krótkim czasie, więc biorę ze sobą Schultza. Osławionego Schultza! Nie wyskakujesz ze skóry? Mówię ci, że poszedłem i wynalazłem wczoraj Schultza późnym wieczorem — masę z tem miałem kłopotu. „Jestem do pańskich usług, kapitanie — mówi do mnie tym swoim cudownym głosem — ale przykro mi wyznać, że właściwie to nie mam co na grzbiet włożyć. Musiałem sprzedać całą garderobę, żeby się z dnia na dzień przeżywić". Cóż ten człowiek ma za głos! Doprawdy, że mógłby wzruszać kamienie. Ale zdaje się, że zczasem ludzie się z tem oswajają. Nigdy go przedtem nie widziałem i—słowo daję—poczułem łzy w oczach. Na szczęście już zmierzchało. Siedział spokojnie pod drzewem w tubylczej zagrodzie, cienki jak patyk; przypatrując mu się zgóry, zobaczyłem, że ma na sobie tylko starą perkalową koszulę i parę obszarpanych bawełnianych spodni. Kupiłem mu sześć białych ubrań i dwie pary białych płóciennych trzewików. Nie mogę ruszyć się z miejsca bez pomocnika. Muszę przecież mieć kogoś. Jadę teraz na ląd, żeby z nim kontrakt podpisać, a wracając, zabieram go z sobą i puszczamy się w drogę. No cóż, źle mam w głowie, co? Naturalnie, warjat ze mnie skończony. No dalejże! pozwól sobie. Rozpuść język! Tak lubię się przypatrywać, jak się irytujesz!

Ponieważ oczekiwał niezawodnie, że go zwymyślam, znalazłem szczególną przyjemność w przesadnie spokojnem zachowaniu.

— Najgorszym zarzutem, jaki można postawić Schultzowi— zacząłem obojętnym tonem, skrzyżowawszy ramiona — jest pewne niemiłe przyzwyczajenie: wykrada sprzęty z każdego okrętu, na którym się znajduje. U ciebie będzie to samo. Właściwie—to wszystko, co można mu zarzu-

cić. Nic a nic nie wierzę kapitanowi Robinsonowi, który opowiada, że Schultz zmówił się w Chantabunie z jakimiś łotrami z chińskiej dżunki, i że ukradli przednią kotwicę ze sztymborka na szkuńcu *Bohemian Girl*. Ta historja zanadto jest wysmażona. Zato opowiadanie maszynistów z *Nan-Shanu* wydaje mi się bardziej autentyczne; o północy znaleźli w maszynowni Schultza, zajętego odśrubowywaniem mosiężnych okuć, które chciał sprzedać na lądzie. Poza tą drobną słabostką — pozwól sobie powiedzieć, że Schultz jest zręczniejszym marynarzem niż wielu innych, którzy nigdy kropli wódki w ustach nie mieli — i niegorszym może człowiekiem od niektórych naszych wspólnych znajomych, choć tamci nie ukradli ani jednego pensa. Wprawdzie niebardzo wygodnie mieć go na statku, ale cóż robić, nie masz innego wyboru i Schultz musi ci wystarczyć. Trzeba przedewszystkiem zrozumieć jego psychologję. Nie dawaj mu pieniędzy, póki trwa wasza umowa. Ani centyma! — choćby cię nie wiem jak błagał. Jak Bóg na niebie: z chwilą, kiedy mu dasz pieniądze, zacznie kraść. Pamiętaj o tem.

Rozkoszowałem się zdziwieniem i niedowierzaniem Jaspera.

— Tam do djabła! — zawołał. — Nie może być! Chcesz mnie nabrać, stary!

— Wcale nie. Musisz zrozumieć psychologję Schultza. To nie jest ani włóczęga, ani wydrwigrosz. Nie ma zwyczaju wałęsać się i wypatrywać kogoś, ktoby mu postawił. Ale przypuśćmy, że wysiada na ląd z pięciu, albo — dajmy nato — pięćdziesięciu dolarami w kieszeni. Po trzecim czy czwartym kieliszku jest już wstawiony i staje się bardzo litościwy. Albo rzuca pieniędzmi naokoło, albo rozdaje je każdemu, kto zechce wziąć. Potem przychodzi

mu na myśl, że wieczór zaledwie się rozpoczął, że on i jego przyjaciele chcą pić jeszcze długo, aż do samego rana. Rusza więc wesoło na statek. Ani głowa, ani nogi nie zawodzą go nigdy w zwykłem tego słowa znaczeniu. Dostaje się na pokład i chwyta poprostu pierwszą lepszą rzecz, jaka mu się wyda odpowiednia: lampkę z kabiny, zwój lin, worek z sucharami, bańkę z oliwą — i spienięża bez żadnego wahania. Tak się to właśnie odbywa, a nieinaczej. Musisz tylko pilnować, żeby nie zaczął. To i wszystko.

— Bardzo głupia psychologja — mruknął Jasper. — Przecież człowiek o takim głosie powinien z aniołami rozmawiać. Myślisz, że jest nieuleczalny?

Odrzekłem, że tak myślę właśnie. Nikt go dotychczas nie pozywał do sądu, ale niema człowieka, którýby zgodził się dać mu zajęcie. Skończy się pewno na tem, że zamrze z głodu gdzie, w jakiejś dziurze.

— No, no — rozważał Jasper. — *Bonito* nie prowadzi handlu z żadnym portem cywilizowanym. To pomoże Schultzowi zachować równowagę.

Tak było rzeczywiście. Interesy handlowe brygu ciągnęły go ku dzikim wybrzeżom, ku nieznanym radżom mieszkającym nad prawie niezbadanemi zatokami, ku tubylczym osadom u brzegów tajemniczych rzek, rozwierających ciemne, bramowane lasami ujścia wśród bladozielonych skał i olśniewających ławic z piasku, ku cieśninom o spokojnej, lazurowej toni, mieniącej się słonecznym blaskiem. Bryg sunął samotnie zdala od znanych szlaków — wszystek biały — okrążając ciemne, groźne przylądki; wymykał się cicho jak duch z za cyplów lądu, czerniejących w świetle księżyca, albo leżał u brzegu — nito śpiący ptak morski — w cieniu jakiejś bezimiennej góry, czekając na sygnał. Ukazywał się na mgnienie w mgliste

i burzliwe dni, depcąc pogardliwie krótkie, napastnicze fale Jawajskiego morza; lub też błyskał hen, w dali — niby drobna, olśniewająco biała plamka, mknąca na tle fioletowej masy groźnych chmur, skłębionych nad horyzontem. Czasem na rzadkich traktach pocztowych, gdzie cywilizacja ociera się o dzicz i tajemnicę, nieuświadomieni pasażerowie stłoczeni wzdłuż burty wykrzykiwali, wskazując z zaciekawieniem na *Bonita;* „O patrzcie, jacht!" Wówczas kapitan Holender mruczał pogardliwie, rzucając statkowi pogardliwe spojrzenie: „Jacht? ale gdzież tam!. to tylko ten Anglik Jasper. Zwykły kupczyk".

— Więc mówisz, że to dobry marynarz—wykrzyknął Jasper, zajęty ciągle sprawą beznadziejnego Schultza o wzruszająco pięknym głosie.

— Pierwsza klasa. Spytaj się kogokolwiek. Warto go mieć na pokładzie — tylko że z innych względów jest niemożliwy — oświadczyłem.

— Będzie miał sposobność poprawić się na brygu — roześmiał się Jasper. — Tam, dokąd się wybieram tym razem, nie znajdzie pokus ani do pijaństwa, ani do kradzieży.

Nie wypytywałem o bliższe szczegóły podróży. Byliśmy z sobą bardzo zżyci i miałem dokładne wyobrażenie o ogólnym biegu jego interesów.

Gdyśmy jechali gikiem ku lądowi, odezwał się nagle:

— Czy nie wiesz przypadkiem gdzie jest Heemskirk?

Spojrzałem na niego zukosa i uspokoiłem się. Pytał nie jak kochanek, ale jak kupiec. Powiedziałem mu, com słyszał w Palembangu, że *Neptun* pełni swój obowiązek w okolicy Flores i Sumbawy. W zupełnie przeciwnym kierunku. Jasper wyraził zadowolenie.

— Czy wiesz — ciągnął dalej, — ten drab, płynąc wzdłuż wybrzeży Borneo, bawi się w wywracanie moich

znaków żeglarskich. Musiałem wbić kilka takich znaków, aby mi pomagały wjeżdżać w ujścia rzek. Na początku tego roku znajomy mój kupiec z Celebes śledził Heemskirka z pokładu tuziemczego prao, unieruchomionego z powodu ciszy. Ten gałgan przewrócił dwa znaki, jeden po drugim, najeżdżając na nie statkiem, i roztrzaskał je w kawałki. Potem spuścił łódź i wyciągnął trzeci, z którym trzy miesiące temu masę miałem kłopotu, zanim mi się udało umocnić go w pośrodku błotnistej mielizny, gdzie miał wskazywać wysokość wody. Widziałeś kiedy coś równie bezczelnego, co?

— Jabym się tam z tym drabem nie kłócił — zauważyłem od niechcenia, choć mi się ta wiadomość mocno nie podobała. — Nie warto.

— Kłócić się? — wykrzyknął Jasper. — Ani myślę. Nie chcę naruszyć jednego jedynego włoska na jego paskudnym czerepie. Mój drogi, gdy pomyślę o dniu, kiedy Freja skończy dwadzieścia jeden lat — ogarnia mnie przyjaźń dla całego świata, nie wyłączając Heemskirka. Ale bądź co bądź — to wstrętna i złośliwa zabawka.

Rozstaliśmy się na bulwarze dość śpiesznie, gdyż każdy z nas miał pilne sprawy do załatwienia. Jakże serdecznie byłbym się zmartwił, gdybym był wiedział, że ten pośpieszny uścisk ręki i słowa: „Do widzenia, stary! Szczęść ci Boże!" — że to było ostatnie nasze pożegnanie.

Gdy powrócił do Straits, już mnie nie zastał i odjechał znów przed moim przyjazdem. Usiłował odbyć trzy podróże przed dwudziestą pierwszą rocznicą urodzin Frei. W zatoce Nelsona minęliśmy się znów o parę dni zaledwie. Rozmawialiśmy z Freją o „tym szaleńcu" i „skończonym idjocie" z prawdziwą rozkoszą i wielkiem uznaniem. Była promieniejąca i weselsza jeszcze niż zwykle, mimo że roz-

stała się dopiero co z Jasperem. Ale to miała być ostatnia ich rozłąka.

— Panno Frejo, niechże pani jak najprędzej znajdzie się na brygu! — zaklinałem ją.

Spojrzała mi prosto w oczy; twarzyczkę miała różowszą niż zwykle i opromienioną uroczystym zapałem, chociaż głos jej drżał lekko.

— Zaraz na drugi dzień.

Ach tak! na drugi dzień po skończeniu dwudziestu jeden lat. Ucieszyło mnie głębokie wzruszenie, zdradzające się w jej głosie. Zdawało się, że zniecierpliwiła ją wreszcie zwłoka przez nią samą wyznaczona. Przypuszczam, że ostatnia wizyta Jaspera musiała szalę przeważyć.

— To dobrze—przytakiwałem. — Będę znacznie spokojniejszy, dowiedziawszy się, że pani wzięła już tego szaleńca pod swoją opiekę. Niech pani nie zwleka ani chwili. On się naturalnie stawi na czas — chyba, że niebo się zapadnie!

— Tak. Chyba, że... — powtórzyła w zamyśleniu, wznosząc oczy do wieczornego nieba, niesplamionego najlżejszą chmurką. Zamilkliśmy na chwilę, błądząc oczami po morzu, spoczywającem w tajemniczej ciszy, niby ułożonem ufnie do długiego, długiego snu w ciepłą noc tropikalną. A spokój wokoło nas zdawał się nie mieć końca ni granic.

Po chwili zaczęliśmy znów mówić o Jasperze zwykłym naszym tonem. Zgadzaliśmy się na to, że często bywa nadto zuchwały. Na szczęście bryg umiał sprostać zadaniu. Trudności zdawały się dla niego nie istnieć. „Najmilszy okręcik!" zawołała panna Freja i opowiedziała mi, jak spędzili raz z ojcem na brygu całe popołudnie. Jasper poczęstował ich herbatą. Tatuś był w kwaśnem usposo-

bieniu... Ujrzałem w wyobraźni starego Nelsona na pokładzie pod śnieżno-białym, płóciennym dachem, rozważającego swoje zgryzoty i wachlującego się kapeluszem. Ojciec, wyjęty żywcem z komedji... Panna Freja dała mi nowy przykład szaleństw Jaspera: oto wpadł w rozpacz, ponieważ nie mógł sobie pozwolić na zaopatrzenie wszystkich drzwi od kabin w srebrne klamki. „Jak gdybym mogła zgodzić się na coś podobnego!" dodała z wesołem oburzeniem. Zgadało się także o Schultzu i dowiedziałem się, że ten morski kleptoman o wzruszającym głosie pełni wciąż służbę na brygu za zgodą panny Frei. Jasper zwierzył się pani swego serca, że zamierza uzdrowić psychikę biedaka Zaprawdę, czuł przyjaźń dla wszystkich ludzi na świecie, ponieważ oddychali tem samem, co i Freja, powietrzem.

Wspomniałem w rozmowie o Heemskirku i przekonałem się — ku wielkiemu swojemu zdumieniu — że jego nazwisko przejmuje lękiem pannę Freję. W oczach jej odbiła się jakby troska, a jednocześnie zagryzła wargi, niby powstrzymując wybuch śmiechu. Ależ naturalnie! Heemskirk był także w bungalowie i to jednocześnie z Jasperem, tylko że przyjechał dzień później. Odpłynął tegoż dnia co i bryg, w kilka godzin po nim.

— Cóż za nieznośną piłę mieliście oboje — rzekłem z głębokiem przekonaniem.

Oczy Frei zabłysły uciechą, zmieszaną z lękiem i nagle rozległ się srebrzysty wybuch jej śmiechu:

— Ha! ha! ha!

Wtórowałem jej serdecznie, choć mniej czarującym tonem :

— Ha, ha, ha! czy on nie jest paradny? Ha, ha, ha!— A gdy uprzytomniłem sobie jeszcze pocieszne, bezmyślnie wytrzeszczone oczy starego Nelsona i srogość ich wyrazu

w połączeniu z pojednawczą uprzejmością w stosunku do porucznika, wybuchnąłem śmiechem na nowo:

— On wygląda — wykrztusiłem — wygląda — ha, ha, ha! między wami trojgiem... jak nieszczęśliwy karaluch. Ha, ha, ha!

Zaniosła się znów srebrzystym śmiechem, pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi, zostawiając mnie w szczerem zdumieniu. Przestałem się śmiać, jak uciął.

— Cóż tu takiego zabawnego? — rozległ się w połowie schodów głos starego Nelsona.

Wszedł na werandę, usiadł i wydął policzki z niesłychanie niemądrą miną. Ale już mi się śmiać odechciało.— I skąd u Pana Boga, — zapytywałem siebie — opętał nas taki śmiech nieposkromiony? — Ogarnęło mnie nagłe przygnębienie.

Ach prawda, to Freja zaczęła. Dziewczyna bardzo jest zdenerwowana. I trudno się temu dziwić.

Nie odpowiedziałem staremu Nelsonowi na pytanie, ale zanadto był zgryziony odwiedzinami Jaspera, aby to zauważyć. Zapytał mnie, czy nie zgodziłbym się dać Jasperowi do zrozumienia, że wizyty jego na Siedmiu Wyspach nie są wcale pożądane. Oświadczyłem, że to niepotrzebne. Z pewnych faktów, o których niedawno doszły mnie słuchy, nabrałem przekonania, że Jasper Allen nie będzie go więcej zanudzał w przyszłości.

Staruszkowi wyrwało się poważne: „Dzięki Bogu!" — które znów o mały włos mnie nie rozśmieszyło — mimo to jednak nie rozpogodził się odpowiednio. Zdaje się, że za ostatnią bytnością Heemskirk wysilił się specjalnie, żeby być nieprzyjemnym. Przeraził bardzo Nelsona, wyrażając złowrogie zdziwienie, jakim sposobem rząd może pozwolić, aby biały człowiek miał posiadłość w tej okolicy? „To

jest przeciwne naszej oficjalnej polityce", zauważył. Rzucił przytem staruszkowi oskarżenie, że w gruncie rzeczy nie jest niczem lepszem od Anglika. Usiłował nawet nawiązać sprzeczkę na temat, że Nelson nie uczy się po holendersku.

— Powiedziałem mu, że jestem już za stary na naukę—westchnął posępnie stary Nelson (czy Nielsen).—Na to mi odrzekł, że dawno już powinienem był się po holendersku nauczyć. Przecież mieszkam i zarabiam na życie w osadzie holenderskiej. Tak mi wprost powiedział: „To haniebne, że pan nie mówi po holendersku!" A zachowywał się grubjańsko, jak gdybym był Chińczykiem.

Widać Heemskirk musiał biedaka porządnie wydręczyć. Nelson nie wspomniał, ile butelek najlepszego czerwonego wina złożył na ołtarzu pojednania. Musiała to być obfita libacja. Ale stary Nelson (czy Nielsen) był prawdziwie gościnny. Nie skąpił niczego i żałowałem, że trwoni cnotę gościnności w stosunku do dowódcy *Neptuna*. Pragnąłem powiadomić Nelsona, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie uwolniony także i od wizyt Heemskirka. Nie zrobiłem tego wyłącznie ze względu na obawę (przyznaję, że idjotyczną) obudzenia jego podejrzeń. Jak gdyby ten naiwny ojciec z komedji zdolny był do czegoś podobnego!

Dziwnym zbiegiem okoliczności ostatnie słowa, tyczące się Heemskirka, zostały wypowiedziane przez Freję właśnie na ten temat. Przy obiedzie stary Nelson wspominał ciągle porucznika. Mruknąłem wreszcie nawpół głośno: „Do licha z tym porucznikiem". Widziałem, że dziewczyna zaczyna się też niecierpliwić.

— I nie czuł się wcale dobrze, prawda, Frejo? — skarżył się Nelson. — Może dlatego był taki zgryźliwy,

co, Frejo? Wyglądał fatalnie w chwili, kiedy nas tak nagle opuścił. Zdaje mi się, że jego wątroba musi być w bardzo złym stanie.

— Ach, nic mu nie będzie — odparła niecierpliwie Freja. — I już przestań się nim turbować, tatusiu. Bardzo być może, że przez długi czas nie będziesz go wcale widywał.

W spojrzeniu, które mi Freja rzuciła wzamian za dyskretny uśmiech, nie było tajonej wesołości. Oczy jej podkrążyły się i twarzyczka pobladła w przeciągu paru godzin. Zanadtośmy się uśmieli. Zdenerwowana była najwidoczniej, zdenerwowana bliskością decydującej chwili. Mimo całej szczerości, odwagi i wiary w swoje siły decyzja, jaką powzięła, musiała ją przejmować i uniesieniem i skruchą zarazem. Potęga miłości, która zaprowadziła ją tak daleko, wywołała w niej wielkie duchowe napięcie, nie wykluczając jednak zwykłych wyrzutów sumienia. Gdyż Freja była uczciwą — a tam, z drugiej strony stołu siedział biedny, stary Nelson (czy Nielsen), wpatrzony w nią okrągłemi oczami i tak wzruszająco śmieszny ze swoim srogim wyglądem, że mógłby przejąć współczuciem najlekkomyślniejsze serce.

Poszedł wcześnie do swego pokoju, aby ukołysać do snu wzburzone nerwy czytaniem ksiąg rachunkowych. Pozostaliśmy oboje na werandzie jeszcze blisko z godzinę, zamieniając już tylko leniwe uwagi o kwestjach bez znaczenia, jak gdybyśmy się czuli wyczerpani całodzienną rozmową na jeden jedyny ważny temat. A jednak zaszło coś, o czem powinna była powiedzieć przyjacielowi. Ale nie powiedziała. Rozstaliśmy się w milczeniu. Może podejrzewała mnie, jako mężczyznę, o wrodzony brak zdrowego rozsądku... Ach, Frejo!

Schodząc stromą ścieżką ku przystani, natknąłem się w cieniu skał i zarośli na zawoalowaną postać kobiecą, której pojawienie się przestraszyło mnie narazie. Wysunęła się nagle z za jakiejś skały. Ale zorjentowałem się natychmiast, że nie mógł to być nikt inny tylko pokojówka Frei, portugalska metyska z Malakki. Widywało się niekiedy w bungalowie jej śniadą twarz i olśniewająco białe zęby. Kilka razy przypatrywałem się zdaleka, jak siedziała w cieniu drzew owocowych, czesząc i zaplatając długie, krucze warkocze. Zdaje się, że wszystkie wolne chwile poświęcała głównie temu zajęciu. Zamienialiśmy często uśmiechy i skinienia głowy, — niekiedy i kilka słów. Ładne to było stworzenie. A raz spostrzegłem z zadowoleniem, jak stroiła śmieszne i wymowne miny za plecami Heemskirka. Słyszałem od Jaspera, że była we wszystko wtajemniczona, niby pokojówka z komedji. Miała towarzyszyć Frei w matrymonialnej eskapadzie i uczestniczyć potem w „wiecznej szczęśliwości", jaka czekała jej panią. Zastanowiło mnie, dlaczego ta dziewczyna włóczy się nocą w pobliżu zatoki? Tu mogły wchodzić w grę tylko jakieś sprawki miłosne. Ale, o ile wiedziałem, na grupie Siedmiu Wysp nie było dla niej nikogo odpowiedniego. Błysnęło mi nagle, że ja jestem mężczyzną, na którego czeka.

Zawahała się, zasłonięta od stóp do głowy, ciemna i onieśmielona. Przysunąłem się o krok bliżej, a to, co w tej chwili czułem, nic nikogo nie obchodzi.

— A co? — spytałem bardzo cicho.

— Nikt nie wie, że tu jestem — szepnęła.

— I nikt nie może nas zobaczyć — odszepnąłem.

— Tak się przestraszyłam — szeptała dalej. — W tej samej chwili rozległ się, — czterdzieści stóp nad naszemi

głowami, — nagły, wstrząsający głos Frei: z oświetlonej jeszcze werandy padło donośne, rozkazujące wezwanie:

— Antonjo!

Stłumiwszy okrzyk, dziewczyna znikła ze ścieżki. Zaszeleścił krzak w pobliżu i nastała cisza. Czekałem zaciekawiony. Światła na werandzie pogasły. Postałem jeszcze chwilę i jąłem znów schodzić ścieżką do łodzi, zaciekawiony bardziej niż kiedykolwiek.

Pamiętam tak dokładnie okoliczności towarzyszące tej wizycie, ponieważ widziałem wówczas bungalow Nelsona po raz ostatni. Przybywszy do Straits, zastałem telegramy, które sprawiły, że w jednej chwili musiałem rzucić posadę i wracać natychmiast do domu. Śpieszyłem się szalenie, aby złapać parowiec, który miał nazajutrz odpłynąć, ale mimo to znalazłem chwilę czasu i napisałem dwa krótkie bileciki: jeden do Frei, drugi do Jaspera. W jakiś czas później napisałem długi list, tym razem do Jaspera. Nie odebrałem odpowiedzi. Wówczas odgrzebałem brata Allena, mieszkającego w city londyńskiej, bladego, spokojnego, małego człowieczka, który patrzył na mnie w zamyśleniu przez okulary.

Jasper był jedynem dzieckiem z drugiego małżeństwa ojca; związek ten nie znalazł uznania u dorosłych dzieci z pierwszej żony.

— A więc od wieków nic pan o nim nie słyszał — powtórzyłem, kryjąc niezadowolenie. — Czy pozwoli mi pan zapytać, co w danym wypadku znaczy: od wieków?

— To znaczy, że wszystko mi jedno, czy jeszcze wogóle co o nim usłyszę — odparł malutki prawnik, stając się naraz antypatycznym.

Nie mogłem brać za złe Jasperowi, że nie traci czasu na korespondencję z tak nieznośnym krewnym. Ale dla-

czegóż nie napisze do mnie — wcale przyzwoitego przyjaciela, umiejącego wybaczyć długie milczenie i zrozumieć, że człowiek, przeżywający okres nieziemskiej błogości, może o wszystkiem zapomnieć. Czekałem wciąż z wyrozumiałością, ale nic nigdy nie nadeszło. I doznałem wrażenia, że wschód usunął się z mego życia bez echa, niby kamień padający w studnię niezmiernej głębokości.

## IV

Zdaje mi się, że chwalebne pobudki usprawiedliwiają dostatecznie prawie każdy postępek. Co mogłoby zasługiwać w teorji na większą pochwałę, niż postanowienie dziewczyny, że oszczędzi kłopotów „biednemu tatusiowi"; cóż godniejszego uznania od usiłowań jej, aby z drogi ukochanego usunąć każdą sposobność do popędliwego czynu, któryby mógł zagrażać wspólnemu szczęściu?

Trudno sobie wyobrazić troskliwsze i przezorniejsze postępowanie. Musimy wziąć także pod uwagę samodzielny charakter Frei i ogólną niechęć kobiet — mam na myśli kobiety rozsądne — do rozgłaszania spraw podobnych.

Wiemy już, że Heemskirk zjawił się w zatoce Nelsona wkrótce po przybyciu tam Jaspera. Widok brygu, który zarzucił kotwicę tuż pod bungalowem, był mu wysoce nieprzyjemny. Nie pomknął na brzeg lotem strzały, nim jeszcze kotwica dna sięgnęła, jak to było zwyczajem Jaspera. Przeciwnie: włóczył się po rufie, mrucząc coś pod nosem, a gdy wydał rozkaz spuszczenia łodzi, czuć było gniew w jego głosie. Istnienie Frei, porywające Ja-

spera w sfery niebiańskiego uniesienia, było dla Heemskirka źródłem tajnych męczarni i ponurych, jątrzących rozmyślań.

Mijając bryg, okrzyknął go szorstko i zapytał, czy kapitan jest na pokładzie. Schultz, elegancki i czyściutki w nieskazitelnie białem ubraniu, przechylił się przez burtę. Pytanie to wydało mu się wcale zabawne. Spojrzał żartobliwie wdół na łódź Heemskirka i odrzekł, modulując najuprzejmiej swój piękny głos:

— Kapitan Allen jest tam w bungalowie, panie komendancie.

Ale wyraz jego twarzy zmienił się nagle pod wpływem dzikiego warknięcia, którem Heemskirk przyjął do wiadomości tę informację:

— Czegóż się pan u djabła tak wyszczerzasz?

Schultz ścigał wzrokiem łódź Heemskirka i widział, jak ów, wysiadłszy na brzeg, zamiast skierować się wprost ku domowi, ruszył inną ścieżką w pole wielkiemi krokami. Trawiony żądzą Holender znalazł starego Nelsona (czy Nielsena) w suszarni, nadzorującego pilnie ludzi zajętych przygotowywaniem tytoniu, którego zbiór, choć niewielki, pierwszorzędnej był jakości. Nelson rozkoszował się nim całem sercem. Ale Heemskirk położył prędki kres temu niewinnemu szczęściu. Usiadł obok staruszka i, pokierowawszy rozmową w sposób najodpowiedniejszy dla swojego celu, doprowadził wkrótce Nelsona do tak silnego, choć tłumionego zdenerwowania, że się biedak aż potem oblewał. Była to ohydna rozmowa o „władzach". Stary Nelson usiłował się bronić i tłumaczył, że utrzymuje stosunki z angielskimi kupcami tylko poto, aby zbyć jakoś swoje produkty. Pojednawczość jego, jak zwykle, nie miała granic i to właśnie zdawało się

podniecać Heemskirka, w którym rozpętywał się coraz silniej ciężko dyszący gniew.

— A najgorszy ze wszystkich to ten Allen — warczał. — Bliski pana przyjaciel, co? Wpuścił pan w tę okolicę całą chmarę Anglików. Nigdy nie powinno się było pozwolić panu na osiedlenie się tutaj. Nigdy! Co on tu ma do roboty?

Stary Nelson (czy Nielsen), zupełnie już roztrzęsiony, oświadczył, że Jasper Allen nie jest bliskim jego przyjacielem. Nie jest nawet wogóle jego przyjacielem—wcale a wcale. Nelson kupił od niego trzy tonny ryżu dla swojej czeladzi. I to ma być dowód przyjaźni?

Heemskirk wybuchnął wreszcie, rzucając podejrzenie, które mu żarło wnętrzności:

— Aha. Ten kupczyk sprzedaje panu trzy tonny ryżu i flirtuje przez trzy dni z pańską dziewczyną. Mówię do pana jako przyjaciel. Tak być nie może! Pan siedzi tutaj tylko z łaski.

Stary Nelson był zrazu zaskoczony, ale opamiętał się dosyć prędko. Naturalnie, że tak być nie może! Jakto, Jasper?... Ostatni ze wszystkich ludzi w świecie! Dziewczyna nie dba wcale o tego smyka i wogóle jest za rozsądna, aby się w kimkolwiek zakochać. I stary Nelson wpierał z najgłębszą powagą w Heemskirka swoje przeświadczenie, że nic z tej strony nie grozi. A porucznik, choć rzucał zukosa podejrzliwe spojrzenia, skłonny był mimo to uwierzyć tym zapewnieniom.

— Co tam pan wie o tem — burknął jednakże.

— Ależ wiem doskonale — upierał się stary Nelson coraz rozpaczliwiej, usiłował bowiem zagłuszyć wątpliwości powstające we własnej duszy. — Moja jedynaczka!

w moim własnym domu! I ja miałbym nie wiedzieć! No, no, toby był ładny kawał, panie poruczniku!

— Wygląda mi na to, że flirtują zawzięcie — zauważył posępnie Heemskirk. — Pewnie są teraz razem — dodał i poczuł dojmujący ból, a usta jego, złożone do szyderskiego uśmiechu, wykrzywiły się dziwnym grymasem.

Udręczony Nelson machnął ręką. W gruncie rzeczy zgorszony był tem naleganiem i niedorzeczność Heemskirka zaczynała go nawet nudzić.

— Hm, hm. Wie pan co, panie poruczniku, niech pan pójdzie do domu i napije się przed obiadem kieliszek dżynu z kropelkami. I niech pan każe poprosić Freję. Muszę przypilnować, żeby uprzątnięto na noc tę resztę tytoniu, i przyjdę natychmiast.

Heemskirk nie pozostał nieczułym wobec tej propozycji. Odpowiadała jego skrytej tęsknocie, która jednak nie była tęsknotą za dżynem. Stary Nelson krzyknął jeszcze troskliwie wślad za nim, aby się rozgościł jak u siebie w domu; tam na werandzie stoi pudełko z cygarami.

Stary Nelson miał na myśli zachodnią werandę, która stanowiła zarazem salon i była zaopatrzona w zasłony z łupanego rattanu w najprzedniejszym gatunku. Wschodnia weranda, służąca dla osobistego użytku Nelsona, to znaczy się wydymania policzków, tudzież do innych oznak kłopotliwych rozmyślań, miała grube zasłony z żaglowego płótna. Północna zaś weranda właściwie wcale za werandę uchodzić nie mogła. Podobniejsza była do długiego balkonu. Nie miała połączenia z dwiema pozostałemi werandami i dostęp do niej był tylko od wewnątrz, przez środkowy korytarz. Wskutek tego odosobnienia stanowiła zakątek odpowiedni dla dziewczęcych rozmyślań i słów — pozbawionych napozór związku, — słów,

które, krążąc między młodzieńcem a dziewczyną, nabierają wielorakiej, nadzmysłowej treści.

Północna weranda opleciona była pnącemi roślinami. Pokój Frei doń przylegał i na niej właśnie urządziła sobie rodzaj buduaru, gdzie stały trzcinowe fotele i sofa. Na owej sofie siedzieli oboje z Jasperem tak blisko siebie, jak tylko na to pozwalała niedoskonałość tego padołu, gdzie jedno ciało nie może znaleźć się naraz w dwóch miejscach, ani też dwa ciała nie mogą znaleźć się jednocześnie w jednem i tem samem miejscu. Siedzieli tak przez całe popołudnie i nie mogę powiedzieć, żeby ich rozmowa pozbawiona była treści. W miłości Frei kryła się rozwaga i troska, aby Jasper w błogim zachwycie nie rozbił sobie serca o jakieś niepowodzenie. Dlatego też mówiła z nim zawsze trzeźwo i powściągliwie. On zaś — nerwowy i porywczy zdala od niej — w jej obecności wydawał się zawsze jakby pochłonięty namacalnością jej istnienia, tym wielkim cudem rzeczywistej, dotykalnej miłości. Był dzieckiem starego ojca i stracił wcześnie matkę; za młodzieńczych lat wygnano go na morze, aby się go pozbyć — i rzadko kiedy miał okazję doświadczać czyjejś tkliwości.

Siedząc na tej zacisznej, oplecionej listowiem werandzie, pochylił się późną wieczorną godziną do rąk Frei i całował je kolejno, a ona uśmiechała się, spoglądając na jego głowę ze współczuciem i uznaniem. W tej samej chwili Heemskirk zbliżał się od północy do bungalowu.

Antonja pełniła straż z tej strony, lecz wywiązywała się z zadania dość niedbale. Słońce już zachodziło; wiedziała, że jej młoda pani i kapitan *Bonita* mają za chwilę się rozstać. Chodziła tu i tam po mrocznym gaju z kwiatem we włosach, nucąc coś półgłosem, gdy nagle

porucznik ukazał się z za drzewa tuż przy niej. Skoczyła w bok jak spłoszona łania, lecz Heemskirk, któremu błysnęło nagłe zrozumienie roli odgrywanej przez dziewczynę, rzucił się na nią i, schwyciwszy za ramię, przycisnął grubą łapę do jej ust.

— Piśnij tylko, a kark ci skręcę.

Te dzikie słowa steroryzowały dziewczynę najzupełniej. Heemskirk dostrzegł był wyraźnie na werandzie złotą główkę Frei w bezpośredniej bliskości drugiej głowy. Powlókł nie stawiającą oporu dziewczynę okólną drogą aż do podwórza i pchnął ją z pasją w stronę bambusowych szałasów dla służby.

Antonja przywiązana była do Frei niby wierna pokojówka z włoskiej komedji, ale Heemskirk tak ją nastraszył, że bez jednego słowa rzuciła się do ucieczki przed tym grubym, krępym, czarnookim mężczyzną, który wpił w nią palce okrutne jak kleszcze. Gdy ubiegłszy dobry kawał, przystanęła, dygocąc z przerażenia, czuła mimo wszystko, że śmiech ją chwyta. Obejrzała się zdaleka i zobaczyła Heemskirka wchodzącego od tyłu do bungalowu.

Wnętrze domu podzielone było przez dwa korytarze, przecinające się w samym środku. Mijając to miejsce, Heemskirk zwrócił głowę na lewo i posiadł dowód „flirtu" tak jaskrawo sprzeczny z zapewnieniami starego Nelsona, że zachwiał się na nogach i krew mózg mu zalała. Dwie białe postacie, widzialne pod światło najdokładniej, stały w pozie nie pozostawiającej żadnych wątpliwości. Ramiona Frei otaczały szyję Jaspera. Ich twarze — jedna nad drugą, — złączone były charakterystycznie. Heemskirk szedł dalej korytarzem, dusząc się wprost od przekleństw tłoczących mu się do gardła, aż wreszcie, zna-

lazłszy się na zachodniej werandzie, zawadził naoślep o jakieś krzesło i padł na fotel, jak gdyby mu nogi podcięto. Zanadto się przyzwyczaił myśleć o Frei, jako o swojej własności. „To tak zabawiasz swoich gości — ty... ty —" myślał, rozwścieczony do tego stopnia, że nie umiał znaleźć dostatecznie haniebnego wyzwiska.

Freja usiłowała rozluźnić uścisk Jaspera i cofnęła głowę.

— Ktoś wszedł — szepnęła.

Jasper trzymał ją mocno przygarniętą do piersi i, wpatrując się zgóry w jej twarz, rzucił niedbale:

— To twój ojciec.

Freja spróbowała znów się wydostać, ale nie miała serca wręcz go odepchnąć.

— Zdaje mi się, że to Heemskirk — szepnęła.

Jasper, pławiąc się w jej oczach w spokojnym zachwycie, uśmiechnął się zlekka na dźwięk tego nazwiska

— Ten osioł przewraca zawsze moje znaki przy ujściu rzeki — mruknął. Nie przywiązywał innego znaczenia do egzystencji Heemskirka; ale Freja zapytywała siebie czy porucznik ich widział.

— Puść mnie, mały — rozkazała stanowczym szeptem. Jasper usłuchał i cofnął się o krok, wpatrując się znów w jej twarzyczkę z innego punktu widzenia. — Muszę pójść i przekonać się — postanowiła zaniepokojona. Przykazała spiesznie Jasperowi, aby, odczekawszy chwilę po jej odejściu, wśliznął się na tylną werandę i tam wypalił spokojnie papierosa, zanim się pokaże.

— Nie siedź długo dzisiaj — wydała mu jeszcze ostatnie polecenie.

Weszła na zachodnią werandę lekkim, szybkim krokiem. Mijając drzwi, rozsunęła fałdy firanek w końcu

korytarza, aby zasłonić odwrót Jaspera z altany. Heemskirk, zobaczywszy ją, zerwał się, jakby chciał się na nią rzucić. Przystanęła; skłonił się nisko i przesadnie.

Podrażniło to Freję.

— Ach, to pan, panie Heemskirk. Jak się pan miewa?

Mówiła zwykłym tonem. Nie rozróżniał wyraźnie jej twarzy w mroku głębokiej werandy. Wściekłość, jaka porwała go na widok tego co spostrzegł przed chwilą, tak była niepohamowana, że nie śmiał się odezwać, nie ufając samemu sobie. A gdy Freja dodała jeszcze z pogodą: „Tatuś zaraz wróci", jął sypać na nią w myśli ohydne wyzwiska, zanim przemówił wreszcie wykrzywionemi konwulsyjnie wargami:

— Widziałem już ojca pani. Rozmawialiśmy przy szopach. Powiedział mi kilka ciekawych rzeczy. O, tak, bardzo — —

Freja usiadła. Mignęła jej myśl: „Widział nas napewno". Nie wstydziła się wcale. Obawiała się tylko jakiejś głupiej albo niezręcznej komplikacji. Nie była w stanie zrozumieć, jak dalece Heemskirk przywłaszczył ją sobie (w myślach). Usiłowała więc nawiązać rozmowę.

— Pan wraca z Palembangu, prawda?

— Co? co takiego? Ach tak, wracam z Palembangu. Ha, ha, ha! Czy pani wie, co ojciec pani powiedział? Boi się, że nudno tu pani na wyspach.

— I będzie pan pewno krążył koło Molukków? — ciągnęła Freja, usiłując — o ileby się dało — zdobyć jakąś pożyteczną wiadomość dla Jaspera. A przytem rada była zawsze upewnić się, że setki mil dzielą tych dwóch ludzi, gdy nie mogła czuwać nad nimi.

Heemskirk burknął gniewnie:

— Tak. Koło Molukków. — Wytrzeszczył oczy w kierunku jej niewyraźnej postaci. — Ojciec uważa, że tu jest dla pani za spokojnie. Ale powiem pani coś, panno Frejo. Niema na ziemi tak spokojnego zakątka, gdzieby kobieta nie potrafiła mężczyzny na dudka wystrychnąć.

Freja pomyślała: „Nie powinnam się dać sprowokować". W tej chwili wszedł ze światłem główny służący Nelsona. Zwróciła się do niego natychmiast z obszernemi wskazówkami, gdzie ma postawić lampę, kazała przynieść tacę z dżynem i gorzką wódką i przysłać do domu Antonję.

— Muszę pana na chwilę opuścić — zwróciła się do Heemskirka.

Poszła do swego pokoju zmienić suknię. Śpieszyła się bardzo, chcąc wrócić na werandę, zanim jeszcze ojciec znajdzie się z porucznikiem. Pewna była, że potrafi pokierować zręcznie rozmową tych dwóch ludzi. Tymczasem Antonja, wciąż jeszcze przerażona i wytrącona z równowagi, pokazała swoje posiniaczone ramię, co oburzyło Freję do żywego.

— Wyskoczył na mnie z zarośli jak tygrys — opowiadała dziewczyna, śmiejąc się nerwowo ze strachem w oczach.

— Co za bydlę! — myślała Freja. — Chciał nas widocznie szpiegować. — Oburzenie jej nie miało granic, ale gdy przypomniała sobie grubego Holendra w białych spodniach — szerokich u bioder a wąskich w kostkach — jego szlify, czarną, okrągłą głowę i oczy, wytrzeszczone na nią w świetle lamp, wydało jej się to wszystko razem tak odrażająco komiczne, że nie mogła powstrzymać się od nerwowego uśmiechu. Ale zaniepokoiła się bardzo. Niedorzeczności trzech mężczyzn nie dawały jej spokoju:

gwałtowność Jaspera, obawy ojca, zaślepienie Heemskirka. Czuła wielką tkliwość dla dwóch pierwszych i postanowiła rozwinąć cały zasób kobiecej dyplomacji. Niedługo już — mówiła sobie — koniec będzie temu wszystkiemu.

Heemskirk, rozwalony w fotelu z wyciągniętemi nogami i białą czapką spoczywającą na brzuchu, smagał się swoją wściekłością, doprowadzając się do furji pełnej okrucieństwa, najzupełniej niezrozumiałej dla takiej jak Freja dziewczyny. Oparł brodę o piersi i utkwił kamienny wzrok w swoich butach. Freja śledziła go z za firanki. Nie ruszał się wcale. Był śmieszny. Ale ta zupełna nieruchomość robiła wrażenie. Cofnęła się cichutko i przekradła aż do wschodniej werandy, gdzie Jasper siedział spokojnie w ciemności, spełniając jej rozkaz jak grzeczny chłopczyk.

— Pst — syknęła. W mig znalazł się u jej boku.

— Jestem. Co tam nowego?

— To ten karaluch — szepnęła niespokojnie. Pod wrażeniem złowrogiej nieruchomości Heemskirka zdecydowała się prawie powiedzieć Jasperowi, że ich widział. Ale wcale nie była pewna, czy porucznik opowie o tem ojcu — a gdyby nawet i powiedział, to w każdym razie nie tego wieczoru. Rozstrzygnęła więc szybko, że najlepiej będzie wyprawić Jaspera możliwie prędko.

— Cóż on zrobił? — spokojnie zapytał Jasper półgłosem.

— Ach nic, nic. Siedzi tam nadąsany. Ale wiesz, jak on zawsze dręczy tatusia.

— Twój ojciec jest doprawdy nierozsądny — wypowiedział sentencjonalnie Jasper.

— Czy ja wiem — rzekła z powątpiewaniem. Co-

dzienne obcowanie z urojeniami starego Nelsona sprawiło, że coś z jego obaw przylgnęło także i do dziewczyny. — Czy ja wiem. Tatuś mówił, że boi się zostać żebrakiem na stare lata. Posłuchaj, mały, najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz jutro rano.

Jasper liczył na to, że spędzi z Freją jeszcze jedno popołudnie — kilka godzin spokojnego szczęścia z dziewczyną u boku i wzrokiem w bryg utkwionym — rozkoszując się przedsmakiem szczęśliwej przyszłości. Z milczenia jego bił zawód i Freja rozumiała to doskonale. Czuła się też zawiedziona. Ale cóż robić, rozsądek musiał być jej hasłem.

— Nie będziemy mieli chwili spokojnej z tym karaluchem łażącym naokoło domu — przekładała cichym, pośpiesznym głosem. — Więc pocóż masz zostawać? A on się nie ruszy, póki bryg tu jest. Przecież wiesz, że się nie ruszy.

— Powinno się podać go do raportu za włóczęgostwo — mruknął podrażniony Jasper, śmiejąc się zlekka.

— Pamiętaj, żebyś wyruszył o świcie, — poleciła szeptem Freja.

Nie puszczał jej, jak to zwykli czynić zakochani. Freja przemawiała mu do rozsądku, ale nie chciała wydostać się siłą z jego ramion, bo ciężko jej było go odepchnąć. Szeptał jej do ucha, trzymając ją w objęciach.

— Kiedy spotkamy się następnym razem, kiedy cię obejmę tak jak teraz — będziemy na pokładzie. Ty, i ja, i bryg — cały świat, całe życie — — Nagle wybuchnął: — Dziwię się sobie, że mogę czekać! Mam uczucie, że powinienem porwać cię teraz, odrazu. Mógłbym lecieć z tobą na rękach — wdół ścieżką — nie potykając się — nie tknąwszy ziemi — —

Milczała, zasłuchana w namiętność drgającą w jego głosie. I mówiła sobie, że jeśli szepnie najcichsze tak, jeśli tylko westchnie na znak zgody, Jasper zrobi to napewno. Potrafiłby to zrobić — nie tknąwszy ziemi. Przymknęła oczy i uśmiechnęła się w ciemności, poddając się na chwilę rozkosznemu upojeniu w opasujących ją ramionach. Ale nim mógł pomyśleć o zacieśnieniu uścisku, wyśliznęła mu się i znalazła o krok dalej, trzeźwa i opanowana.

Taką była spokojna Freja. Jednak wzruszyło ją głębokie westchnienie, które spłynęło od białej postaci Jaspera, stojącego bez ruchu.

— Dzieciak z ciebie szalony — rzekła drżącym głosem. Nagle zmieniła ton: — Niktby mnie nie mógł porwać. Nawet ty. Nie jestem dziewczyną, którą się porywa. — Biała postać Jaspera drgnęła od siły, z jaką to było wypowiedziane i Freja znów zmiękła. — Czy ci nie dosyć, że mnie — że mnie zdobyłeś? — dodała tkliwym szeptem.

Szepnął coś czule, a ona mówiła dalej:

— Obiecałam ci — powiedziałam, że przyjdę — i przyjdę z własnej, nieprzymuszonej woli. Będziesz czekał na mnie na pokładzie. Wejdę po drabince — bez niczyjej pomocy — i zbliżę się do ciebie, i powiem: oto jestem, mój mały. A potem — potem zostanę porwana. Ale żaden mężczyzna mnie nie porwie — to bryg mnie porwie! twój bryg — nasz bryg... Jakże go kocham!

Posłyszała nieokreślony jakiś dźwięk — niby westchnienie wywołane bólem czy rozkoszą—i znikła. Tam był ten człowiek na drugiej werandzie, ten czarny, zgryźliwy Holender, który mógł poróżnić Jaspera z ojcem, sprowadzić kłótnię, brzydkie słowa, a może nawet i walkę fizyczną. Co za ohyda! Ale nawet nie przypuszczając tej strasznej

ostateczności, Freja truchlała na myśl, że ma przebyć jeszcze całe trzy miesiące z biednym, dręczącym się, rozdrażnionym, narwanym i niedorzecznym człowiekiem. A gdy nadejdzie ów dzień — dzień i godzina — cóż ona pocznie, jeśli ojciec spróbuje zatrzymać ją przemocą — co jest zupełnie możliwe? Czy będzie mogła walczyć z nim dosłownie — siłą fizyczną? Ale najbardziej ze wszystkiego bała się zaklęć i rozpaczy. Czy potrafi im się oprzeć? Cóżby to było za wstrętne, ohydne, śmieszne położenie!

— Ale do tego nie dojdzie. On nic nie powie — myślała, wchodząc prędkim krokiem na zachodnią werandę. Zobaczywszy, że Heemskirk nie ruszył się wcale z miejsca, siadła na krześle blisko drzwi i patrzyła na niego. Rozwścieczony porucznik nie zmienił pozycji, tylko czapka stoczyła mu się z brzucha i leżała na podłodze. Spoglądał bokiem na Freję z pod gęstych, czarnych brwi związanych zmarszczką. To ukośne spojrzenie w połączeniu z haczykowatym nosem i otyłą, niezgrabną, rozwaloną postacią, tak niesłychanie było pocieszne w swojej ponurości, że Freja, mimo niepokoju, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wysiliła się, aby nadać temu uśmiechowi wyraz możliwie pojednawczy. Nie chciała drażnić Heemskirka bez potrzeby.

A porucznik zmiękł, widząc ten uśmiech. Nigdy mu w głowie nie postało, aby jego powierzchowność — jego, oficera marynarki i to jeszcze w uniformie — mogła wydać się śmieszną takiej dziewczynie bez żadnego stanowiska — córce starego Nelsona. Wspomnienie jej rąk, zarzuconych na szyję Jaspera, ciągle drażniło go i podniecało. „Ty dziewko!"—myślał — „aha, teraz się śmiejesz! Więc to tak sobie czas uprzyjemniasz! A nabrać ojca potrafisz

aż miło. Smakuje ci taka zabawa, co? No więc — zobaczymy —"

Nie zmienił pozycji, ale na ściągniętych jego ustach pojawił się także uśmiech pełen cierpkiego i złowrogiego podniecenia, a oczy powróciły znów do kontemplacji butów.

Freja zawrzała oburzeniem. Siedziała promiennie jasna w świetle lampy; silne jej, kształtne ręce leżały na kolanach jedna na drugiej... „Wstrętna kreatura" — pomyślała. Twarz jej zabarwiła się od nagłego gniewu.

— Nastraszył pan moją pokojówkę wprost do nieprzytomności — rzekła głośno. — Co pana napadło?

Tak głęboko pochłonięty był myślą o niej, że dźwięk głosu, wymawiającego te nieoczekiwane słowa, przestraszył go niezmiernie. Poderwał głowę i spojrzał z takiem oszołomieniem, że Freja dodała niecierpliwie:

— Mówię o Antonji. Pan zgniótł jej ramię. Dlaczego?

— Czy pani chce się ze mną kłócić? — spytał niewyraźnie z pewnem zdumieniem. Mrugał przytem oczami jak sowa. Był śmieszny. Freja, podobnie jak wszystkie kobiety, bardzo była wrażliwa na zewnętrzną śmieszność.

— No nie; nie zdaje mi się — — Nie potrafiła się opanować. Zaniosła się śmiechem, jasnym, nerwowym śmiechem, do którego przyłączył się nagle Heemskirk w chrapliwym wybuchu: „Ha, ha, ha!" —

Głosy i kroki rozległy się w korytarzu i Jasper pojawił się w towarzystwie Nelsona. Staruszek spojrzał z uznaniem na córkę; lubił widzieć porucznika wprawionego w dobry humor. I zawtórował również przyjaznym śmiechem. „No, poruczniku, zabierajmy się do obiadu!" — rzekł, zacierając wesoło ręce. Jasper podszedł wprost

do balustrady. Niebo usiane było gwiazdami, a granatowa, aksamitna noc powlekła zatokę gęstą czernią, w której światła kotwiczne brygu i kanonierki połyskiwały czerwono, niczem zawieszone iskry. „Następnym razem — kiedy światło kotwiczne błyśnie tam wdole, będę czekał na nią na pokładzie — — I przyjdzie, i powie mi: oto jestem" — myślał Jasper; a serce zdawało się rosnąć mu w piersi i nabrzmiewać takim bezmiarem szczęścia, że omal krzyk mu się z ust nie wydarł. Wiatr ucichł Ani jeden liść nie poruszył się wdole pod Jasperem i nawet morze było tylko cichym nieżalącym się cieniem. Hen, daleko, na bezchmurnem niebie, blada błyskawica, upalna błyskawica zwrotników, igrała drżąco pośród niskich gwiazd w krótkich, nikłych błyskach, związanych tajemniczem następstwem — niby niezrozumiałe sygnały z jakiejś odległej planety.

Obiad minął szczęśliwie. Freja siedziała naprzeciw ojca, spokojna choć blada. Heemskirk udawał, że zwraca się tylko do Nelsona. Zachowanie Jaspera było wzorowe. Panował nad wzrokiem, pławiąc się w poczuciu bliskości Frei, jak ludzie pławią się w słońcu, nie patrząc na niebo. A wkrótce po obiedzie oświadczył, pamiętny na otrzymane wskazówki, że czas mu już wracać na pokład.

Heemskirk nie podniósł oczu. Siedział w bujającym fotelu i, zaciągając się cygarem, zdawał się obmyślać cierpko jakiś ohydny wybuch. Tak się przynajmniej zdawało Frei. Stary Nelson rzekł do Jaspera: „Przejdę się z panem". Pod koniec obiadu rozpoczął zawodową rozmowę o niebezpieczeństwach czyhających wzdłuż wybrzeży Nowej Gwinei i miał ochotę opowiedzieć Jasperowi jakąś swoją przygodę z „tych tam" okolic. Jasper był takim dobrym słuchaczem! Freja zrobiła ruch, jak gdyby im

chciała towarzyszyć, ale ojciec zmarszczył się, potrząsnął głową i skinął znacząco w stronę nieruchomego Heemskirka, który, wysunąwszy wargi, wydmuchiwał dym ze zmrużonemi oczami. Nie można zostawić porucznika samego. Jeszcze się obrazi.

Freja poddała się tym znakom. „Może to i lepiej, że zostanę" — myślała. Kobiety nie są wogóle skłonne do zastanawiania się nad swojemi postępkami, a jeszcze mniej do ich potępienia. Skomplikowane niedorzeczności mężczyzn wpłynęły decydująco na niewieścią etykę. Jednak spojrzawszy na Heemskirka, Freja uczuła żal a nawet wyrzuty sumienia. Gruby jego tułów, spoczywający nieruchomo, nasuwał pojęcie obżarstwa, lecz w rzeczywistości porucznik zjadł bardzo mało. Dużo zato wypił. Mięsiste końce jego wielkich, brzydkich uszu o głęboko pofałdowanych brzegach były purpurowe. Paliły się wprost płomieniem w sąsiedztwie płaskich i wybladłych policzków. Długi czas nie podnosił ciężkich brunatnych powiek. Czuć się zdanym na łaskę i niełaskę takiej kreatury było poniżające; i Freja, która koniec końców zawsze umiała zdobyć się na szczerość wobec samej siebie, pomyślała z żalem: „Ach, czemuż nie postępowałam z tatusiem otwarcie od samego początku! Ale cóżby mnie wtedy za niemożliwe życie czekało!" — Tak. Mężczyźni bywają niedorzeczni w przeróżny sposób: miły, jak Jasper; niemożliwy, jak jej ojciec; to znów ohydny, jak ta śmieszna postać, rozciągnięta w fotelu. Czy dałoby się przemówić mu do rozsądku? A może to zbyteczne? „Ach, nie mogę się zdobyć na odezwanie się do niego!" myślała. A gdy Heemskirk, wciąż na nią nie patrząc, jął gasić stanowczym ruchem nawpół wypalone cygaro, przyciskając je do tacy z kawą, zaniepokojona Freja przysunęła się do pianina,

otwarła je w najwyższym pośpiechu i uderzyła o klawisze, nim jeszcze zdołała usiąść.

Hałaśliwy, mętny rezonans wypełnił w mgnieniu oka i werandę i cały drewniany bungalow nie wysłany dywanami i wzniesiony na słupach. A jednak skroś te dźwięki Freja słyszała i czuła na podłodze ciężkie, skradające się kroki porucznika, chodzącego tam i zpowrotem za jej plecami. Nie był właściwie pijany, ale czuł się dostatecznie podniecony, aby podszepty rozgorączkowanej wyobraźni uznać za wykonalne, a nawet pełne zręczności; wspaniałej, bezwzględnej zręczności. Freja, świadoma tego, że Heemskirk stoi tuż za nią, grała wciąż, nie odwracając głowy. Grała z werwą i rozmachem jakiś burzliwy utwór, lecz posłyszawszy głos Heemskirka, zlodowaciała do szpiku kości. Głos zmroził ją, nie zaś słowa. Bezczelna poufałość tonu przeraziła ją do tego stopnia, że nie mogła narazie zrozumieć, co Heemskirk do niej mówi. Przytem wymawiał słowa bardzo niewyraźnie.

— Podejrzewałem... Naturalnie, że podejrzewałem panią o różne sprawki. Nie jestem dzieckiem. Ale między podejrzeniami a naocznym dowodem — naocznym, rozumie pani — jest jeszcze olbrzymia różnica. Coś podobnego... Jakże! Przecież się nie jest z kamienia. A gdy mężczyzna tak był dręczony przez dziewczynę, jak ja przez panią, panno Frejo — na jawie i we śnie — to naturalnie, że... Ale ja jestem człowiekiem wytrawnym. Pani nudzi się pewno na tych wyspach... Panno Frejo, czy pani nie przerwie tego przeklętego grania?

Te ostatnie słowa były jedynemi, które doprawdy zrozumiała. Potrząsnęła przecząco głową i z rozpaczą nacisnęła głośny pedał, ale mimo to dźwięki pianina nie potrafiły zagłuszyć podniesionego głosu Heemskirka.

— Dziwię się tylko, że pani... Przecież to angielski handlujący szyper, taki sobie młodzik. Ta pospolita, bezczelna zgraja zaśmieca wszystkie wyspy. Jabym tam zrobił prędki koniec z takiem gałgaństwem. Ma pani przecież u boku oddanego przyjaciela, który gotów jest panią ubóstwiać, leżeć u pani nóżek — u ślicznych pani nóżek — i to oficera, człowieka z dobrej rodziny. Jakie to dziwne, prawda? Ale co tam! Pani godna jest księcia.

Freja nie odwróciła głowy. Twarz jej stężała ze zgrozy i oburzenia. Ta historja przeszła wszystko, co była w stanie sobie wyobrazić. Zerwać się i uciec nie leżało w jej charakterze. Zdawało się jej przytem, że, jeśli się poruszy, stanie się coś niesłychanego. Za chwilę wróci ojciec i tamten będzie musiał przestać. Najlepszy sposób, to udawać, że się nic nie słyszy — nic a nic. Grała w dalszym ciągu głośno i poprawnie, jak gdyby była sama, jak gdyby Heemskirk wogóle nie istniał. Zirytowało go to zachowanie.

— No, no! niech sobie pani oszukuje ojca — wrzasnął gniewnie, — ale ja się nie dam na głupca wystrychnąć! Dość tego piekielnego hałasu... Frejo... Hej, Frejo! ty skandynawska bogini miłości! przestań! czy mnie słyszysz? Oto czem jesteś! — boginią miłości. Ale pogańskie bożki to tylko djabły w przebraniu — i ty tem jesteś właśnie — chytrym, małym szatankiem! Przestań, mówię ci, bo porwę cię z tego krzesła!

Stojąc za nią, pożerał wzrokiem całą jej postać — od złocistej głowy zastygłej w nieruchomości, do obcasów zgrabnych trzewików; chłonął zarysy kształtnych ramion i giętkie linje pięknej kibici, chwiejącej się nieco nad klawiaturą. Miała na sobie leciutką suknię z rękawami sięgającemi łokci i zakończonemi koronką. Jedwabna wstąż-

ka opasywała jej stan. W przystępie nieodpartej, zuchwałej nadziei objął obiema rękami ten stan — i drażniąca muzyka urwała się wreszcie. Ale, mimo że Freja odskoczyła natychmiast (okrągły taburet przewrócił się z trzaskiem), wargi Heemskirka, wyciągnięte ku jej karkowi, zdążyły wycisnąć pożądliwy, głośny pocałunek tuż pod uchem. Zapanowała głęboka cisza. Wreszcie Heemskirk zaśmiał się dość słabo.

Zbiła go z tropu jej biała, niema twarz i wielkie, jasno-fiołkowe oczy, patrzące weń z osłupienia. Nie wymówiła ani słowa. Stała naprzeciw niego, chwyciwszy wyciągniętą ręką za róg pianina. Drugą ręką tarła wciąż machinalnie i uporczywie miejsce, którego dotknęły jego wargi.

— Cóż się takiego stało? — rzekł obrażony. — Przestraszyłem panią? No, no! tylko bez tych komedyj! Chyba mi pani nie powie, że się pani tak boi pocałunków... Już ja wiem dobrze. I nie myślę stać i gapić się tylko.

Patrzył w jej twarz z tak silnem natężeniem, że przestał ją widzieć wyraźnie. Wszystko naokoło niego było trochę mgliste. Zapomniał o przewróconym taburecie, zawadził o niego nogą i pochylił się nieco naprzód, mówiąc przymilnym tonem:

— Doprawdy, ze mną można się wcale nieźle zabawić. Zacznijmy na próbę od paru pocałunków.

Nie powiedział nic więcej, gdyż uczuł straszliwy wstrząs głowy, połączony z odgłosem jakby wystrzału. Freja zamierzyła się krągłem, silnem ramieniem z taką siłą, że uderzenie jej dłoni o płaski policzek Heemskirka zmusiło go do półobrotu. Wydał słaby, ochrypły krzyk i przycisnął obie ręce do lewej strony twarzy, która przybrała nagle ciemno-ceglastą barwę. Freja stała wypro-

stowana; fiołkowe jej oczy pociemniały, ręka paliła ją od uderzenia, a na ustach zarysował się jak gdyby hamowany uśmiech, ukazując błysk białych zębów. Ciężkie, szybkie kroki ojca rozległy się na ścieżce pod werandą. Z twarzy Frei znikła wojowniczość; zastąpiło ją głębokie zatroskanie. Żal jej było ojca. Schyliwszy się szybko, podniosła taburet, jakby pragnąc zatrzeć ślady... Ale to się na nic nie przydało. Stała znów w poprzedniej pozie, z ręką opartą o pianino, gdy stary Nelson pojawił się u szczytu schodów.

Biedny ojciec! jaki zagniewany będzie i jaki przygnębiony! A potem ten nieustanny lęk i troska! Dlaczegóż mu odrazu wszystkiego nie powiedziała? Jego okrągłe, naiwne oczy pełne zdumienia dotknęły ją do żywego. Ale nie patrzył na nią. Skierował wzrok na Heemskirka, który stojąc do niego tyłem z rękami przytkniętemi wciąż do twarzy, syczał przez zęby przekleństwa i (widziała go z profilu) wytrzeszczał na nią jadowicie czarne, złe oko.

— Co się stało? — zapytał z osłupieniem stary Nelson.

Nie odpowiadała. Przyszedł jej na myśl Jasper tam na pokładzie, wpatrzony w jaśniejący bungalow — i ogarnęła ją trwoga. Całe szczęście, że przynajmniej jeden z nich jest na statku i nie będzie bróździł. Pragnęła tylko, aby Jasper znalazł się gdzieś o sto mil. A jednak nie była pewna, czy pragnie tego rzeczywiście. Gdyby tajemniczy jakiś poryw przywiódł go w tej chwili na werandę, rzuciłaby na cztery wiatry swoją wolę, swoją stanowczość, swoje opanowanie i schroniłaby się w jego ramionach.

— Co to jest? Co to jest? — dopytywał się stary Nelson, nie domyślając się niczego; zaczynał się już na dobre denerwować. — Dopiero co grałaś jakąś melodję, a teraz —

Freja, niezdolna wymówić ani słowa z trwogi przed

tem, co może nastąpić (była przytem pod wrażeniem czarnego, złego, błyszczącego oka) kiwnęła lekko głową w stronę porucznika, jakby chciała powiedzieć: „Spójrz tylko na niego!"

— No tak, właśnie — wykrzyknął stary Nelson. — Przecierz widzę. Cóż u Pana Boga —

Zbliżył się ostrożnie do Heemskirka, który wybuchnął nagle potokiem bezładnych przekleństw, tupiąc w miejscu obiema nogami. Zniewaga jakiej doznał, wściekłość udaremnionego zamiaru, śmieszność, na którą się naraził i niemożebność zemsty przyprawiły go o takie szaleństwo, że nie mógł się powstrzymać od wycia z wściekłości.

— O, o, o! — wył, tupiąc w werandę, jakby chciał przebić nogą podłogę za każdem uderzeniem.

— Co się stało, skaleczył się w twarz? — pytał ze zdziwieniem stary Nelson. Nagle prawda błysnęła w jego naiwnym umyśle. — Ach Boże! — krzyknął oświecony — przynieś trochę wódki, prędko, Frejo... Więc na to pan cierpi, panie poruczniku? Szatański ból, prawda? Wiem, wiem! Nieraz mi się dawniej zdarzało, że nagle szalałem... Frejo, a przynieś także buteleczkę laudanum z apteczki. Prędko!... czy nie widzisz, że zęby go bolą?

I zaiste, jakież inne wyjaśnienie mogło przyjść do głowy dobrodusznemu, staremu Nelsonowi na widok tego policzka piastowanego w obu rękach, tych dzikich spojrzeń, tego warjackiego wymachiwania całem ciałem? Trzeba było nadnaturalnej przenikliwości, aby trafić na właściwą przyczynę. Freja ani drgnęła. Śledziła czarny wzrok Heemskirka, dziki i badawczy, skierowany na nią ukradkiem. „Aha, chcesz abym cię ułaskawiła!" rzekła do siebie w myśli. Patrzyła na niego nieugięcie, rozmyślając nad tem. Pokusa, aby skończyć ze wszystkiem bez dalszych

powikłań, była wręcz nieodparta. Kiwnęła niepostrzeżenie głową na znak zgody i wysunęła się z werandy.

— Prędko, prędko tę wódkę! — krzyknął za nią stary Nelson, gdy znikła w korytarzu.

Heemskirk dał nagłą folgę głębszym uczuciom, śląc za nią grad przekleństw angielskich i holenderskich. Rozszalał się aż do dna i miotał się po całej werandzie, kopiąc krzesła stojące po drodze; zaś stary Nelson (czy Nielsen), którego współczucie głęboko było poruszone temi dowodami wściekłego bólu zębów, krążył naokoło swojego drogiego (i groźnego) porucznika, kłopocąc się jak stara kwoka.

— Boże drogi, Boże drogi! Tak strasznie pana boli? Wiem dobrze, co to jest. Zdarzało się nieraz, że wystraszyłem tak moją biedną żonę. Czy pana to często chwyta, panie poruczniku?

Heemskirk zepchnął go z drogi z wściekłością i buchnął krótkim, warjackim śmiechem. Gospodarz zachwiał się, ale niczego nie brał za złe gościowi; człowiek, nie posiadający się ze straszliwego bólu zębów, nie odpowiada za swoje postępki.

— Niech pan przejdzie do mojego pokoju, panie poruczniku — poddawał nagląco. — Niech się pan położy na mojem łóżku. W tej chwili dam panu coś, co panu ulgę przyniesie.

Chwycił za ramię biedną ofiarę i podprowadził aż do samego łóżka, na które Heemskirk rzucił się z taką siłą w nowym napadzie furji, że odbił się od materaca na wysokość całej stopy.

— Boże mój! — wykrzyknął przerażony Nelson i pobiegł natychmiast po wódkę i laudanum, oburzony, że nikt

nie śpieszy z pomocą, aby ulżyć torturom cennego gościa. Wreszcie sam przyniósł lekarstwa.

W pół godziny później stał w korytarzu, zaskoczony jakiemiś słabemi, spazmatycznemi dźwiękami tajemniczej natury — pośredniemi między śmiechem a łkaniem. Zmarszczył się, poszedł wprost do pokoju córki i zastukał.

Freja uchyliła drzwi, ukazując bladą twarzyczkę okoloną wspaniałemi włosami, które spływały falą po granatowym szlafroku.

Światło w pokoju było przyćmione. Antonja, przycupnięta w kącie, kiwała się wtył i naprzód, wydając słabe jęki. Stary Nelson nie znał się na różnych rodzajach kobiecego śmiechu, ale był pewien, że śmiano się w tym pokoju.

— Bez serca jesteś, bez serca! — rzekł ze srogiem niezadowoleniem. — Co widzisz zabawnego w cierpiącym człowieku? Zdawałoby się, że kobieta — że młoda dziewczyna — —

— Taki był śmieszny — szepnęła Freja, której oczy połyskiwały dziwnie w półcieniu korytarza. — A przytem — widzisz, tatusiu, ja go nie lubię — dodała niepewnym głosem.

— Śmieszny! — powtórzył stary Nelson, zdumiony tym objawem zatwardziałości w tak młodem stworzeniu. — Nie lubisz go! Chcesz przez to powiedzieć, że ponieważ go nie lubisz, więc — — Przecież to wprost okrutne! Czy nie wiesz, że to prawie najgorszy ból ze wszystkich jakie istnieją? Stwierdzono, że psy wściekają się od tego.

— Wyglądał doprawdy, jak gdyby się wściekł — rzekła Freja z wysiłkiem, niby walcząc z jakąś ukrytą myślą.

Ale ojciec już się rozpędził.

— Wiesz, jaki on jest. Wszystko zauważy. Gotów

obrazić się za najmniejszą drobnostkę — prawdziwy Holender — a ja chcę utrzymać z nim dobre stosunki. Trzeba zdać sobie z tego sprawę, moje dziecko; jeżeli ten nasz radża palnie jakieś głupstwo — a wiesz jaki on grymaśny i nieukrócony — i jeśli władze wbiją sobie w głowę, że miałem zły wpływ na niego — znajdziesz się bez dachu nad głową — —

— Co za brednie, tatusiu! — zawołała Freja niebardzo pewnym tonem i zrobiła odkrycie, że ojciec jest rozgniewany — rozgniewany do tego stopnia, iż gotów się imać ironji; tak! stary Nelson (czy Nielsen) i ironja! a właściwie słabe jej przebłyski.

— To jest... naturalnie, jeśli posiadasz własne środki — jakiś dom czy plantację, o których ja nic nie wiem — — Ale niezdolny był do ironji na dłuższą metę. — Mówię ci, że chcą mnie stąd wyrzucić — wyszeptał gwałtownie — naturalnie bez odszkodowania. Znam dobrze tych Holendrów. A porucznik to właśnie człowiek, który potrafi piwa nawarzyć. Jest zaufanym wpływowych urzędników! Nie chciałbym go zanic obrazić — zanic — za żadne skarby świata... Co mówisz?

Usłyszał tylko nieokreślony wykrzyk. Jeśli Freja miała kiedykolwiek niewyraźny projekt powiedzenia o wszystkiem ojcu, zrezygnowała z niego w tej chwili. Wydało jej się to niepodobieństwem zarówno ze względu na godność osobistą Nelsona, jak i na spokój jego biednego umysłu.

— Ja sam też niebardzo go lubię — wyznał półgłosem stary Nelson z tłumionem westchnieniem. — Ulżyło mu teraz — dodał po chwili milczenia. — Zostawiłem go na noc w mojem łóżku. Będę spał w hamaku na werandzie. Nie! nie mogę powiedzieć abym go lubił; ale od tego dale-

ko jeszcze do wyśmiewania się z człowieka, który szaleje z bólu. Zdumiała mnie twoja nieczułość, Frejo. Ta strona jego twarzy zupełnie jest spuchnięta.

Barki Frei drgnęły konwulsyjnie pod rękami Nelsona, obejmującemi ją po ojcowsku. Sterczące, sztywne jak drut wąsy musnęły jej czoło na dobranoc. Zamknęła drzwi i,znalazłszy się na środku pokoju, pozwoliła sobie wreszcie na śmiech — śmiech ciężki i pełen znużenia.

— Spuchnięty! Trochę spuchnięty! — powtarzała. — Spodziewam się, że jest spuchnięty. Trochę — —

Rzęsy jej były mokre. Antonja pojękiwała i chichotała w swoim kącie i niepodobna było rozeznać, gdzie kończy się chichot i rozpoczynają jęki.

I pani i służąca uległy napadowi histerycznej wesołości, gdyż Freja, uciekłszy do swego pokoju, znalazła tam Antonję i wszystko jej opowiedziała.

— Zemściłam się za ciebie! — wykrzyknęła.

A potem śmiały się, płacząc, i płakały, śmiejąc się, wśród ciągłych przestróg Frei: „Szszsz! nie tak głośno! uspokój się!" Antonja znów powtarzała: „Tak się boję! to zły człowiek!"

Antonja bała się bardzo Heemskirka. Bała się go z powodu jego wyglądu: z powodu jego oczów, i brwi, i ust, i nosa, i rąk, i nóg. Trudno o bardziej uzasadnione przyczyny. A uważała go za złego człowieka, ponieważ w jej oczach wyglądał na złego. Decydujący powód do ustalenia opinji. W ciemnościach pokoju, oświetlonego tylko nocną lampką u wezgłowia Frei, służąca wypełzła ze swego kąta i przypadła do nóg pani, szepcąc błagalnie:

— Tam jest bryg. Kapitan Allen. Uciekajmy natychmiast — ach, uciekajmy! Tak się boję! Uciekajmy, uciekajmy!

— Ja! uciekać! — pomyślała Freja, nie patrząc na strwożoną dziewczynę. — Nigdy!

I nieugięta pani, leżąca pod siatką od moskitów, i strwożona pokojówka, zwinięta w kłębek na macie u stóp łóżka, nie spały dobrze tej nocy. Tym, który oka nie zmrużył, był porucznik Heemskirk. Leżał nawznak, patrząc mściwie w ciemność. Jątrzące wizje i upokarzające rozmyślania zmieniały się kolejno w jego umyśle, utrzymując i podsycając jego gniew. Ładna anegdotka do rozpowiadania! Ale nie można dopuścić, aby się rozpowszechniła. Zniewagę trzeba połknąć w milczeniu. Rozkoszna historja! Oszukany, wodzony za nos i spoliczkowany przez tę dziewczynę — a prawdopodobnie okpiony także przez jej ojca. Ale chyba nie. Nelson był tylko drugą ofiarą tej bezwstydnej dziewki, tej bezczelnej kokietki, tej przebiegłej, śmiejącej się, całującej, kłamiącej...—

— Nie; ten nie oszukiwał mnie rozmyślnie — rozpamiętywał udręczony porucznik. — Ale mimo to chętniebym mu odpłacił za to, że jest takim głupcem — —

Może kiedyś, później. Jedno było bezwzględnie pewne: postanowił wymknąć się niepostrzeżenie z domu wczesnym rankiem. Zdawało mu się, że gdyby był zmuszony spojrzeć w twarz tej dziewczynie, oszalałby z wściekłości.

— Piekło i potępienie. Do stu szatanów! Zatchnę się tu przed ranem! — pomrukiwał, leżąc sztywno nawznak w łóżku starego Nelsona i robiąc piersiami dla schwytania tchu.

Wstał o świcie i jął ostrożnie drzwi uchylać. Zaniepokoił go lekki szmer w korytarzu; pozostając w ukryciu, zobaczył, że Freja wychodzi ze swego pokoju. Ten nieoczekiwany widok pozbawił go wszelkich sił i nie pozwolił mu

oderwać się od szpary we drzwiach. Była to wąziutka szparka, ale można było przez nią spojrzeć aż na koniec werandy. Freja skierowała się tam szybko, aby zobaczyć bryg przepływający obok przylądka. Miała na sobie ciemny szlafrok i była boso, ponieważ — zasnąwszy nad samem ranem — wyskoczyła z łóżka naoślep, bojąc się, że przybiegnie za późno. Heemskirk nigdy jej takiej nie widział; włosy zczesane gładko z kształtnej główki zwisały na plecach w jednym, ciężkim warkoczu, a wygląd jej dziwnie był młody, pełen siły i zapału. Heemskirk zdumiał się, a potem zgrzytnął zębami. Nie był w stanie w twarz jej spojrzeć. Mruknął przekleństwo i przyczaił się za drzwiami.

— Ah! — odetchnęła Freja cicho i głęboko, ujrzawszy bryg dążący już w swoją stronę, i sięgnęła po lunetę Nelsona, leżącą na wysoko przybitej półce. Szeroki rękaw szlafroka zsunął się, odkrywając ramię aż do pleców. Heemskirk zacisnął ręce na klamce, jak gdyby ją chciał skruszyć, z uczuciem człowieka, który wstał przed chwilą od stołu po całonocnej pijatyce.

A Freja wiedziała, że ją śledzi. Wiedziała o tem. Wchodząc na korytarz, dostrzegła, że drzwi się poruszyły. Z gorzkiem szyderstwem, z pogardą pełną triumfu czuła na sobie jego oczy.

— Jesteś tam — myślała, nastawiając lunetę. — Dobrze — więc patrz teraz!

Zielone wysepki wydawały się czarnemi cieniami, popielate morze gładkie było jak szkło; jasna szata bezbarwnej jutrzenki — wobec której nawet bryg wyglądał mroczno — opromieniła się na wschodzie świetlanym rąbkiem. Wypatrzywszy na pokładzie Jaspera, stojącego z lunetą skierowaną ku bungalowowi, Freja odłożyła szkła i unio-

sła nad głową przepyszne ramiona. Stała tak spokojnie — niby wcielenie najbardziej porywającego krzyku — rozgorzała ubóstwieniem Jaspera, bijącem ku jej postaci objętej szkłem lunety. Podniecało ją także odczucie złej namiętności i świadomość, że palący, pożądliwy wzrok wpija się w jej plecy. Porwana miłością, pełna tajemniczej wiedzy o męskiej naturze — wiedzy, która niejako wrodzona jest kobietom — rozmyślała kapryśnie:

— Patrzysz! chcesz patrzeć, musisz patrzeć! A więc zobaczysz jeszcze coś więcej.

Przycisnęła obie ręce do ust, potem wyprężyła je nagle, śląc pocałunek poprzez morze, jak gdyby pragnęła cisnąć zarazem i serce na pokład brygu. Twarz jej zaróżowiła się, oczv błyszczały. Powtarzała raz po raz swój gest namiętny, rzucając setki pocałunków — jeszcze, i jeszcze — a tymczasem wschodzące słońce przyniosło światu wspaniałą krasę barw: wysepki nasiąkły zielenią, morze — błękitem, a bryg wdole bielą — olśniewającą bielą rozpostartych skrzydeł — tylko czerwona flaga spływała jak płomyk ze szczytu. Za każdym pocałunkiem Freja szeptała coraz głośniej: „Weź to — i to — i to jeszcze" — wreszcie ramiona jej nagle opadły. Ujrzała, że flaga pochyla się w odpowiedzi, a w następnej chwili kadłub statku skrył się za przylądkiem. Wówczas odwróciła się od balustrady, przeszła zwolna — ze spuszczonemi powiekami i zagadkowym wyrazem twarzy — obok drzwi od pokoju ojca i znikła za firanką.

Ale zamiast iść dalej korytarzem, przyczaiła się w ukryciu po drugiej stronie, aby śledzić co teraz nastąpi. Szeroka, zastawiona meblami weranda pozostała czas jakiś pusta. Potem drzwi od pokoju starego Nelsona otworzyły się nagle i Heemskirk wyszedł, potykając się. Włosy

miał potargane, oczy nabiegłe krwią; jego nieogolona twarz wyglądała bardzo ciemno. Rozejrzał się dziko, spostrzegł na stole swoją czapkę, chwycił ją i skierował się ku schodom spokojnym, ale dziwnie nierównym krokiem, jak gdyby wytężał ostatek niknących sił.

Z chwilą, gdy jego głowa znikła pod poziomem werandy, Freja ukazała się z za firanki; zaciśnięte jej usta świadczyły, że knuje jakiś zamysł, a w świetlistych oczach nie było wcale słodyczy. Nie pozwoli mu wymknąć się tak bezkarnie! Nigdy — nigdy! Podniecona była do ostateczności, wrzało w niej wszystko, zakosztowała krwi! On musi zrozumieć, że wiedziała, iż ją śledził; musi się dowiedzieć, że zobaczyła go wymykającego się haniebnie. Mogłaby podbiegnąć do balustrady i krzyknąć wślad za nim, ale to byłoby dziecinne, pospolite — bez godności. I co krzyknąć — jakie słowo? Jakie zdanie? Nie; to niemożliwe. Więc co począć? Zmarszczyła brwi; znalazła o co jej chodziło. Pobiegła do pianina, które stało otwarte noc całą, uderzyła w klawisze — i potwór z różanego drzewa zawarczał dziko rozgniewanym basem. Waliła w struny, niby paląc z rewolweru za tym rozkraczonym, grubym mężczyzną w szerokich, białych spodniach i ciemnej kurtce ze złotemi szlifami, a potem jęła ścigać go tą samą melodją, którą grała poprzedniego wieczoru; był to modny, burzliwy romans, wypróbowany już nieraz przeciw burzom i grzmotom. Wybijała rytm ze złośliwym triumfem i tak ją to pochłonęło, że nie zauważyła obecności ojca, który narzuciwszy stary, wytarty płaszcz w kraty, przybiegł z północnej werandy, aby dowiedzieć się o przyczynie tego niewczesnego koncertu. Wlepił w nią osłupiałe oczy.

— Cóż u Pana Boga?... Frejo!... — Głos jego gubił

się prawie zupełnie w dźwiękach pianina. — Co się stało z porucznikiem? — wrzasnął.

Spojrzała na niego niewidzącemi oczyma, jakby dusza jej zagubiła się w muzyce.

— Poszedł.

— Co-o-o?... Dokąd?

Potrząsnęła zlekka głową i grała coraz głośniej. Naiwny, zaniepokojony wzrok starego Nelsona oderwał się od otwartych drzwi jego własnego pokoju i błądził po całej werandzie, wysoko i nisko, jak gdyby porucznik był czemś malutkiem, co może pełzać po podłodze albo przylgnąć do ściany. Wtem ostry gwizd, dochodzący skądś zdołu, przedarł się przez potop dźwięków wypływających z pianina wielkiemi, wibrującemi falami. Porucznik był już na dole u zatoki i gwizdał na czółno, które miało zabrać go na pokład. Strasznie mu się widać spieszyło, bo gwizdnął prawie natychmiast po raz drugi, poczekał chwilę i wydał przeciągły, niekończący się i przeraźliwy gwizd, tak przykry dla ucha, jak gdyby wrzeszczał bez zaczerpnięcia tchu. Freja przestała nagle grać.

— Wraca na statek — rzekł stary Nelson, wielce tym faktem zmieszany. — Cóż mogło zmusić go do tak wczesnego odejścia? Dziwny człowiek i wściekle drażliwy w dodatku. Nie zdziwię się wcale, jeśli będzie się czuł dotknięty twojem wczorajszem postępowaniem. Zauważyłem wszystko, Frejo! śmiałaś mu się poprostu w twarz, gdy cierpiał męki od tej newralgji. To nie jest sposób, aby się dać polubić. Obraził się na ciebie.

Ręce Frei spoczywały teraz biernie na klawiszach; pochyliła jasną głowę pod wpływem nagłego niesmaku i wyczerpania, jakby po nużącym kryzysie. Na twarzy starego Nelsona (czy Nielsena) malowało się stroskanie;

przeżuwał pod łysą czaszką różne dyplomatyczne sposoby zaradzenia złemu.

— Zdaje mi się, że będzie taktownie, jeśli pojadę dziś rano na statek i zapytam o jego zdrowie — oświadczył kłopotliwie. — Dlaczego mi nie przynoszą herbaty? Słyszysz, Frejo? Muszę ci powiedzieć, że mnie zdumiałaś. Nie przypuszczałem, aby młoda dziewczyna mogła być tak nieczuła. A przytem porucznik uważa się za naszego przyjaciela! Jakto? Nie? No przecież mówi o sobie jako o naszym przyjacielu, a to już coś znaczy dla człowieka w mojem położeniu. Tak, tak, naturalnie! muszę pojechać na statek.

— Musisz, tatusiu? — szepnęła obojętnie Freja, a w myśli dodała: — Biedny człowiek!

## V

Z historji następnych siedmiu tygodni to przedewszystkiem należy powiedzieć, że stary Nelson (czy Nielsen) nie złożył swojej dyplomatycznej wizyty. Kanonierka *Neptun* Jego Królewskiej Wysokości Króla Niderlandów, dowodzona przez znieważonego i rozjuszonego porucznika, opuściła zatokę o nieoczekiwanie wczesnej godzinie. Gdy ojciec Frei znalazł się na wybrzeżu, obejrzawszy swój cenny zbiór tytoniu, rozpostarty, jak się patrzy, na słońcu, kanonierka okrążała już przylądek. Stary Nelson bolał przez kilka dni nad utraconą sposobnością.

— I teraz nie wiem w jakiem usposobieniu ten człowiek odjechał — żalił się nieczułej córce. Zdumiony był jej nieczułością. Obojętność Frei przestraszała go niemal.

Dalej musimy zanotować, że tegoż dnia kanonierka *Neptun*, dążąc na wschód, przepłynęła obok brygu *Bonito*,

unieruchomionego nawprost Carimaty, z dziobem również na wschód zwróconym. Jego kapitan, Jasper Allen, zatopiony w tkliwych, władczych marzeniach o swojej Frei, nie wstał z leżaka stojącego na tylnym pomoście, aby spojrzeć na *Neptuna*, który przejechał tak blisko, że kłęby dymu, zionące z krótkiego, czarnego komina, potoczyły się aż między maszty *Bonita* i zaciemniły na chwilę słoneczną białość żagli poświęconych służbie miłości. Jasper nie odwrócił nawet głowy, aby rzucić spojrzenie. Ale Heemskirk wszedł na pomost i patrzył już z oddali na bryg długo i usilnie, ściskając mocno mosiężną poręcz przed sobą, aż wreszcie ze zbliżeniem się obu statków stracił wiarę we własne siły i schronił się do kajuty z mapami, zatrzaskując drzwi za sobą. Przesiedział tam kilka głuchych godzin, rozmyślając gorzko ze ściągniętą brwią i ustami wykrzywionemi sardonicznym grymasem — niby spętany bezbożną żądzą Prometeusz, którego trzewia wydano na żer dziobowi i szponom upokorzonej namiętności.

Ten gatunek ptaka nie da się odstraszyć równie łatwo jak kurczę. Zwiedziony, oszukany, okpiony, wywiedziony w pole, zbeszczeszczony, wyśmiany — — Bez miłosierdzia. Złowrogi ptak! Porucznik nie miał wcale ochoty stać się pastwą języków na archipelagu jako oficer marynarki, który dostał w twarz od dziewczyny. Czy możliwe, aby kochała naprawdę tego łajdackiego kupczyka? Usiłował nie myśleć, ale dokładne wyobrażenia, gorsze od myśli, osaczyły go w jego schronieniu. Widzi ją — jasna, bliska, wyraźna, plastyczna, barwna, oświetlona zjawa — widzi ją zawieszoną u szyi tego chłystka. Zamyka oczy, aby się przekonać, że niema na to rady. Potem zaczyna ktoś grać na pianinie, blisko, bardzo wyraźnie; Heemskirk zatyka uszy palcami bez żadnego skutku. To wprost nie

do zniesienia — nie do zniesienia w samotności. Wypada z kajuty i nawpół przytomnie zaczyna rozmawiać o obojętnych sprawach z oficerem trzymającym straż na pomoście — przy szyderczym wtórze niesamowitego pianina.

A teraz ostatnia rzecz, którą należy zapisać: porucznik Heemskirk, zamiast posuwać się w dalszym ciągu w stronę Ternate, gdzie go oczekiwano, zboczył z drogi i zajechał do Madagaskaru, gdzie się go nikt nie spodziewał. Znalazłszy się tam, zgłosił się z pewnemi wyjaśnieniami do gubernatora, czy jakiejś innej władzy, i uzyskał zupełną swobodę postępowania w pewnych sprawach. Poczem *Neptun*, zaniechawszy podróży do Ternate, popłynął na północ ku górzystym wybrzeżom Celebesu i, przebywszy szerokie cieśniny, zatrzymał się u niskich brzegów pokrytych dziewiczym lasem, nietkniętych i niemych — na wodach fosforyzujących nocą, a we dnie głęboko lazurowych, kędy widnieją lśniące, zielone plamy nad podwodnemi skałami. Przez cały szereg dni można było widzieć, jak *Neptun* ślizga się gładko tam i zpowrotem wzdłuż mrocznego wybrzeża, lub też wałęsa się czujnie w pobliżu srebrnych zakrętów ujść rzecznych — pod rozległem, jaskrawem niebem, które nigdy nie łagodnieje, nigdy się mgłą nie powleka i zalewa ziemię wieczystym blaskiem tropikalnego słońca — tego słońca, co w swej nieprzerwanej świetności niewymownym smutkiem kładzie się na duszę, bardziej dojmującym, bardziej przenikliwym i sięgającym głębiej niż szara melancholja mgieł północy.

*

*  *

Handlowy bryg *Bonito* ukazał się z za mrocznego, odzianego lasem przylądka, na tle srebrzystego ujścia wiel-

kiej rzeki. Dech powietrza, który w ruch go wprawiał, nie zachwiałby płomieniem pochodni. Wymknął się na wolną przestrzeń z poza zasłony nieruchomego listowia — tajemniczy, milczący, biały jak duch i uroczyście a niepostrzeżenie dążący naprzód; Jasper zaś, z łokciem wspartym o główne olinowanie i głową w dłoni, rozmyślał o Frei. Wszystko w świecie mu ją przypominało. Piękność ukochanej kobiety żyje w pięknie natury. Wzdymające się zarysy wzgórz, falistość wybrzeża, swobodne zakręty rzeki mniej są urocze od harmonijnych linij jej ciała; a gdy sunie lekko naprzód, wdzięk jej ruchów przywodzi na myśl potęgę tajnej władzy, która sprawuje rządy nad czarem widzialnego świata.

Jasper — zależny od rzeczy tak jak i wszyscy ludzie — kochał bryg, przybytek swoich marzeń. Zdawało mu się, że coś z duszy Frei wcieliło się w okręt. Jego pokład był ostoją ich szczęścia. Władanie brygiem łagodziło namiętność Jaspera kojącem przeświadczeniem, że szczęście jest już w jego mocy.

Księżyc w pełni wytoczył się na niebo, wspaniały i pogodny, i płynął w powietrzu spokojnem i przejrzystem jak spojrzenie Frei. Najlżejszy szmer nie mącił ciszy na pokładzie.

— Będzie tu stała przy moim boku w takie jak dziś wieczory — myślał z uniesieniem.

I oto właśnie w tej chwili, wśród tej ciszy, wśród tej pogody, pod szeroko rozwartem, dobrotliwem spojrzeniem księżyca sprzyjającego kochankom, na morzu bez zmarszczki, pod niebem bez chmurki — jak gdyby cała natura przybrała najłaskawszy swój wygląd w bezlitosnem szyderstwie — kanonierka *Neptun*, odrywając się od ciemnego wybrzeża, pod którem tkwiła niewidzialna, wypłynęła

aby przeciąć drogę handlowemu brygowi *Bonito*, zdążającemu w stronę morza.

Natychmiast po rozpoznaniu kanonierki, wynurzającej się z zasadzki, Schultz o czarownym głosie zdradził dziwne zaniepokojenie. Przez cały ów dzień, począwszy od chwili, gdy bryg opuścił malajskie miasteczko w górze rzeki, Schultz spełniał zwykłe obowiązki z twarzą ponurą, jak człowiek, któremu coś ciąży na duszy. Jasper zauważył to, ale pomocnik odwrócił się zmieszany, jakby nie chciał, aby mu się przyglądano, i mruknął coś o migrenie i ataku febry. Musiał się czuć bardzo źle w chwili, gdy kręcąc się za kapitanem, zapytał głośno: „Czego ten drab chce od nas?"... Nagi człowiek, stojący w lodowatym podmuchu i wysilający się, aby nie dygotać, nie mógłby przemówić bardziej ochrypłym i niepewnym głosem. Ale była to prawdopodobnie febra — silny atak dreszczów.

— Chce mi poprostu dokuczyć — odrzekł Jasper z niezamąconym dobrym humorem. — Usiłował to robić już przedtem. No, zobaczymy.

I rzeczywiście oba statki zbliżyły się niebawem na odległość głosu. Bryg o pięknych linjach i białem ożagleniu wyglądał mglisto i zwiewnie w świetle księżyca. Krótka i przysadzista kanonierka o krępych, ciemnych masztach, nagich jak martwe pnie i rysujących się wyraźnie na świetlistem niebie przepysznej nocy, rzucała ciężki cień na szlak wodny między dwoma statkami.

Freja nawiedzała obu tych mężczyzn jak jakiś duch wszechobecny, jak gdyby była jedyną w świecie kobietą. Jasper miał wciąż w pamięci jej poważne upomnienia, aby przestrzegał rozwagi i przezorności we wszystkich czynach i słowach, gdy się zdala od niej znajduje. W chwili tego zupełnie nieoczekiwanego spotkania uczuł

wprost na uchu jej oddech i wspomniał, jak w ostatniej chwili szeptała mu śpiesznie pożegnalne przestrogi, zakończone nawpół żartobliwem: „Pamiętaj, mały, nigdybym ci tego nie darowała!" Czuł także na ramieniu krótki uścisk jej ręki, na który odpowiedział spokojnym, pewnym siebie uśmiechem. Heemskirka nawiedzała Freja w sposób zupełnie odmienny. Nie słyszał szeptów; zato prześladowały go obrazy. Widział dziewczynę zawieszoną u szyi podłego włóczęgi — tego włóczęgi — włóczęgi, który odpowiedział właśnie na jego okrzyk. Widział ją, skradającą się boso przez werandę z wielkiemi, jasnemi, szeroko rozwartemi oczyma, pragnącemi spojrzeć na bryg — na ten bryg. Gdyby była krzyknęła, gdyby go była zwymyślała!... Ale ona poprostu odniosła nad nim triumf. To wszystko. Zwiedziony (wierzył w to niezachwianie), znieważony, uderzony, wyśmiany — Bez miłosierdzia! Ci dwaj ludzie, nawiedzani przez Freję tak odmiennie, nie byli sobie równi jako przeciwnicy.

W tej głuchej, jakby sennej ciszy, która zawisła nad obu statkami, w świecie, co tylko zwiewnym snem się zdawał, łódka z jawajskimi wioślarzami przecięła ciemny szlak wody i podpłynęła do brygu. Siedzący w niej biały oficer, prawdopodobnie kanonier, wspiął się na pokład. Był to krępy człowiek o okrągłym brzuchu i głosie zasapanym. Nieruchoma, tłusta jego twarz zdawała się martwą w świetle księżyca; grube ramiona zwisały, odstając od tułowia, jak gdyby był wypchany. Przebiegłe, małe oczy połyskiwały niby kawałeczki miki. W łamanej angielszczyźnie zwrócił się do Jaspera z żądaniem, aby kapitan zjawił się na pokładzie *Neptuna*.

Jasper nie oczekiwał czegoś tak niezwykłego. Ale po krótkim namyśle postanowił nie okazać ani niecier-

pliwości, ani nawet zdziwienia. Rzeka, z której wracał, była przez parę lat widownią politycznych zaburzeń i wiedział, że te jego wizyty wzbudzają pewną podejrzliwość. Ale mało sobie robił z niezadowolenia władz, tak strasznych dla starego Nelsona. Przygotował się więc do opuszczenia brygu. Schultz poszedł za nim aż do burty, jakby chcąc mu coś powiedzieć, ale koniec końców stanął obok niego w milczeniu. Jasper, przełażąc przez burtę, zauważył jego trupio-bladą twarz. Oczy człowieka, dla którego bryg stał się wybawieniem i ucieczką przed skutkami dziwnych psychologicznych powikłań, te oczy patrzyły w Jaspera z niemym, błagalnym wyrazem.

— Cóż tam znowu? — spytał Jasper.

— Chciałbym wiedzieć, jak to się skończy — rzekł właściciel przepysznego głosu, którym urzekł nawet trzeźwą Freję. Ale gdzież się podział jego dźwięk czarowny? Słowa Schultza zabrzmiały jak krakanie kruka.

— Pan jesteś chory — rzekł Jasper stanowczo.

— Bodajem nie żył! — oświadczył Schultz rozpaczliwie, snać doprowadzony do ostateczności tajemniczą jakąś troską. Jasper rzucił mu przenikliwe spojrzenie, ale nie była to chwila odpowiednia do badań nad gorączkowym wybrykiem chorego człowieka. Nie wyglądał właściwie na nieprzytomnego i to musiało narazie Jasperowi wystarczyć. Schultz rzucił się ku niemu.

— Ten człowiek knuje coś złego!—zawołał rozpaczliwie. — Knuje coś przeciwko panu, panie kapitanie. Ja to czuję i — —

Zatchnął się od niezrozumiałego wzruszenia.

— Dobrze, dobrze, panie Schultz. Nie dam mu okazji do zaczepki — uciął krótko Jasper i spuścił się do łodzi.

Na pokładzie *Neptuna* Heemskirk stał z rozkraczonemi nogami w zalewie księżycowego światła; atramentowy cień padał od jego postaci wpoprzek rufy. Nie poruszył się wcale, gdy Jasper się zbliżał, ale uczuł w piersi jak gdyby dźwigające się morze na widok tego człowieka. Jasper czekał przed nim w milczeniu.

Stawieni wobec siebie twarz w twarz w bezpośredniem zetknięciu, wpadli odrazu w zwykły ton swych przypadkowych spotkań w bungalowie starego Nelsona. Ignorowali się nawzajem najkompletniej: Heemskirk — posępnie; Jasper — z idealnie bezbarwnym spokojem.

— Co się dzieje na rzece, z której pan wraca? — spytał porucznik prosto z mostu.

— Nie wiem nic o żadnych zamieszkach, jeśli pan to ma na myśli — odrzekł Jasper. — Wyładowałem tam pół ładunku ryżu, za który nie dostałem nic wzamian i odjechałem. Ustał tam teraz wszelki handel, ale za jaki tydzień byliby pomarli z głodu, gdybym się nie był zjawił.

— Wścibstwo! angielskie wścibstwo! A przypuśćmy, że te łotry nie zasługują na nic lepszego?

— Widzi pan, tam są kobiety i dzieci — zauważył Jasper spokojnym głosem.

— Ach tak! Kiedy Anglik opowiada o kobietach i dzieciach, można być pewnym, że jest w tem coś podejrzanego. Pańskie sprawki będą wyświetlone.

Mówili kolejno jak bezcielesne duchy, jak głosy rozlegające się w pustej przestrzeni; patrzyli na siebie nawzajem, jak gdyby na ich miejscu nic nie było, lub co najwyżej martwy jakiś przedmiot. Ale teraz zapadło milczenie. Heemskirk nagle pomyślał: „Ona powie mu wszystko. Powie mu, śmiejąc się i wisząc u jego szyi". I nagła żądza unicestwienia Jaspera na miejscu ogarnęła

go z taką siłą, że zmysły jego się rozprzęgły. Przestał władać mową i wzrokiem. Przez chwilę nie mógł wcale dojrzeć Jaspera. Ale usłyszał głos jego, dochodzący jakby gdzieś z oddali.

— Czy mam z tego wywnioskować, że bryg jest przyaresztowany?

Heemskirk przyszedł do siebie w przypływie złośliwego zadowolenia.

— Tak. Będę go holował do Makassaru.

— O legalności tego postąpienia zadecyduje sąd — rzekł Jasper z udaną obojętnością, widząc, że sprawa staje się poważną.

— O tak, sąd! Naturalnie. A co się pana tyczy, zatrzymuję pana tu na statku.

Kamienna nieruchomość Jaspera zdradziła jego przerażenie wobec grożącego mu rozstania z brygiem. Ale trwało to tylko chwilę. Odwrócił się i krzyknął w stronę brygu. Schultz odpowiedział:

— Słucham, panie kapitanie.

— Przygotujcie się do przyjęcia liny holowniczej. Zabierają nas do Makassaru.

— Wielki Boże! I dlaczego, panie kapitanie? — przypłynął słaby okrzyk pełen trwogi.

— Przypuszczam, że przez uprzejmość — odkrzyknął ironicznie Jasper z wielkim spokojem. — Mogła nas tu chwycić cisza i unieruchomić na dni całe. A także i przez gościnność. Jestem zaproszony do pozostania tu — na statku.

Głośny krzyk rozpaczy był odpowiedzią na te informacje. Jasper pomyślał niespokojnie: „Ten człowiek ma doprawdy zupełnie rozklekotane nerwy!" — i wpatrzył się w bryg z nowem uczuciem przykrego niepokoju. Myśl, że

jest z nim rozłączony—pierwszy raz od chwili, gdy znaleźli się razem — wstrząsnęła aż do najgłębszych podstaw jego hartem, ukrytym pod pozorną lekkomyślnością. Przez cały ten czas nie poruszył się ani Heemskirk, ani atramentowy jego cień leżący na pokładzie.

— Wyślę na wasz statek załogę łodzi z oficerem — oświadczył, nie zwracając się w szczególności do nikogo. Jasper, oderwawszy się od kontemplacji brygu, odwrócił się i bez namiętności, prawie bez wyrazu w głosie, zaprotestował przeciw takiemu postępowaniu. W gruncie rzeczy chodziło mu głównie o to, aby uniknąć zwłoki. Policzył dni. Makassar leżał po drodze i w razie holowania zyskałoby się istotnie na czasie. Z drugiej strony należało oczekiwać jakichś nieznośnych formalności. Ale cała historja była doprawdy niemożliwie głupia. „Zwarjował karaluch!" myślał Jasper. „Przecież uwolnią mnie natychmiast. A gdyby i nie uwolnili, Mesman musi za mnie poręczyć". Mesman był to kupiec holenderski, z którym Jasper prowadził często interesa, wybitna osobistość w Makassarze.

— Pan protestuje? Hm! — mruknął Heemskirk i trwał jeszcze chwilę bez ruchu z szeroko rozstawionemi nogami i spuszczoną głową, jakby studjował własny swój cień, zabawny i głęboko rozcięty. Potem skinął na opasłego kanoniera, który stał nieruchomo w pobliżu, niby wstrętny, wypchany okaz tłustego człowieka o martwej twarzy i błyszczących oczkach. Kanonier podszedł i stanął na baczność.

— Udasz się pan na bryg z załogą jednej łodzi.

— Ya, mynherr.

— Jednego z ludzi przeznaczysz pan do sterowania brygiem przez cały czas — ciągnął Heemskirk, wydając

rozkazy po angielsku, prawdopodobnie ku zbudowaniu Jaspera. — Zrozumiane?

— Ya, mynherr.

— Pozostaniesz pan na pokładzie z pełną odpowiedzialnością.

— Ya, mynherr.

Jasper doznał uczucia, że wyjmują mu serce z piersi, pozbawiając go komendy nad brygiem. Heemskirk zapytał teraz zupełnie innym tonem:

— Jaką broń macie na statku?

Dawnemi czasami okrętom handlującym na chińskich morzach wolno było posiadać pewną ilość broni palnej dla celów obrony. Jasper odpowiedział:

— Osiemnaście karabinów z bagnetami, które znajdowały się na statku, gdy kupiłem go cztery lata temu. Zadeklarowałem je w swoim czasie.

— Gdzie są złożone?

— W przedniej kabinie. Mój pomocnik ma klucz.

— Zabierze je pan — rzekł Heemskirk do kanoniera.

— Ya, mynherr.

— Dlaczego? co pan chce przez to dać do zrozumienia? — wykrzyknął Jasper, poczem zagryzł wargi. — To potworne! — mruknął.

Heemskirk podniósł na chwilę ciężki, jakby cierpiący wzrok.

— Ruszaj pan — rzekł do kanoniera.

Podczas następnych trzydziestu godzin bezustanne holowanie zostało raz przerwane. Z brygu dano sygnał, powiewając flagą na kasztelu i kanonierka stanęła. Oficer, wyglądający jak okaz źle wypchanego człowieka, wsiadł do łodzi i, dostawszy się na pokład *Neptuna*, pośpieszył wprost do kajuty komendanta, przyczem mrugał oczkami, zdradzając niezmierne przejęcie się tem, co

miał do zakomunikowania. Siedzieli czas jakiś zamknięci, podczas gdy Jasper, stojąc u tylnej burty, usiłował wypatrzyć, czy stało się na brygu coś niezwykłego. Ale wszystko zdawało się być w porządku. Mimo to czatował na kanoniera i, choć starał się unikać rozmowy z kimkolwiek po rozprawie z Heemskirkiem, zatrzymał Holendra wracającego na pokład brygu i spytał o zdrowie pomocnika.

— Nie czuł się dobrze w chwili, kiedy opuszczałem okręt — objaśnił.

Gruby oficer, który trzymał się prosto, jakby wysiłek dźwigania przed sobą wielkiego brzucha wymagał sztywnej postawy, — z trudnością zrozumiał o co chodzi. Ani jeden rys jego twarzy nie zdradził najlżejszego ożywienia, wkońcu jednak zamrugał szybko oczkami.

— Oh, ya! Pomocnik. Ya, ya! Ma się bardzo dobrze. Ale, mein Gott, on jest bardzo zabawna człowiek.

Jasper nie uzyskał dalszych wyjaśnień, ponieważ kanonier wsiadł spiesznie do łodzi i powrócił na pokład brygu. Pocieszał się jednak myślą, że ta niemiła i idjotyczna przygoda prędko się skończy. Przystań Makassaru widać już było w oddali. Heemskirk minął Jaspera, zdążając na pomost. Po raz pierwszy porucznik rzucił mu przeciągłe spojrzenie, przyczem zawrócił oczami tak śmiesznie i dziwacznie — Jasper i Freja przesądzili już dawno o jego śmieszności—i tak ekstatyczne uszczęśliwienie biło z jego twarzy (zdawał się rozkoszować jakimś smakowitym kąskiem), że Jasper nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu, poczem zwrócił się znów w stronę swojego statku.

Widzieć bryg — ten skarb ukochany, ożywiony odblaskiem duszy Frei, tę jedyną w świecie ostoję dwojga

ludzi, tę bezpieczną przystań miłości, tego towarzysza przygód, dzięki któremu był mocen spokojną, czarowną Freję do piersi przycisnąć i uprowadzić na koniec świata; widzieć ten przepiękny okręt, — uzmysławiający godnie jego dumę i jego miłość — widzieć go na uwięzi u końca liny holowniczej — nie stanowiło zaiste miłego przeżycia. Było w tem coś z nocnej zmory, jakby się Jasperowi zwidział we śnie dziki ptak morski spętany łańcuchami.

Lecz na cóż innego miał patrzeć? Piękność brygu przenikała go niekiedy niesamowitym wprost czarem; zapominał wręcz, gdzie się znajduje. A przytem poczucie wyższości, którem przepaja młodzieńca wzajemność ukochanej dziewczyny — ułuda, że tkliwe spojrzenie kobiecych oczu uniosło go tam, gdzie los już nie sięga — pomogły mu po pierwszem wstrząśnieniu znieść przeciwności z wesołą pewnością siebie. Albowiem cóż złego mogłoby się przytrafić wybranemu Frei?

Miało się już ku zachodowi; słońce znajdowało się ztyłu za obu statkami dążącemi ku przystani. „Żart karalucha prędko się skończy" — rozmyślał Jasper bez wielkiej nieprzyjaźni. Jako marynarzowi, obznajmionemu dokładnie z tą okolicą świata, dość mu było rzucić okiem, aby przekonać się, jaką drogą statek podąża. „Oho" — pomyślał — „kierują się przez Spermonde Passage. Za chwilę wyminiemy rafę Tamissy". I wpatrzył się zpowrotem w swój bryg, tę ostoję materjalnego i moralnego istnienia, która wkrótce znajdzie się znów w jego mocy. Na spokojnem jak staw morzu ciężka, gładka fałda żłobiła się i odpływała z obu stron kadłuba brygu, bowiem potężny *Neptun* holował z wielkim pośpiechem, jak o zakład. Holenderski kanonier pojawił się na kasztelu

*Bonita* wraz z paru innymi ludźmi. Stali, spoglądając ku wybrzeżu, a Jasper pogrążył się znów w miłosnym zachwycie.

Głęboki gwizd parowej świstawki na kanonierce wstrząsnął nim nieoczekiwanie. Rozejrzał się powoli. Z szybkością błyskawicy skoczył z miejsca, sadząc ku przodowi wzdłuż pokładu.

— Wjedziecie na rafę Tamissy! — wrzasnął.

Heemskirk, stojący wysoko na pomoście, rzucił wtył przez ramię ciężkie spojrzenie: dwóch majtków zakręciło kołem i *Neptun* oddalał się już szybko od krańca bladej wody kryjącej niebezpieczeństwo. Ha! w sam czas. Jasper odwrócił się natychmiast, aby spojrzeć na bryg. Zanim mógł zdać sobie z tego sprawę — snać zgodnie z rozkazem Heemskirka wydanym poprzednio kanonierowi — puszczono linę holowniczą na gwizd świstawki i nim zdołał krzyknąć lub się poruszyć — ujrzał bryg na swobodzie, pędzący ukośnie do rufy kanonierki z rozpędem całej swojej szybkości. Ścigał jego piękną, ślizgającą się postać oczyma rozszerzonemi niedowierzaniem, zdziczałemi od zgrozy. Krzyki na pokładzie pędzącego brygu doszły go tylko jako okropny i niewyraźny pomruk skroś łoskot krwi walącej o uszy. Bryg leciał wyprostowany, pełen życia i niezrównanego wdzięku, rozwijając w strasznym popisie cały dar swojej szybkości. Leciał, dopóki gładki poziom wody z przodu kadłuba nie zapadł się nagle, niby wessany w głąb, poczem bryg stanął z dziwnem, gwałtownem drżeniem topów, pochylił nieco wyniosłe maszty i zastygł bez ruchu. Stał wciąż bez ruchu na rafie, podczas gdy kanonierka Neptun, zatoczywszy krąg szeroki, płynęła pod pełną parą ku Spermonde Passage, kierując się do miasta. Stał bez ruchu, bez najlżejszego ruchu, a w je-

go pozie było coś złowieszczego i nienaturalnego. W jednej chwili ogarnęła go — pod zalewem słońca — subtelna melancholja rzeczy tkniętych zagładą; był tylko plamą w jaśniejącej pustce przestrzeni — samotny już i już opuszczony.

— Trzymać go! — wrzasnął głos z pomostu.

Jasper rzucił się ku swojemu brygowi w ślepym porywie, jak człowiek rzuca się naprzód, aby chwycić w ramiona żywą, dyszącą, ukochaną istotę i ocalić ją od zatraty. „Trzymać go! Trzymać mocno!" darł się porucznik u szczytu pomostowej drabiny, a Jasper mocował się jak oszalały bez jednego słowa; widać było tylko jego głowę nad falującą kupą majtków *Neptuna*, którzy rzucili się na niego posłuszni rozkazowi. „Trzymać! Nie chcę zanic, żeby się ten człowiek teraz utopił!"

Jasper przestał walczyć.

Majtkowie puścili go, jeden po drugim; odstępowali dalej i dalej w czujnem milczeniu, zostawiając go bez podpory w pustej, coraz szerszej przestrzeni, jak gdyby chcieli dać mu dość miejsca, aby mógł paść po walce. Ale nie zachwiał się nawet. W pół godziny później, gdy *Neptun* stanął na kotwicy nawprost miasta, Jasper ani drgnął jeszcze; nie poruszył wcale ani głową, ani członkami. Z chwilą, gdy ustał zgrzyt kotwicznego łańcucha, Heemskirk zeszedł z pomostu ciężkim krokiem.

— Zawołać mi sampan — rzekł posępnie, mijając wartę stojącą przy kładce, i szedł powoli ku miejscu, gdzie Jasper, cel wielu spojrzeń pełnych grozy, stał, utkwiwszy wzrok w pokładzie, jakby zatopiony w ponurej zadumie. Heemskirk podszedł blisko i patrzył na niego w zamyśleniu, trzymając palce na wargach. Oto stoi przed nim ten obsypany łaskami włóczęga, jedyny czło-

wiek, któremu szatańska dziewczyna mogłaby opowiedzieć pewną historję. Ale on nie znajdzie w niej nic zabawnego. Historję o tem, jak porucznik Heemskirk — — Nie, on się z tej historji śmiać nie będzie. Wygląda, jakby już nigdy w życiu nie miał się śmiać z niczego.

Nagle Jasper podniósł oczy. Wzrok jego, pozbawiony wszelkiego wyrazu prócz wyrazu bezgranicznego zdumienia, spotkał się ze wzrokiem Heemskirka, bacznym i chmurnym.

— Wjechał na rafę! — rzekł cichym, zdziwionym głosem. — Na — rafę — — powtórzył jeszcze ciszej i zdawał się śledzić wewnątrz siebie poczęcie się jakiegoś strasznego i zdumiewającego uczucia.

— Najwyższy poziom przypływu—wiosenne prądy— wtrącił Heemskirk z mściwym, triumfalnym wybuchem, który błysnął i zagasł. Urwał, jakby zmęczony, utkwiwszy w Jasperze harde spojrzenie. W oczach jego — nito posępna chmurka — mignęło skryte rozczarowanie, nieunikniony cień wszelakiej namiętności. — Najwyższy poziom!—powtórzył i pod wpływem dzikiej reakcji uczuć zerwał z głowy wygalonowaną czapkę, zakreślając nią szeroki, szyderczy łuk w stronę kładki.

— A teraz wolna droga do sądów, przeklęty Angliku! — zawołał.

## VI

Sprawa brygu *Bonito* musiała niechybnie wywołać wielką sensację w Makassarze — najładniejszem i najbardziej może schludnem z miast na wyspach — któremu to miastu rzadko się trafia sposobność do podniecających wrażeń. „Esplanada" ze swoją specjalną publicznością zorjentowała się szybko, że zaszło coś niezwykłego. Już

od dłuższego czasu obserwowano zdala na morzu parowiec holujący okręt; zwróciło ogólną uwagę, że parowiec zawinął do portu, zostawiwszy okręt poza obrębem przystani. Dlaczego tak się stało? Widać było tylko maszty okrętu — ze zwiniętemi żaglami — tkwiące w jednem i tem samem miejscu w kierunku południowym. A wkrótce rozbiegły się wieści natłoczoną ulicą wzdłuż wybrzeża, że okręt najechał na rafę Tamissy. Tłum ocenił trafnie sytuację. Przyczyna faktu leżała jednak poza jego zrozumieniem; któż bowiem byłby w stanie ogarnąć jednem pojęciem dziewczynę oddaloną o dziewięćset mil i okręt tkwiący na rafie Tamissy; któżby mógł wyśledzić odległe źrodła tego wypadku skroś psychologiczne motywy trojga ludzi — nawet jeżeli jeden z tych trojga, porucznik Heemskirk, przeciskał się w tej chwili przez ciżbę w drodze do władz, którym miał złożyć ustny raport?

Nie; umysły publiczności z „esplanady" nie były zdolne do tego rodzaju dociekań, natomiast wiele rąk — brunatnych rąk, żółtych rąk, białych rąk — podniosło się, aby ocienić oczy wpatrzone w stronę morza. Wieści rozbiegły się szybko. Chińscy przekupnie podchodzili do drzwi sklepów, a nawet niejeden biały kupiec powstał od biurka, aby wyjrzeć przez okno. Okręt na Tamissie nie jest przecież codziennym wypadkiem. Pogłoski przybrały wkrótce bardziej określoną formę. — To kupiec angielski — przyaresztowany na morzu przez *Neptuna* w podejrzanych okolicznościach — Heemskirk holował statek do Makassaru, aby przeprowadzić śledztwo i — wskutek jakiegoś dziwnego wypadku — —

Później wypłynęła i nazwa statku. *„Bonito"!* — Co takiego? Niemożliwe! — Tak, tak, *Bonito*. O patrzcie! można go stąd zobaczyć; ma tylko dwa maszty. To bryg.

Nie myślałem, żeby ten człowiek dał się kiedy przyłapać. Ale i Heemskirk wcale jest zręczny! Mówią, że *Bonito* ma kabinę wymuskaną jak jacht jakiego gentlemana. Ten Allen to także coś w rodzaju gentlemana. Przytem straszny dziwak.

Jakiś młody człowiek, kipiący najświeższemi wiadomościami, wszedł szybko do biura Messrs. Mesman Brothers na „esplanadzie".

— O tak; to napewno *Bonito*. Ale państwo nie wiecie nic o całej historji, którą przed chwilą słyszałem. Ten drab zaopatrywał widać rzekę w broń w ciągu ostatniego roku, a może i dwóch lat. No i długa bezkarność tak go rozzuchwaliła, że ośmielił się sprzedać strzelby należące do inwentarza brygu. To fakt niezbity. Niema strzelb na *Bonicie*. Co za bezczelność! Tymczasem nie wiedział, że jeden z naszych wojennych statków czatuje niedaleko wybrzeża. Ale ci Anglicy tacy są zuchwali! pewno wyobrażał sobie, że mu to ujdzie na sucho. Nasze sądy wypuszczają za często tych łajdaków — i to pod najbłahszemi pozorami. No, ale w każdym razie koniec ze sławnym *Bonitem*. Słyszałem właśnie w biurze portowem, że bryg znalazł się widać na najwyższym poziomie przypływu; a w dodatku obciążony jest ładunkiem. Mówili mi, że żadna siła ludzka nie mogłaby ruszyć go z miejsca. Mam nadzieję, że tak jest naprawdę. Jak to będzie świetnie, jeśli sławetny *Bonito* pozostanie tam na zawsze, jako przestroga dla innych.

Pan J. Mesman, Holender urodzony w kolonjach, dobroduszny, ojcowski staruszek o wygolonej twarzy, spokojnej i pięknej, i gęstych, siwych jak stal włosach, wijących się zlekka na kołnierzu, nie powiedział ani słowa w obronie Jaspera i *Bonita*. Powstał nagle z fotela. Wyraźna

troska malowała się na jego twarzy. Zdarzyło się raz, że wśród rozmowy o przeróżnych interesach, o handlu wyspiarskim, pieniężnych sprawach i tak dalej, Jasper doprowadził do zwierzeń na temat Frei; i zacny Mesman, który znał przed laty starego Nelsona i nawet pamiętał cośniecoś o istnieniu Frei, zdziwił się mocno, przyczem cała historja bardzo go ubawiła.

— Aha, aha! Nelson! Tak, naturalnie. Bardzo uczciwy człowiek. I malutka dziewczyneczka o bardzo jasnych włosach. Tak, tak! Pamiętam doskonale! A więc wyrosła na taką piękną pannę! i taką rezolutną, taką — — Tu wybuchnął niemal gwałtownym śmiechem. — Niech pan pamięta, kapitanie Allen; jak pan już wykradnie szczęśliwie swoją przyszłą żonę, musi pan do nas przyjechać i będziemy ją tu gościli. Pamiętam! Pamiętam.

Te wspomnienia właśnie sprawiły, że twarz Mesmana powlekła się troską na pierwszą wiadomość o rozbiciu brygu. Wziął kapelusz.

— Dokąd pan idzie, panie Mesman?

— Idę do Allena. Pewno jest na wybrzeżu. Może który z panów wie coś o nim?

Ale nikt z obecnych nie wiedział. I pan Mesman wyszedł na „esplanadę" aby zasięgnąć wieści.

Druga część miasta, leżąca obok kościoła i fortu, została poinformowana w sposób odmienny. Pierwszym faktem, który zwrócił ogólną uwagę, był widok samego Jaspera, idącego śpiesznym krokiem, jak gdyby go ścigano. I rzeczywiście jakiś Chińczyk, najwidoczniej wioślarz z sampanu, biegł za nim na łeb na szyję.

Nagle, mijając Orange House, Jasper zboczył z drogi i wszedł do środka, a raczej wbiegł, przerażając wielce Go-

meza, urzędnika hotelowego. Ale Chińczyk, wzniecający nieprzystojny hałas przed hotelem, przyciągnął uwagę Gomeza. Żalił się, że biały człowiek, którego przywiózł na brzeg z kanonierki, nie zapłacił mu za przejazd. Biegł za nim aż tak daleko, domagając się należności, a biały nie zwrócił najmniejszej uwagi na jego słuszne żądania. Gomez zaspokoił kulisa kilku miedziakami i wrócił, aby zobaczyć się z Jasperem, którego znał bardzo dobrze. Ujrzał go stojącego sztywno przy małym, okrągłym stoliku. Na drugim końcu werandy siedziało kilku ludzi, którzy przerwali rozmowę i patrzyli w milczeniu na Jaspera. Dwóch graczy z kijami w ręku podeszło do drzwi bilardowego pokoju i przypatrywało mu się również.

Na widok zbliżającego się Gomeza Jasper podniósł rękę, wskazując na swoje gardło. Gomez zauważył, że ubranie jego jest nieco przybrudzone, a spojrzawszy mu w twarz, rzucił się natychmiast po napój, którego Allen zdawał się domagać.

Dokąd Jasper szedł, w jakim celu, a może dokąd wyobrażał sobie tylko, że idzie — gdy nagły poryw, czy też widok znajomego miejsca sprawił, że wbiegł do Orange House — niepodobna określić. Wsparł się lekko o stolik końcami palców. Było tam na werandzie dwóch ludzi, których znał dobrze, ale wzrok jego, błądzący wkrąg bezustanku, — jak gdyby w poszukiwaniu jakiejś drogi do ucieczki — ślizgał się po nich bez żadnej oznaki, że ich poznaje. Oni zaś ze swej strony patrzyli na niego, nie wierząc świadectwu własnych oczu. Nie można powiedzieć, aby twarz jego była wykrzywiona. Przeciwnie; zdawała się spokojna i nieruchoma. Tylko wyraz zmieniał ją jakoś nie do poznania. Czyż to może być Allen? myślano ze zgrozą.

W głowie Jaspera kłębił się dziko chaos jasnych myśli. Zupełnie jasnych. Ta jasność właśnie była tak straszliwa w związku z absolutną niezdolnością uchwycenia którejkolwiek z nich. Mówił do siebie, czy też do tych myśli: „Spokojnie, spokojnie". Chiński kelner ze szklanką na tacy pojawił się przed nim. Jasper wlał napój do gardła i wypadł na ulicę. Zniknięcie jego zdjęło z obecnych czar milczenia. Jeden z mężczyzn zerwał się i pobiegł szybko w tę stronę werandy, skąd można było ogarnąć wzrokiem prawie całą przystań. W chwili gdy Jasper ukazał się przed drzwiami Orange House i biegł wdole ulicą, mężczyzna ów krzyknął w podnieceniu do obecnych:

— To był Allen we własnej osobie! Ale gdzież jego bryg?

Słowa te rozległy się z niesłychaną mocą w uszach Jaspera. Rozbrzmiały niemi niebiosa, jakby wzywając go do porachunku; w tych samych bowiem słowach zwróciłaby się do niego i Freja. Było to miażdżące pytanie; uderzyło w jego świadomość jak piorun i pogrążyło chaos myśli w nagłym mroku. Mimo to nie zatrzymał się jednak. Postąpił jeszcze trzy kroki w ciemnościach i padł na ziemię.

Zacny Mesman musiał dotrzeć aż do szpitala, zanim go odnalazł. Doktór oświadczył, że to lekki udar słoneczny. Nic poważnego. Za trzy dni będzie na nogach... Trzeba przyznać, że doktór miał słuszność. Po upływie trzech dni Jasper Allen wyszedł ze szpitala i stał się widzialnym dla całego Makassaru — bardzo widzialnym zaiste — i to na wcale długo; tak długo, że był poniekąd jednem z dziwowisk miasta; tak długo, że stał się wreszcie przedmiotem ogólnej pogardy; tak długo, że pamięć o je-

go natrętnym widoku żyje wśród wysp do dnia dzisiejszego.

Rozmowy na „esplanadzie" i pojawienie się Jaspera w Orange House otwierają słynną sprawę *Bonita*, oświetlając obie jej strony: faktyczną i psychologiczną. Jedną miały się zająć sądy, druga — budziła współczucie; ta ostatnia przeraźliwie była oczywista, a przecież niezrozumiała.

Trzeba sobie uprzytomnić, że pozostała niezrozumiałą nawet dla mojego przyjaciela, autora listu, o którym wspominam w pierwszych wierszach niniejszego opowiadania. Gdy się rozeszły wieści o wypadku, przyjaciel mój był właśnie w biurze u pana Mesmana i towarzyszył mu później w poszukiwaniu Jaspera. List jego przedstawił mi obie strony całej sprawy i niektóre z poszczególnych epizodów. W zachowaniu Heemskirka przebijało głębokie zadowolenie z tego, że nie stracił własnego statku — i nic pozatem. Mgła wisząca nad lądem tłumaczyła fakt, że znalazł się tak blisko rafy Tamissy. Ocalił swój parowiec i nie dbał o resztę. Co się tyczy opasłego kanoniera, zeznał poprostu, że puszczenie liny holowniczej wydało mu się najlepszem wyjściem z sytuacji; przyznał jednak, że nagłość wypadku wytrąciła go z równowagi.

W istocie zaś zastosował się ściśle do wskazówek Heemskirka; był mu ślepo oddany — niby wierny pachołek — przesłużywszy pod jego rozkazami kilka lat na wschodnich morzach. Najbardziej zdumiewającą rzeczą w całej sprawie *Bonita* był raport kanoniera. Zeznał, iż przystąpiwszy do odebrania broni palnej, przekonał się, że niema wogóle broni palnej na statku. Znalazł w przedniej kabinie tylko pusty stojak na osiemnaście strzelb, ale

samych strzelb nie było ani śladu na całym okręcie. Pomocnik kapitana wyglądał na chorego i zachowywał się gorączkowo, jakby był niespełna rozumu; chciał wmówić gwałtem w kanoniera, że kapitan Allen nic o zniknięciu strzelb nie wie; że to on, pomocnik, sprzedał je niedawno w nocy pewnemu osobnikowi w górze rzeki. Na dowód tej historji pokazał kiesę srebrnych dolarów i domagał się, aby on, kanonier, je przyjął. Potem cisnął nagle kiesę na pokład, zaczął walić się po głowie obiema pięściami i sypać straszne przekleństwa na siebie samego, jako na nędznika, który niegodzien jest żyć na świecie.

Kanonier powtórzył to wszystko natychmiast swojemu zwierzchnikowi.

Trudno powiedzieć, co Heemskirk właściwie miał na myśli, zatrzymując *Bonita*; pragnął przedewszystkiem utrudnić życie mężczyźnie wybranemu przez Freję. Patrzył na Jaspera z żądzą powalenia na ziemię tego człowieka sytego uścisków i pocałunków. Zachodziło teraz pytanie: jak to przeprowadzić, z niczem się nie zdradzając? Z raportu kanoniera wynikało, że sprawa jest poważna. Lecz Allen miał przyjaciół i któżby mógł zaręczyć, że nie potrafi się z tego jakoś wywinąć?

Myśl, aby poprostu wholować na rafę bryg tak bardzo skompromitowany, przyszła mu do głowy, gdy słuchał w kabinie raportu opasłego kanoniera. W tych okolicznościach było nieprawdopodobieństwem, aby spotkała go nagana. Należało tylko zachować wszelkie pozory przypadku.

Wyszedł na pokład, rozkoszując się zawczasu tym planem, i wpatrzył się w swą nieświadomą ofiarę, przewróciwszy oczami tak złowieszczo i tak cudacznie ściągnąwszy usta, że Jasper nie mógł powstrzymać się od

uśmiechu. A porucznik wszedł na pomost, mówiąc do siebie:

— Poczekaj! Zepsuję ci ja smak tych słodkich pocałunków. Gdy posłyszysz w przyszłości o poruczniku Heemskirku, nazwisko jego nie sprowadzi uśmiechu na twoje usta — przysięgam ci na to. Jesteś wydany w moje ręce.

A wszystko to stało się bez żadnego planu, — samo z siebie, możnaby nieledwie powiedzieć — jak gdyby same wypadki układały się tajemniczo, sprzyjając celom ponurej namiętności. Najprzebieglejsze knowania nie mogły się lepiej Heemskirkowi przysłużyć. Danem mu było zaznać dosyta zemsty nieziemskiej, niewiarogodnie wprost doskonałej: zadał śmiertelny cios w serce nienawistnemu przeciwnikowi i patrzył, jak ów chodzi po świecie z sztyletem w piersi.

Gdyż tak się rzecz miała z Jasperem. Chodził i krzątał się po mieście ze zmęczonemi oczyma i wychudłą twarzą — szczupły i niespokojny — o ruchach porywczych i nieopanowanych; mówił nieustannie zapamiętałym i znużonym głosem — ale czuł w głębi, że nic mu nigdy brygu nie wróci, tak jak nic nie jest w stanie uleczyć przebitego serca. Dusza jego utrzymywana w spokoju przez napięcie miłosne i przemożny wpływ Frei, podobna była do niemej, lecz przeciągniętej struny. Zadrgała i pękła pod uderzeniem. Czekał całe dwa lata w szczęsnem upojeniu na dzień, który już nigdy nie miał nadejść dla człowieka obezwładnionego na całe życie przez utratę brygu; człowieka — jak mu się zdawało — niegodnego już miłości, której podstawę z pod nóg mu usunięto.

Dzień po dniu przechodził przez całe miasto, szedł wzdłuż wybrzeża i, dotarłszy do przylądka przeciwległe-

go tej części rafy, na której tkwił bryg rozbity, patrzył spokojnie ponad wodą na ukochaną jego postać — niegdyś ostoję radosnych nadziej, a teraz symbol rozpaczy, zastygły w żałosnym bezruchu i górujący nad pustym morskim widnokręgiem.

Załoga opuściła bryg we własnych jego łodziach, które natychmiast po przybyciu do przystani zostały zasekwestrowane przez władze portowe. Okręt zasekwestrowano również w oczekiwaniu na wynik dochodzeń sądowych; ale też same władze nie troszczyły się bynajmniej o postawienie warty na brygu. Gdyż zaiste, cóż mogło go stamtąd poruszyć? Chyba tylko cud; chyba tylko oczy Jaspera, wbite weń z natężeniem całemi godzinami, jak gdyby żywił nadzieję, że samą li tylko siłą wzroku zdoła go do swej piersi przyciągnąć.

Cała ta historja, o której wyczytałem w obszernym liście przyjaciela, mocno mnie zatrwożyła. Ale przerażeniem zdjęła mnie poprostu następująca relacja: oto Schultz, pomocnik z Bonita, chodził wszędzie i dowodził z rozpaczliwym uporem, że to on, a nie kto inny, sprzedał strzelby. „Ukradłem je", zapewniał. Naturalnie, że nikt mu nie chciał wierzyć. Nawet mój przyjaciel nie wierzył mu, choć oczywiście podziwiał wielce jego poświęcenie. Wielu jednak twierdziło, że pomawianie siebie o złodziejstwo, aby uratować przyjaciela, jest zaparciem się siebie sięgającem zbyt daleko. Było to jednak tak oczywiste kłamstwo, że nie mogło mieć właściwie żadnego znaczenia.

Co do mnie — przyznaję, że struchlałem poprostu, znając psychologję Schultza i wiedząc jak dalece ten fakt musi być prawdziwy. Oto jak przewrotny los skorzystał ze szlachetnego uczynku! Czułem się niejako współwi-

nowającą tej przewrotności, ponieważ zachęcałem poniekąd Jaspera do umowy z Schultzem. Jednak ostrzegałem go również.

„Ów człowiek dostał poprostu bzika na ten temat"— pisał mój przyjaciel. — „Poszedł ze swoją historją do Mesmana. Mówił, że pewien łotr, biały człowiek żyjący wśród krajowców w górze owej rzeki, spoił go dżynem jednego wieczoru, a potem zaczął z niego szydzić, że nie ma ani grosza. Schultz, zapewniając nas, że jest człowiekiem uczciwym i że należy mu wierzyć, wyznał, iż staje się złodziejem, gdy sobie podpije. Opowiedział dalej, jak wrócił owej nocy na statek, wyniósł strzelby jedną po drugiej bez najlżejszych wyrzutów sumienia, złożył je w łódce, która podpłynęła do brygu i dostał po dziesięć dolarów za sztukę".

„Na drugi dzień był chory ze wstydu i zmartwienia, ale nie miał odwagi przyznać się do błędu swojemu dobroczyńcy. Gdy kanonierka zatrzymała bryg, zapragnął śmierci, przerażony możliwemi skutkami swojego czynu, i byłby ją poniósł z radością, gdyby ofiara jego życia mogła zpowrotem strzelby na okręt sprowadzić. Nie powiedział nic Jasperowi, mając nadzieję, że bryg będzie natychmiast uwolniony. Gdy się stało inaczej i gdy zatrzymano Jaspera na kanonierce, zdjęty rozpaczą, postanowił śmierć sobie zadać, lecz uważał, że obowiązek nakazuje mu żyć, aby dać świadectwo prawdzie. „Jestem uczciwym człowiekiem!" powtarzał głosem, który nam łzy do oczu sprowadzał. „Musicie mi wierzyć, kiedy wam mówię, że staję się złodziejem — podłym, nędznym, przebiegłym, czającym się złodziejem—jak tylko wypiję parę kieliszków. Zaprowadźcie mnie tam, gdzie będę mógł przysięgnąć, że to prawda".

„Gdy przekonaliśmy go wreszcie, że jego zeznania nie mogą się przydać Jasperowi — jakiż bowiem sąd holenderski, złapawszy raz angielskiego kupca, przyjąłby takie wyjaśnienie; i zaiste, jak, kiedy i gdzie można się było spodziewać udowodnienia tych zeznań? — Więc gdyśmy go o tem przekonali, podniósł ręce do głowy, jak gdyby chciał sobie garściami włosy wyrywać, lecz uspokoił się nagle i rzekł: „Więc do widzenia panom". Wyszedł z pokoju tak zmiażdżony, że, zdało się, nie potrafi nogi za nogą postawić. Tejże nocy popełnił samobójstwo, poderżnąwszy sobie gardło w domu pewnego metysa, gdzie zamieszkał po rozbiciu się okrętu".

To samo gardło — pomyślałem, wstrząsając się ze zgrozy—w którem rodził się ów tkliwy głos, przemawiający wprost do serca, męski i czarujący zarazem; głos, który wzbudził odrazu współczucie Jaspera i zdobył sympatję Frei! Któżby się był spodziewał, że taki los czeka łagodnego Schultza, tego niemożliwego człowieka, tego naiwnego złodzieja, tak idjotycznie szczerego, że nawet w ludziach przez siebie poszkodowanych wzbudzał tylko coś nakształt złości, zmieszanej ze śmiechem? Był doprawdy niemożliwy. Odpowiadało mu właściwie życie bynajmniej nie tragiczne, choć głodujące i tajemnicze: życie nieszkodliwego nadbrzeżnego łazęgi o łagodnych oczach, pędzone wśród samych prawie krajowców. Są wypadki, kiedy ironja losu — którą niejeden zda się odkrywać w rozwoju naszych przeznaczeń — przybiera wszelkie pozory brutalnego i dzikiego szyderstwa.

Przeszedłem do porządku dziennego nad śmiercią Schultza i czytałem w dalszym ciągu list przyjaciela. Opisywał jeszcze, jak tkwiący na rafie bryg, rabowany przez krajowców z nadbrzeżnych osad, przybierał stopniowo

rozpaczliwy wygląd i niesamowitą szarość rozbitego okrętu; Jasper zaś nikł w oczach z dnia na dzień, — aż zdał się wreszcie być cieniem. Przechodził codzień wzdłuż „esplanady" porywczym krokiem; nikły uśmiech nie schodził mu z ust, a oczy rozbiegane były okropnie. Spędzał dzień cały na samotnym, piaszczystym cyplu, wpatrując się żarliwie w bryg, jak gdyby oczekiwał, że cień jakiś wstanie z pokładu i skinie na niego poprzez butwiejące oszańcowanie. Mesmanowie zajmowali się Allenem o ile to tylko było w ich mocy. Sprawę Bonita odesłano do Batawji, gdzie się bezwątpienia rozpłynie w mgle urzędowych papierów... Serce mi się krajało, gdym czytał to wszystko. Ów przedsiębiorczy i gorliwy oficer, porucznik Heemskirk, — którego chmurnej twarzy, ponurej i zarozumiałej, nie rozjaśniła wcale pochwała udzielona mu nieoficjalnie przez władze — powrócił na swoje stanowisko w Molukkach...

Wreszcie przy końcu obszernego, życzliwego listu, który zawierał wiadomości o wszystkiem, co się działo na wyspach przynajmniej przez pół roku — przyjaciel mój pisał: „Przed paru miesiącami stary Nelson przyjechał do Makassaru na parowej szalupie z Jawy. Zdaje się, że chciał odwiedzić Mesmana. Była to wizyta tajemnicza i niezwykle krótka, zważywszy na daleką podróż. Mieszkał przez cztery dni w Orange House, nie mając najwidoczniej nic specjalnego do załatwienia, i wrócił na parowcu dążącym do Straits. Pamiętam, jak ludzie gadali swojego czasu, że Allen ma się do córki starego Nelsona, tej dziewczynki, którą wychowywała pani Harley i która mieszkała potem z ojcem na Siedmiu Wyspach. Pamiętasz pewnie starego Nelsona — —".

Czy pamiętam starego Nelsona! I jak jeszcze.

List donosił mi wreszcie, że stary Nelson pamięta mię również, ponieważ w jakiś czas po swojej przelotnej wizycie w Makassarze pisał do Mesmanów, pytając o mój adres londyński.

Fakt, że stary Nelson (czy też Nielsen) — którego cechą charakterystyczną było głębokie i głuche niezrozumienie dla wszystkiego, co go otaczało — fakt, że ten człowiek chciał pisać do kogokolwiek i miał coś wogóle do powiedzenia, był już sam przez się źródłem niemałego zdziwienia. Ale skądże do mnie, u Pana Boga! Czekałem z niecierpliwością i niepokojem. Co też mi przyniesie list tego człowieka o wrodzonym braku inteligencji? Ale niecierpliwość moja zdążyła się wyczerpać, zanim ujrzałem kopertę z jednopensową marką i stemplem pocztowym biura w Notting Hill, zaadresowaną drżącem, mozolnem pismem starego Nelsona, starczem i dziecinnem zarazem. Powstrzymałem się na chwilę z otwarciem listu i podniosłem obie ręce nad głową, składając należny hołd zdziwienia temu nadzwyczajnemu faktowi. Więc przyjechał do Anglji, aby stać się ostatecznie Nelsonem; a może podąża do Danji, gdzie obróci się znów w pierwotnego Nielsena? Nie umiałem sobie wyobrazić starego Nelsona (czy też Nielsena) poza sferą tropikalną. A jednak jest oto w Londynie i prosi, abym go odwiedził.

Mieszkał w pensjonacie na jednym ze skwerów w zasobnem ongi Bayswater, dzielnicy zamieszkałej obecnie przez ludność pracującą. Polecono mu właśnie ten pensjonat. Wybrałem się do niego w jeden z owych londyńskich dni styczniowych, — w jeden z tych dni, na które składają się cztery djabelskie żywioły: zimno, wilgoć, błoto i sadza — w połączeniu ze specjalną lepkością powietrza, co przywiera wprost do duszy jak nieczysta odzież.

A jednak, zbliżając się do mieszkania Nelsona, ujrzałem, jak hen daleko — za brudną zasłoną z czterech żywiołów — migoce nużący i przepyszny blask błękitnego morza; ujrzałem Siedem Wysp rozsianych jak drobniutkie plamki, z których najmniejszą wieńczy czerwony, wysoki dach bungalowu. Ta wizja zawadzała mi w przykry sposób. Zastukałem do drzwi drżącą ręką.

Stary Nelson (czy Nielsen) wstał od stołu, na którym leżał brudny pugilares pełen papierów. Zdjął okulary i podał mi rękę. Milczeliśmy obaj przez chwilę, poczem Nelson, zauważywszy, że rozglądam się wyczekująco, wymamrotał kilka słów — z których zrozumiałem tylko „córka" i „Hong Kong" — spuścił oczy i westchnął.

Wąsy jego — sterczące jak ongi na wszystkie strony — były teraz zupełnie białe. Stare policzki zaokrągliły się zlekka i nabrały kolorów; jakiś specjalny rys, nadający zawsze dziecinną cechę jego twarzy, wystąpił teraz znacznie silniej. Podobnie jak jego pismo, wyglądał starczo i dziecinnie zarazem. Wiek zaznaczony był najdobitniej w niespokojnem czole, porytem nieinteligentnemi zmarszczkami i w okrągłych, naiwnie mrugających oczach, które wydały mi się zmęczone i szkliste; a może pełne były łez?

Odkrycie, że stary Nelson zdaje sobie z czegoś dokładnie sprawę, było dla mnie faktem zupełnie nowym. Po kilku wstępnych, niezgrabnych zdaniach zaczął mówić swobodnie. Gdy urywał, wtrącałem jakieś pytanie. Zapadał nagle w milczenie, złożywszy ręce na kamizelce; poza jego przypominała mi wówczas wschodnią werandę, gdzie zwykł był przesiadywać spokojnie i wydymać policzki w czasach, które zdawały się tak bardzo, bardzo odległe. Mówił rozsądnie, trochę niespokojnym tonem.

— Nie, nie. Nie wiedzieliśmy nic przez całe tygodnie. I skądże mieliśmy wiedzieć, mieszkając na takiem odludziu. Poczta nie dochodzi do Siedmiu Wysp. Ale pewnego dnia wybrałem się do Banki w swojej wielkiej łodzi żaglowej; chciałem się przekonać, czy niema dla nas listów. Wpadła mi w rękę holenderska gazeta. Było tam tylko trochę morskich wiadomości: angielski bryg *Bonito* rozbił się niedaleko przystani w Makassarze. Nic więcej. Zabrałem gazetę do domu i pokazałem ją Frei. „Nigdy mu tego nie daruję!" krzyknęła z dawną energją. „Moja droga — mówię do niej — jesteś przecież rozsądną dziewczyną. Najlepszy marynarz może utracić statek. Ale powiedz mi, jak się czujesz?" Wygląd jej zaczynał mnie niepokoić. Zpoczątku ani chciała słyszeć o podróży do Singapuru. Ale przecież taka rozsądna dziewczyna nie mogła upierać się bez końca. „Rób, jak chcesz, tatusiu" — mówi do mnie. Trudno było poradzić sobie z tą podróżą. Trzeba było złapać parowiec na pełnem morzu — ale dowiozłem ją szczęśliwie. No a tam, naturalnie — doktorzy. Gorączka. Anemja! Położyli ją do łóżka. Dwie czy trzy kobiety bardzo były dla niej dobre. Oczywiście i w naszych dziennikach znalazła się wnet ta cała historja. Przeczytała ją aż do końca, leżąc na szezlongu; potem wyciągnęła do mnie rękę z dziennikiem, szepnęła: „Heemskirk" i zemdlała.

Długi czas patrzył na mnie, mrugając, a oczy jego napełniły się znów łzami.

— Na drugi dzień — ciągnął bez śladu wzruszenia w głosie — czuła się silniejsza i gawędziliśmy długo ze sobą. Powiedziała mi wszystko.

Tu stary Nelson spuścił oczy i opisał mi cały epizod z Heemskirkiem według słów Frei, poczem ciągnął dalej urywanemi zdaniami, patrząc na mnie naiwnie:

— Kochanie — mówię do niej — zachowałaś się naogół jak rozsądna dziewczyna. „Wstrętna byłam!" krzyknęła, „a on zadręcza się na śmierć tam daleko". — Za rozsądna była i widziała sama, że stan jej zdrowia nie pozwala na podróż. Ale ja pojechałem. Kazała mi jechać. Pielęgnowano ją bardzo starannie. Anemja! Mówili jednak, że idzie ku lepszemu.

Zatrzymał się.

— Czy pan go widział? — szepnąłem.

— O tak; widziałem go — zaczął znów umiarkowanym tonem, jakby uzasadniając jakieś zapatrywanie. — Widziałem. — Odnalazłem go. Oczy na cal zapadłe; z twarzy skóra i kości — szkielet w brudnem białem ubraniu. Oto jak wyglądał. Jak mogła Freja... Ale ona nigdy — nigdy naprawdę — — Siedział tam — jedyna żywa istota na kilka mil wzdłuż wybrzeża — siedział na kłodzie wyrzuconej przez morze. Ostrzygli go w szpitalu i włosy mu nie odrosły. Wlepił we mnie oczy, oparłszy brodę na ręku. Między nim a horyzontem nie było na morzu nic prócz rozbitego okrętu. Zbliżyłem się do niego, a on ledwie że głową poruszył. „To ty, staruszku?" mówi do mnie.

— Gdyby pan go zobaczył, zrozumiałby pan odrazu, jakie to było niemożliwe, żeby Freja kochała tego człowieka. No, no — zresztą ja nic nie mówię. Może tam coś i było. Pan wie, w jakiej ona żyła samotności. Ale żeby z nim miała uciec! nigdy w życiu! Szaleństwo. Zanadto była rozsądna. Zacząłem mu robić łagodne wyrzuty. A on jak na mnie nie wsiądzie: „Pisać do pana! O czem? Przyjechać do niej! I z czemże? Gdybym był mężczyzną, byłbym ją dawno porwał — ale ona zrobiła ze mnie dziecko — szczęśliwe dziecko. Niech

pan jej powie, że tego samego dnia, kiedy na tej rafie zginęło wszystko co posiadałem — tego samego dnia odkryłem, że nie mam nad nią żadnej władzy... Czy przyjechała z panem?" krzyknął, a zapadłe jego oczy błysnęły ku mnie nagłym ogniem. Potrząsnąłem głową. Jakże miała przyjechać? Anemja! — „Aha! widzisz, staruszku! Więc odejdź i zostaw mnie samego z tym duchem" — dokończył, wskazując porywczym ruchem głowy swój bryg rozbity.

— Cóż — warjat! Zmierzch już zapadał. Nie miałem ochoty zostawać dłużej w pustce sam na sam z tym człowiekiem. Nie chciałem mu powiedzieć o chorobie Frei. Anemja! I poco o tem mówić? takiemu warjatowi! Cóżby to był za mąż dla takiej rozsądnej dziewczyny. Nie mógłbym im zostawić nawet swojej niewielkiej posiadłości. Władze holenderskie nie pozwoliłyby nigdy Anglikowi tam się osiedlić. Wtedy nie było to jeszcze sprzedane. Jeden z moich ludzi — pan wie, Mahmat — pilnował tego w mojem zastępstwie. Później oddałem to holenderskiemu metysowi za dziesiątą część wartości. Ale mniejsza z tem. Nic mnie to wtedy nie obchodziło. No więc — odszedłem od niego. Trafiłem na wracający parowiec. Opowiedziałem wszystko Frei: „To warjat — mówię jej — i, widzisz, jedyną rzeczą na świecie, którą kochał, był jego bryg".

— Może — rzekła do siebie, patrząc gdzieś w dal — oczy jej były prawie równie wpadnięte jak i jego oczy — może to i prawda. Tak! nie pozwoliłabym mu nigdy sobą zawładnąć.

Stary Nelson zatrzymał się. Siedziałem przykuty do miejsca i zimno mi się jakoś zrobiło w tym pokoju, gdzie jasny ogień palił się na kominku.

— Więc widzi pan — ciągnął dalej — ona nigdy o niego prawdziwie nie dbała. Była na to za rozsądna. Zabrałem ją do Hong Kongu. Kazali zmienić klimat. Ach, ci doktorzy! Mój Boże! Była zima. Przyszło dziesięć dni chłodnych mgieł, i wiatru, i deszczu. Zapalenie opłucnej — — Ale niech pan tylko posłucha. Rozmawialiśmy mnóstwo ze sobą — i we dnie, i wieczorami. — Kogóż miała na świecie prócz mnie jednego? Opowiadała mi masę rzeczy — moja dziewczynka jedyna. Czasami śmiała się zlekka. Patrzyła na mnie i śmiała się zlekka — —

Wzdrygnąłem się. Spojrzał na mnie niepewnie w dziecinnej, markotnej zadumie.

— Mówiła często: „Doprawdy, tatusiu, nie chciałam być dla ciebie złą córką". A ja odpowiadałem: „Naturalnie, kochanie. Nie mogłaś chcieć czegoś podobnego". Tak sobie leży spokojnie i nagle mówi: „Ciekawa jestem..." Albo znów: „W gruncie rzeczy byłam tchórzem" — Pan wie, chorzy mówią takie różne rzeczy. Powtarzała też nieraz: „Byłam zarozumiała, uparta, kapryśna. Starałam się dogodzić samej sobie. Samolubna byłam, czy też tchórzliwa..." Ale pan rozumie; czego to chorzy nie wygadują! Raz przeleżała, milcząc, prawie cały dzień. Wtem mówi: „Tak! Kto wie — gdyby ten dzień nadszedł, nie byłabym może pojechała. To zupełnie możliwe. Nie wiem nic! — krzyknie nagle. — Tatusiu, zasuń firankę. Zasłoń morze. Wyrzuca mi moje szaleństwo".

Zadyszał się i umilkł.

— Więc widzi pan — ciągnął szeptem. — Taka ciężka choroba, — bardzo ciężka choroba. Zapalenie opłucnej. I tak nagle — —

Wskazał palcem na dywan, a mnie ogarnęła dojmująca litość na myśl o tej biednej dziewczynie, która uległa w walce z niedorzecznością trzech mężczyzn i zwątpiła wkońcu o samej sobie.

— Sam pan widzi — zaczął znów przybitym głosem. — Ona nie byłaby nigdy... Wspominała pana kilka razy. Dobry przyjaciel. Rozsądny człowiek. Więc pragnąłem panu sam powiedzieć — dać panu poznać prawdę. Taki chłystek! Jakżeby to mogło być? Bardzo była samotna. I może przez chwilę... Głupstwo! Dla mojej Frei wykluczona była miłość — taka rozsądna dziewczyna — —

— Człowieku! — krzyknąłem, porywając się gniewnie z miejsca — czy nie widzisz, że przez to umarła?

Powstał także. — Nie, nie! — jąkał się jakby ze złością. — Doktorzy... Zapalenie opłucnej. Taki ciężki stan. Zapalenie... Powiedzieli mi przecież. Opłu — —

Nie dokończył słowa. Utonęło w szlochu. Podniósł ręce ruchem pełnym rozpaczy i przerwał swą okropną komedję cichym, rozdzierającym płaczem:

— A ja miałem ją za taką rozsądną!

## SPIS RZECZY

**Nr 7.** ***GODFRYD KELLER, ROMEO I JULJA NA WSI***

Mistrzowski utwór wielkiego epika szwajcarskiego, zawierający opowieść o tragicznej doli pary zakochanych, w tłumaczeniu Stefana Frycza i Alfreda Toma, odznacza się wysokiemi walorami artystycznemi i głębią ogólnoludzkich przeżyć, odmalowanych barwnym i bogatym językiem . . . . . . . 2.40

**Nr 8.** ***CH. BAUDELAIRE, MOJE SERCE OBNAŻONE***

Wstrząsający szczerością i głębią spostrzeżeń dziennik intymny Karola Baudelaire'a w wiernym przekładzie Czesława Kozłowskiego . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 1.40

**Nr 9.** ***J. P. JACOBSEN, MOGENS***

Drobny ten utwór pisarza skandynawskiego, dzięki bogactwu stylu i oryginalnej architektonice posiada niezwykły czar baśniowej opowieści, pomimo że przedstawia rzeczywistość życia. Tłumaczyli „Mogensa" po raz pierwszy na język polski Stefan Frycz i Alfred Tom . . . . . . . . . . . . 2.—

**Nr 10.** ***JAROSŁAW IWASZKIEWICZ UCIECZKA DO BAGDADU***

Pełna ciepła, czaru i kolorytu opowieść fantastyczna, rozwijająca ciekawą intrygę na tle fikcyjnego Astrachanu, zaleca się piękną prozą poetycką i oryginalnością pomysłu . . . 2 —

**Nr 11.** ***STANISLAW WITKIEWICZ, MYŚLI***

Ciekawe i charakterystyczne uwagi o sztuce znakomitego malarza i krytyka, nacechowane właściwą mu jasnością myśli, oryginalnością i bystrością spostrzeżeń . . . . . . . . 1.20

**Nr 12.** ***CH. L. PHILIPPE, DOBRA MAGDUSIA I BIEDNA MARYNIA***

Pogodny, pełen słodyczy utwór Philippe'a, w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza, odznacza się wysoką poezją i walorami artystycznemi . . . . . . . . . . . . . . . . . . 2.40

**Nr 14.** ***JERZY MEREDITH, HISTORJA GENERAŁA OPLE I LADY CAMPER***

Dowcipna, pełna pobłażliwego, lekko zaostrzonego ironją humoru opowieść w starannym przekładzie p. Z. Popławskiej, posiada wszystkie zalety pióra świetnego pisarza angielskiego 2.60

**Nr 18.** ***A. KUPRIN, PODKAPITAN RYBNIKOW***

Krótki utwór pisarza rosyjskiego, głębokiego psychologa i znawcy dusz, podany w wiernem tłumaczeniu Janusza Jędrzejewicza, zawiera epizod z wojny japońskiej, czarujący oryginalnością, dramatycznością i napięciem akcji oraz wysokim artyzmem architektoniki . . . . . . . . . . . . 1.—